

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 32 (1428) ROK XXVIII

10 SIERPNI 1985 ROKU

CENA 20 ŻŁ

- „Wielki las” Zbigniewa Nienackiego
- Sejmu polskiego
- narodziny i rozwój
- Gdy Wisła była granicą
- Disco w pokrzywach

Obustronna nieufność

JOLANTA WRÓNSKA

Bomba pękła 29 czerwca 1985 r. Zrobił się szum i zamieszanie. Po czym podjęto radykalne decyzje i wszystko wygląda na to, że sprawa ukręcona leć.

Zaczęło się jeszcze w lutym. Załoga magazynu jak zwykle z początkiem nowego roku otrzymała do podpisu „Oswiadczenie” o przyjęciu na siebie odpowiedzialności materialnej za powierzone sobie mienie społeczne wielomilionowej wartości.

Do tego miejsca wszystko było w porządku.

Przedstawione jednak do podpisu papiery zawierały także „Zakres obowiązków służbowych” jakże spadają na załogę. I w tym miejscu zaczął się bunt solidarny całej załogi. Najstarsi stażem uważają, że i tak dźw. że dopiero teraz. Powody byłyby te same i rok temu i parę lat w tył. Jak dobrze popatrzyć to i dziesięć lat temu, można by się buntować. Może tylko czasy były nie potemu, a może zwyczajnie ludzie uważali że oni są do roboty a za myślenie pieniądze biorą całkiem inni faceci. Może nawet i teraz też by się nie postawili, gdyby nie to, że całkiem już dość mieli straszania konsekwencjami. Za to, że nie pilnują dobra społecznego i narażają je na uszczerbek. Nikt nie lubi żyć pod strachem kryminału, zwłaszcza gdy istniejąca organizacja pracy praktycznie wyklucza dopilnowanie tego, za co odpowiadają.

Więc poszło o zakres odpowiedzialności i o organizację pracy. Takie właśnie wątpliwości miała załoga magazynu nr 3 należącego do Krajowej Państwowej Komunikacji Samochodowej, Oddział III w Łodzi, wstrzymując się od podpisania „Zakresu czynności służbowych”. Uznali bowiem że w istniejącej sytuacji, każdy z nich praktycznie sam pakuje się do kryminału, a magazynu i tak nie są w stanie upolnować.

1.

Magazyn, mieszczący się w starożytnym budynku, z drewnianymi stropami i niewygodnym systemem komunikacji, liczy sobie około 2 tysięcy metrów kwadratowych. Przy sześciu bramach-rampach dziennie przewija się do trzydziestu ciężarówek, które należy załadować. Pięciu pracowników fizycznych zatrudnionych na etatach ładowaczy, prócz swej stałej stawki — 48 zł za godzinę obciążonych jest także według stawki akordowej — 20 zł za tonę. Wobec czego załoga zależy na maksymalnie szybkim prowadzeniu operacji przy obsłudze ciężarówek kierowcami, też zależy, by nie tracić wiele czasu przy magazynie, słowem, ma być szybko i sprawnie. Tyle, że pięciu ludziom uważającym się we wnętrzu zapchanego do sufitu hali przy ładowaniu na wózki, sprawdzaniu kart spedycyjnych.

6

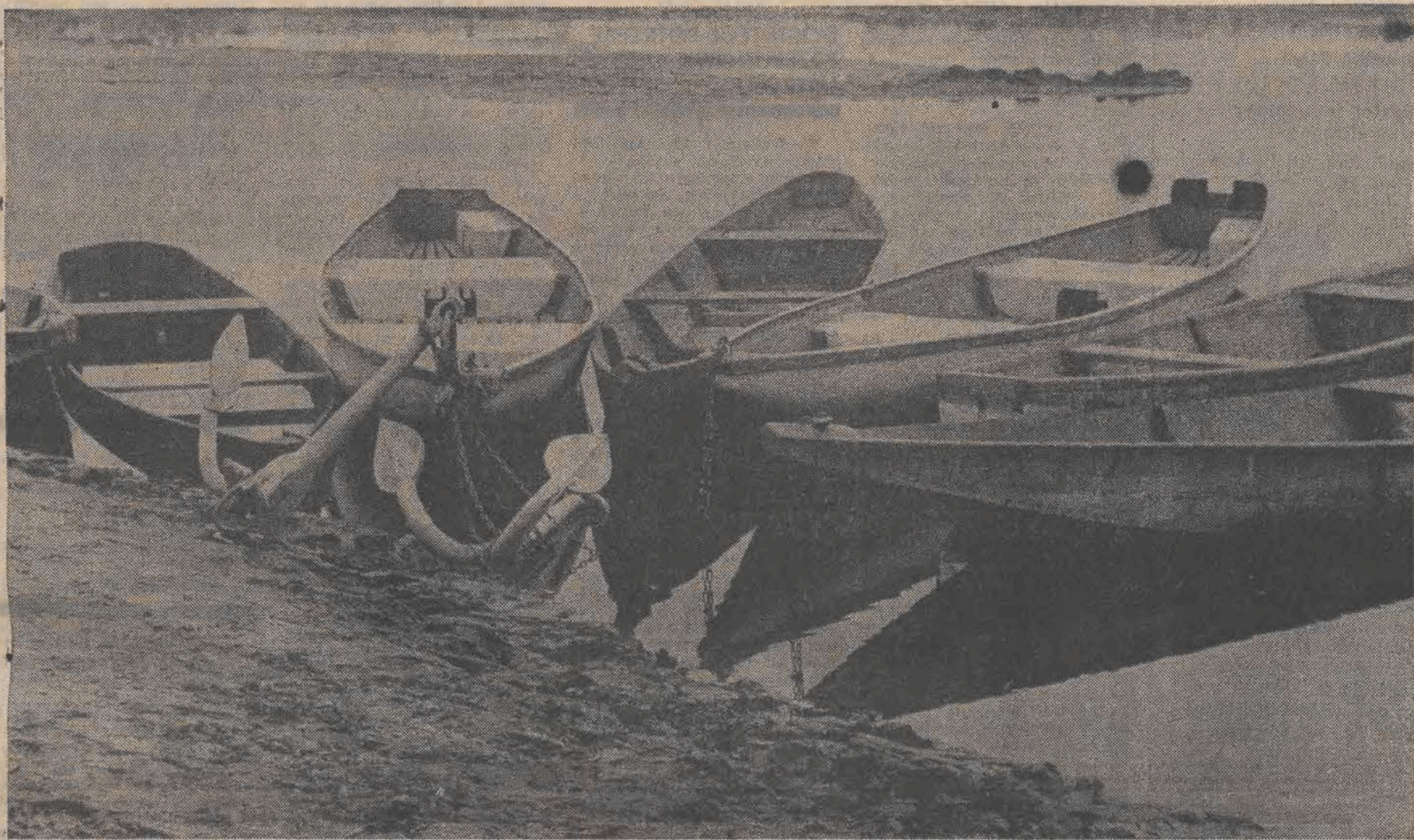


Foto: Grzegorz Galasiński

MIASTO I WODA

Stan klęski

ROMAN KUBIAK

10 listopada 1982 roku Wojewoda Wałbrzyski ogłosił stan klęski żywiołowej dla Świebodzic. Dwudziestotysięczne miasto było pozbawione wody. Na pomoc wyruszyły beczkowozy.

W 1983 roku pospiesznie zmontowano rurociąg łączący Świebodzice ze stolicą województwa, Wałbrzych, oddał sąsiedniemu miastu wodę, której sam pilnie potrzebuje.

W czerwcu 1985 roku nastąpiła awaria rurociągu i skażenie wody w ujęciu. Do potoku przedostały się fabryczne ścieki. Wode pitną rozwożą beczkowozy.

NA ŚWIEBODZICKIM RYNKU

Na świebodzickim Rynku stoi ładnie pomalowany ratusz: beż i brąz. Kiedyś jego ściany były zielone, pnącza sięgały ratuszowej wieży. Lecz delikatne rośliny nie potrafiły czekać na wodę, modlić się o deszcz, stać w kolejce do beczkowozu. A ludzie nauczyli się czekać na wodę: dzień, dwa, pięć dni, miesiąc..., modlić się o deszcz. Nauczyli się żyć na skrawku ziemi, gdzie czas odmierzają się wiadrem przydziałowej wody.

Na świebodzickim Rynku są dwie kamienne fontanny: szare, zakurzone. Kiedyś Starówka zasypiała słyszając ich dostojny szum, a burmistrz kolekcjonował fotografie majestatu na tle migoczących strug. Teraz przechodnie idą o zakład, że z fontann nigdy już nie tryśnie woda.

W świebodzickich domach stoją automatyczne pralnie. Każdy kto zechce może mieć takie urządzenie, bo miejscowa fabryka kooperuje z producentem automatów. Na pralnicach leżą koronkowe serwety, odpustowe charty z gipsu. Jak będzie woda i opróżnią szambo, przyjdzie czas, żeby nauczyć się uruchamiać te cuda.

NAD RZEKĄ PEŁCZNICĄ

Kiedy przed wiekami zakładano ludzkie osiedla, wybierano tylko takie miejsca, gdzie nie mogło zabraknąć wody. Bez niej człowiek stawał się bezbronny, los jego przesądzony. W 1279 roku Świebodzice, osada nad rzeką Pełcznicą, uzyskały prawa miejskie i wszelkie szanse na to, by w sojuszu z wodą, rosnąć w silny, przężny gród. Pełcznica nie skąpiła kryształowego skarbu, przeto lud dzięki składał Bogu za hojne dary, dostąpił stoły. Tak miały wieki, wyrastały kamienice, ratusz, świątynia, a dobra Pełcznica nie

6

Wycie alarmu było tak przeraźliwe i nachalne, że młodociany farmazon oddałby bez wahania rok życia za luksus rozprawienia się z tym przeklętym urządzeniem przy pomocy jakiegos niewielkiego tomu lub siekiery. Zgrzytnął przetrzebionym uzębieniem. Jego sprawdziła wściekłość osiągnęła niebezpieczne szczyty, w związku z czym kompletnie zapomniał o strachu. Tymczasem jednak wycie straciło lekko na wigorze, zacięło z wolna i gdzieś za ścianą, w jakimś tam pokoju, rozległo się najpierw głośne postękiwanie, a potem ciężkie, posuwiste, stawiane z widocznym wysiłkiem kroki.

Rycerz przeknął siłną i spojrzął z wyrzutem na zaryglowane drzwi wyjściowe. Oj, będą nerwy! Ten ktoś, gospodarz zapewne, niewidoczny jeszcze, lecz zbliżający się z irytującą opieszalnością, był bez wątpienia groźnym, potężnym, napompowanym alkoholem mężczyzną, którego alarm obudził z pijackiej drzemki. Jeśli taki skacowany łobuz znajdzie coś po drodze do picia, to jeszcze pół biedy, ale jeśli wysuszył wodopój do ostatniego lyka, zademonstruje niebawem próbki złego humoru.

Rycerz rozjrzał się wokół bez większej nadziei. Gdyby tak znalazł kawałek zdrowego żelastwa, z miejsca poczułby się lepiej. Nie znalazł jednakże. No, były, rzecz jasna, jakieś rury w ścianie, ale to wszystko.

Przybrał zatem minę niewiniątka i czekał na zbliżającą się baryłę loju. Był przekonany, że facet podniesie momentalnie straszny wrzask, toteż zdziwił się nie na żarty, kiedy stwierdził, iż wynurzający się zza oszklonych drzwi osobnik, owsem: otyły, powłóczyący nogami, trochę jakby zasapany i skwaszony, przygląda się nieproszonemu gościowi z kamiennym spokojem nie pomijając żadnych szczegółów w wyglądzie i ubiorze Rycerzyka. Przeszubił jego ścioczone adidas, bez których w dzisiejszej dobie człowiek uchodził za osobę wsteczną i przegraną, przykleił wzrok do bluzy z taniego teksasu i do płóciennych, niby to modnych spodni o wąskich nogawkach, wreszcie zainteresował się piegami na czole chłopaczka, które, jako pamiętamy, były kropkami wrośniętego w skórę brudu, nie przeszkadzającego młodzieńcowi w spełnianiu swoich szczytnych obowiązków.

Cóż to, do cholery? — medytował zdetonowany Rycerzyk. — Pedaliszcze jakieś zatracone czy niemowa? — Pedaliszcze jakieś zatracone czy niemowa? — Pedaliszcze jakieś zatracone czy niemowa?

Gospodarz tymczasem zatknął sobie w grzbie, mięsistych ustach papierosa, skrzesł ognia i beknął przez dym:

- Związek zawodowy?
- Jaki związek?
- Złodziej mieszkaniowych.
- Ale! — zaprzeczył gorąco Rycerzyk i wyciągnął zza pazuchy puszkę. — Susa...

Rycerz Czerwonego Krzyża

(3)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

- Co?
- Susa.
- Susza?
- Ehe. Susza.

— I gdzie jest niby ta susza, kawalerze? W twojej kieszeni czy twoim gardle? Może zrobić ci herbatki?

— Susa jest w Angoli — zaseplenił oburzony farmazon. I dodał izawo: — Muzyny głodują, a ja zbieram na nich pieniądze.

— Co ty powiesz? — zauważył pogodnie gospodarz. — Zbierasz pieniądze wchodząc do obcych mieszkań i przeczesując ludziom kieszenie?

— Ja...

— Nie kłamałbyś chociaż, niecnoto! — huknął niespodzianie grubo. — Za kogo ty mnie bierzesz? Za idiotę?

- Ale! Za nic pana nie biorę.
- To milcz!
- Tak jest!
- Cisza!

Rycerz trząsł się dosłownie ze strachu, a to z tego prostego powodu, iż stwierdził, że wbrew swoim wcześniejszym podejrzeniom jegomość jest absolutnie trzeźwy — żaden tam pijak, żadna skacowana tachmyta, lecz kalkulujący precyzyjnie spryciarz.

Jakby na potwierdzenie tych obaw grubas zrobił wielce srogą minę i nie troszcząc się bynajmniej o misterna wykładzinę podłogową, strząsnął popiół.

Rycerzykowi drgnęła powieka. Uczynił nawet gest, jakby chciał paść na kolana i posprzątać, ale grubo powstrzymał go ruchem ręki.

- Ile masz lat? — zapytał.
- Piętnaście.
- Byłeś kiedyś w zakładzie dla młodocianych?

10

Ogłoszenia

Adres redakcji: 90-113,

Lódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doróżyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błazejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzeminski, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Małka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewski, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 98.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90 950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiornych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wofaty dokonuje się używając „blankietu wofaty” na rachunek bankowy Miejskiego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumerata ze zniżką — w wysokości 50 proc dla członków i pracowników Instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnym — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2331, P-10.

Przegląd prasy

Kolejną rocznicą wybuchu powstania warszawskiego przynosi nową porcję wspomnień z bohaterskiej walki Warszawy, która miała wytrzymać w walce z Niemcami dwa, trzy dni, do tygodnia, a która walczyła przez 63 dni. Ktoś słusznie — przy takiej rocznicowej okazji — nazwał powstanie warszawskie wielką bitwą drugiej wojny światowej. Była to bitwa, w której po jednej stronie stała dobrze uzbrojona i przygotowana armia hitlerowskich Niemiec, a po drugiej — powstańcza armia Warszawy, źle uzbrojona, bez zaplecza, zapasów żywności, bez ciężkiej broni, a która potrafiła tej dobrze uzbrojonej stawić zdecydowany opór.

Przy każdej kolejnej rocznicy — a jest to już 41 — odżywają wspomnienia, nie więc dziwnego, że tygodniki próbują pokazać te wspomnienia inaczej, świeżej, prezentując materiały na ogół nie publikowane, wygrzebane gdzieś w archiwach. Tak postąpił między innymi „TYGODNIK KULTURALNY” (nr 41 z 3 sierpnia 1985 r.), który przedstawił w opracowaniu Janusza Ostrowskiego

KILKA DNI WALKI BATALIONU „IWO”

opisanych przez dwóch żołnierzy tego batalionu: strzelca „Miłego” — Tadeusza Zajdlera i strzelca „Czarnego” — Jana Radeckiego. Wznowienie tych fragmentów informacji z „Biuletynu Informacyjnego”.

Tego rodzaju wspomnień, opisów, zapisów dotyczących poszczególnych walk batalionów, oddziałów, grup jest sporo. Wszystko to wzbogaca naszą wiedzę o tamtych czasach. Ale nieustannie intruzuje i zakiepkawia wszystkich sam fakt powzięcia decyzji o powstaniu

jak też polityczne i strategiczne uwarunkowania tej decyzji. Większość faktów jest już dość dobrze znana, została bowiem dokładnie opisana w różnych książkach. Mimo to nadal trwa dyskusja o motywach powstania, o jego uwarunkowaniach politycznych i na tych problemach skupia się uwaga publicystów i historyków.

Andrzej Gass w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 31 z 4 sierpnia 1985 r.) prezentuje pierwszy fragment obszernego szkicu — „Gen. Komorowski „Bór” i inni” — pod zmiennym tytułem: „Decyzja”. Jest to dość obszerna prezentacja wydarzeń, jakie miały miejsce w Warszawie między 21 a 31 lipca 1944 roku. Trudno jest sądzić o całkowitym na podstawie pierwszego odcinka, ale warto odnotować fakt, który podaje Andrzej Gass. Otóż pisze on, iż gen. Tadeusz Bór-Komorowski

DOSTRZEŻŁ POTRZEBĘ PRZEBUDOWY USTROJU

W depeszy z 22 lipca 1944 roku donosił on rządowi w Londynie o konieczności wydania „matymiasz dekretów o przebudowie ustroju Państwa obejmującego przejście bez odroczenia na rzecz reformy rolnej wielkiej własności ziemskiej, o uspołecznieniu głównych gałęzi produkcji przemysłowej i ustanowieniu rad załogowych, o upowszechnieniu oświaty i opieki społecznej, o swadach nowych ordynacji wyborczych do ciał ustawodawczych i samorządowych”. Treść tej depeszy nie zmienia politycznych postaw gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego wskazuje natomiast niezbicie na radykalizację nastrojów i na kierunek społecznych oczekiwań. A przecież dopiero tego samego dnia wieczorem radio Moskwa przekazało wiadomość o powstaniu PKWN na wyzwolonych ziemiach. Nie można to więc w żadnym wypadku być reakcją na „Manifest PKWN” którego treść w Warszawie nie została już jeszcze znana. Znał natomiast musieli być społeczne oczekiwania, jak też programy i kierunki zamierzeń grupowych lewicowych z KRN na czele.

„ZYCIE LITERACKIE” (nr 31 z 4 sierpnia 1985 r.) prezentowało swoim czytelnikom obszerny fragment publikowanej niedawno książki Jana M. Ciechanowskiego „Powstanie warszawskie”. Jest to fragment rozdziału: „Powstanie warszawskie — moment decyzji”, druga część podrzędliwej „Decyzji wstępnej” i cały podrzędliwej „Decyzji ostatecznej” oraz fragmenty rozdziału: „Powstanie warszawskie — motywy decyzji”. Książka — jak wiadomo — wydał PIW, ale widząc redakcja „ZL” uznała, że warto opublikować jej fragmenty, w których przedstawia się

MOTYWY DECYZJI

Książka rozeszła się błyskawicznie, co potwierdza tylko zainteresowanie najnowszą historią, a publikowane fragmenty przez „ZL” zawierają kilka istotnych, mało znanych momentów. Dlatego nie będą powtarzać spraw o których już pisano wielekroć, a zwrócę jedynie uwagę na owe mniej znane momenty w dziejach kilku dni przed wybuchem powstania.

Jak wiadomo większość Komendy Głównej AK uważała za pewnik, że wojska radzieckie, a głównie I Frontu Biało-ruskiego dowodzonego przez Konstantego Rokossowskiego, w pośpiechu za uciekającymi Niemcami wejdą do Warszawy. Uważano, że dla Armii Czerwonej ma to duże znaczenie przede wszystkim polityczne. Nie wszyscy jednak tak myśleli. Na przykład płk. Kazimierz Piłta-Czachowski uważał, że powstanie powinno rozpocząć się w momencie, kiedy wojska radzieckie zaczną walczyć o most na Wiśle, kiedy za Wisły zaczyna ostrzeliwać lewobrzeżną Warszawę.

W opublikowanym przez „POLITYKĘ” (nr 30 z 27 lipca 1985 r.) opracowaniu Ludwika Muzyckiego, który był szefem Biura Wojskowych w KG AK, również można znaleźć postulat taki złożył on 25 lipca 1944 roku Tadeuszowi Borowi-Komorowskiemu, mówiąc o konieczności nawiązania „kontaktu operacyjnego z dowódcą Armii Czerwonej operującej na przedpolu Warszawy”.

Jak z tego widać w KG AK byli oficerowie, którzy uważali, że bez ścisłego współdziałania z nacierającymi wojskami radzieckimi powstanie nie ma szans powodzenia. Ale w KG AK zwyciężył pogląd, że powstaniu pomoc powinni dać daleko bardziej.

Jan M. Ciechanowski przytacza też

WZWANIA RADIOSTACJI „KOŚCIUSZKO”

Otóż istotnie radiostacja ta wzywała lud Warszawy do broni. Ale nie było to wezwanie do powstania w ogóle, ale do pomocy Armii Radzieckiej i Wojsku Polskiemu „Ludu Warszawy — wzywajcie radiostacja. — Do broni. Niech ludność cała stanie wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej. Uderzenie na Niemców. Udaremniczyć ich plany zbiorczego huganuli publicznych Pomocnicze Czerwonej Armii w przedmiocie przez Wiśle. Przekazywanie wiadomości, polecaćcie droge”.

J. M. Ciechanowski pisze też, że „w tym samym czasie (28 lipca 1944 r. — przyp. L.B.) Stalin nakazał marszałkowi Konstantemu Rokossowskiemu, pomiędzy 5 a 8 sierpnia zająć Pragę i utworzyć przyczółek na zachodnim brzegu Wisły na południe od Warszawy”. Warto tu przypomnieć, że w opublikowanym stenogramie rozmów przedstawicieli KRN i PKWN w Moskwie na początku sierpnia 1944 roku z premierem rządu w Londynie Stanisławem Mikolajczykiem (7 POLA WALKI nr 4 z 1984 r.) gen. Michał Bole-Żymierski wyraźnie mówił, iż po przyjeździe do Moskwy 8 lipca 1944 roku prosił Józefa Stalina, aby Warszawa nie była brana atakiem frontalnym, ale poprzez manewr ostrzydlający. I Józef Stalin wydał odpowiedź rozkazami w tej sprawie K. Rokossowskiemu. A na manewr ostrzydlający — po powstaniu natarcia na Pragę pod koniec lipca — trzeba było czasu.

LUCJAN BOGUSZ

Minał tydzień

W WARSZAWIE

na XXI posiedzeniu obradował Komitet Centralny PZPR. Omówiono zadania partii w zbliżających się wyborach do Sejmu PRL, wysłuchano sprawozdania o pracy Klubu Poselskiego PZPR, podjęto uchwałę, w której określono zadania członków partii w kampanii wyborczej. Udzielono poparcia dla listy krajowej, którą zaproponowała Rada Krajowa PRON. Kandydatom członkom partii udzielono rekomendacji.

W MOSKWIE

zakończył się XII Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Odbił się on pod hasłem: O antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń. Ludzie na całym świecie są zaniepokojeni rosnącą groźbą wojny nuklearnej, która może całkowicie zniszczyć naszą cywilizację. Ludzie chcą żyć w pokoju, chcą się wzajemnie rozumieć i przyjaźnić się. Festiwal był właśnie taką okazją do pomiana się, porozumienia, zaprzyjaźnienia. Michał Gorbaczow w czasie otwarcia festiwalu powiedział między innymi:

„Świat przyszłości, świat przyszłego wieku to przecież nasz świat, drodzy przyjaciele. I to, jakim on będzie, zależy w dużym stopniu od waszych dzisiejszych zamierzeń i poczynań”.

Przez czas trwania XII Festiwalu młodzież nie tylko bawiła się, nie tylko odbywała się setki różnych spotkań, występów, ale też obradowano w różnych zgromadzeniach, rozważano trudne problemy współczesności, wymieniano różne poglądy, szukano tego, co ich łączy: walka o pokój. W pracach tych brała udział polska delegacja.

Uczestników festiwalu pozdrowili przebywający na orbicie okołoziemskiej radzieccy kosmonauci: W. Dżanibekow i W. Sawinych.

DESZCZOWY LIPIEC

I wcześniejsze zle pogodę spowodowały, że żniwa w tym roku są znacznie opóźnione. Przynajmniej POM i SKR będą mogły się dobrze przygotować, aby pomóc rolnikom w remoncie sprzętu i pracach rolnych. Jak do tej pory nie wszędzie kombajny wyjechały już w pole. Rolnicy mimo spóźnionych żniw są dobrej myśli, gdyż plony zapowiadają się niezłe.

W HELSINKACH

spotkali się w 10 rocznicę podpisania Aktu Końcowego KBWE ministrowie spraw zagranicznych Europy i Ameryki Północnej. W czasie obrad głos zabrał minister Stefan Olszowski. Powiedział on między innymi: „Stosunek Polski do Aktu Końcowego i zapoczątkowanego nim procesu pozostaje niezmienny. Ideę europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy — wspólnie z innymi państwami socjalistycznymi — traktowaliśmy i traktujemy jako konkretną socję jednej z podstawowych zasad naszej polityki zagranicznej — zasady pokojowego współistnienia”.

MOST JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

w Warszawie został poddany remontowi. Jego funkcje przejął wybudowany przez saperów LWP Most Syreny. Remont mostu Józefa Poniatowskiego trwać będzie... dwa lata i cztery miesiące. Ludzie pamiętający czasy powojenne przypominają, że odbudowanie tego mostu, wysadzonego przez Niemców, trwało znacznie krócej. Ale specjaliści od remontowania mostów wyjaśniają, że zakres prac i warunki ich wykonywania wymagają takiego czasu, a nie innego. W czasie remontu mostu Józefa Poniatowskiego trzeba będzie wymienić 2,5 tysiąca ton konstrukcji mostu nad Wisłą i 3,5 tysiąca ton konstrukcji wiaduktu, wymienić 13,5 ha nawierzchni, rozmontować i zmontować 1100 m torów, 3,3 km kabli elektrycznych, 18 km kabli telefonicznych, 1,3 km magistrali wodociągowej. Ta ogromna robota musi być tak wykonana, aby miasto tego nie odczuło. I właśnie dlatego będzie to tak długo trwało.

ZMARŁA EUFEMIA NOWOTKO

I pochowana została na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach. Była ona zastępcą działacza ruchu robotniczego, współtowarzyszka życia, pracy i walki i sekretarza KC PPR, Marciego Nowotki. W czasach okupacji była łączniczką KC PPR. Niemcy aresztowali ją w 1942 roku. Więzioną była na Pawiaku, na Majdanku, w obozach w Ravensbrück i Velden-Mark. Była później pracownikiem KC PPR i PZPR. Na cmentarzu żegnał zmarłą weterani ruchu robotniczego, współwładzowie obozów koncentracyjnych, współpracownicy i przyjaciele.

W ŁODZI WIĘCEJ POŻARÓW

— oświadczył „Kurierowi Polskiemu” ppłk Marek Śniezko z Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej w Łodzi. Liczba pożarów w pierwszej połowie 1985 roku wzrosła prawie o 10 procent. Oddziały straży pożarnej w łódzkim województwie miejskim są wzywane nie mniej niż trzy razy dziennie. Połowa pożarów ma miejsce w mieszkaniach. Najczęstszą przyczyną pożarów jest po prostu niedbalstwo, lekceważenie przepisów, brak odpowiedzialności.

NIE WOLNO BAWIĆ SIĘ KOMPUTEREM

bo mogą być z tego powodu kłopoty i przykrości, a można nawet powędrować do więzienia. Przekonali się o tym młodzi Amerykanie, którzy bawiąc się komputerem nie tylko odkryli tajne numery Pentagonu, ale prowadzili rozmowy z ważnymi osobami w różnych krajach NATO. Kosztem tych rozmów obciążając konto jednego z amerykańskich generałów Bawili się też zmieniając położenie jednego z satelitów informacyjnych. Zabawami tymi zainteresowała się najpierw policja stanu New Jersey, a następnie federalne służby specjalne, kiedy okazało się, że zdolni młodzieńcy opanowali sposób włączania się do tajnego systemu łączności Pentagonu. Obecnie przebywają w areszcie, a specjaliści od komputerów w Pentagonie odczelniej z ulgą. Na jak długo? Zdolnych młodzieńców umiejących bawić się komputerami ponoć nie brakuje.

A. B. SEKATOR

Lektura na każdą okazję!

W kioskach RUCH jest już do nabycia książka Biblioteki „Ogłoszeń” — zbiór opowiadań fantastycznych „ŚMIERĆ HIGIENICZNA”. Książka, ładnie ilustrowana, z barwną okładką, stanowi ciekawą lekturę na każdą okazję. Po pracy, w tramwaju, w pociągu, na plaży, nad jeziorem, kiedy pada deszcz i kiedy świeci słońce lektura dziewięciu opowiadań fantastycznych u-milli każdemu czas, będzie pouczająca rozrywka.

W „ŚMIERCI HIGIENICZNEJ” zamieszczone opowiadania: Marka Nowaka „Wilki”, Andrzeja Mercika „Formuła niesmiertelności”, Jacka Wójcika „Itinerarium Anonima z Terry”, Zbigniewa Dworaka „Regula redukcji”, Roberta Lidke „Stres”, Tomasa Lipowskiego „Śmierć higieniczna”, Pawła Tomaszewskiego „Drainis” i „Noc”, Krzysztofa Kochańskiego „Mieszczuch”. Książkę ilustrował Krzysztof Włoczek. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Przypominamy! Książka jest już w kioskach RUCH! Zachęcamy! Ciekawa to lektura! Polecamy! Jest to poczytać!



opowiadania fantastyczne

„Nasza Rzeczpospolita okrętem jest, w którym, gdy wszyscy ci siedzą, co do jego sprawowania należy, to sejm jest. Ten sejm gdy rozpoczyna to wyjście jest z okrętu tych ludzi, bez których okręt iść dobrze nie może...”

— ŁUKASZ GÓRNICKI

Gdyby przechodniów przypadkowych na ulicach któregoś z polskich miast zagadnął o sprawy demokracji, o instytucje będące jej symbolem i wyrazicielem, niewątpliwie jeżeli nie pierwsze, to jako jedno z pierwszych padłoby słowo — sejm. Bo też i był sejm polski przez ponad pięć stuleci swego istnienia — nie licząc kilku wyjątków regulę potwierdzających — instrumentem procesu upowszechnienia władzy, a wkomponowany w system polityczny stanowił alternatywę niepodzielnej władzy jednostki, już w samym założeniu niedemokratycznej.

Na początku była rada królewska i obok niej szlachta uczestnicząca w życiu publicznym. Z tego układu wyłaniać zaczął się sejm, tym od innych zachodnich się różniący, że tamte miały charakter reprezentacyjny, a on był sejmem powszechnym. Z czasem i sejm polski stał się zgromadzeniem reprezentatywnym dzięki sejmikom, które powszechność udziału szlachty w życiu publicznym zapewniając, przedstawicieli swoich do sejmu delegowały.

Z DZIEJÓW POLSKIEGO PARLAMENTARYZMU (1)

Sejmu polskiego narodziny i rozwój

Są zresztą i inne punkty widzenia na sprawę powstania sejmu, różniące się od przedstawionego tu, ewolucyjnego. Upatruje się mianowicie powstania sejmu w inicjatywie i aktywności monarchy. Sejm jawi się jako instytucja od początku na trwałe określona w sensie organizacyjnym i programowym.

Wszyscy natomiast są zgodni, co do tego, że bronili sejm interesów polskiej szlachty, bo po to przecież go powołano, bo konstruowano go w oparciu o zasadę solidaryzmu stanowego. Ale klasa panująca była majątkowo i politycznie zróżnicowana o często sprzecznych interesach grupowych, o tendencjach i działaniach możnowładców na rzecz sprawowania roli hegemonu w życiu społecznym. Doprowadziło to w konsekwencji do zorganizowania się szlachty u schyłku XV wieku w odrębną izbę poselską.

GDY SEJM BYŁ SEJMEM

Zbierały się sejmy początkowo w różnych, wyznaczonych przez króla miejscach, a czasem za stałe miejsce obrad sejmu koronnego uznano Piotrków. Unia Lubelska orzekła jako miejsce obrad Warszawę, a w sto lat później ustalono, że co trzeci sejm będzie odbywał się na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego — w Grodnie.

Zgodnie z artykułami henrykowski sejm zwoływany miał zbierać się co dwa lata na okres sześciu tygodni, nadzwyczajny (ekstraordynaryjny) w miarę potrzeb — na ogół na dwa tygodnie. A dodać tu trzeba, że zawarte w artykułach henrykowskich postanowienia dotyczące okresu odbywania sejmów ostro wzbudzały sprzeciw w Rzeczypospolitej. Uważano, że sejm corocznie zbierać się powinien, aby skutecznie interesów państwa — przede wszystkim stanów uprzywilejowanych — pilnować.

Zbierał się sejm początkowo głównie dla uchwalenia podatków — co raczej nie jest działaniem popularnym, więc szlachta rozumiejąc tę konieczność chciała mieć jednak nad podatkami pełną kontrolę dla maksymalnego zabezpieczenia własnych interesów. Nic więc dziwnego, że już w 1374 roku przywilej koszycki uzależnił całkowicie ustanowienie podatków od zgody zjazdu szlachty. Znaczenie sejmu, jego rolę i zadania niewątpliwie trafnie określił Andrzej Frycz-Modrzewski, że „...dla obu państw przyczyną zwykło się u nas zwoływać doroczne sejmy; po pierwsze dla wymierzenia sprawiedliwości; po drugie dla zarządzania obrony przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu...”

Od początku istnienia sejmu powstał problem relacji między nim a królem — i szerzej, całą władzą wykonawczą, przy czym chodziło głównie o nieopuszczenie do przerosłów uprawnień wysokich dostojników państwowych. Już na przełomie XV i XVI wieku sejmy wydawały rozkazy łączenia w jednym ręku kilku stanowisk, a także zobowiązywały do mieszkania, lub posiadania dóbr ziemskich w miejscu sprawowania urzędu. Bardzo znamienita była także podjęta przez izbę poselską w 1565 roku próba doprowadzenia do powołania przez sejmiki tzw. instygatorów, kontrolujących działalność urzędników na swym terenie. A relacje między sejmem i królem najdobitniej określił w roku 1538 na sejmie krakowskim Samuel Maciejowski podkreślając, że „...nie Najjaśniejszy Pan nie może, jeśli wcześniej nie zwoła sejmu, jeśli nie zgromadzi wszystkich senatorów królestwa i posłów ziemskich, jeśli zdają ich nie wysłucha...”

W wieku szesnastym upowszechniło się także rozliczanie przed sejmem władzy wykonawczej z jej działalności finansowej. Strzegł sejm bezpieczeństwa Rzeczypospolitej w przypadku zagrożenia zewnętrznego, bądź zwołując poszczególne ruszenia, bądź uchwalając podatki na zaciąg zbrojny. Artykuły henrykowskie decyzyjne w tych sprawach uzależniały całkowicie od stanowiska sejmu. Z tym wzrostem kompetencji, a co za tym idzie odpowiedzialności za losy kraju nie szła jednak w parze roszczeniowa szlachta powstała w XVI wieku, zasady

jednomyslności, nawet na niedojście do skutku sejmu w ważnych sprawach zwołanego się gość, aby tylko praw swoich, „klejnotu wolności szlacheckiej” nie uszczuplić. Zerwanie po raz pierwszy sejmu w 1652 roku przez Władysława Sicińskiego rychło znalazło naśladowców i sprawiło, że veto szlacheckie stało się symbolem przedkładania prywaty nad dobro narodu. Rozpoczęło się manipulowanie posłami przez możnowładców, a z inicjatywy króla czynili to senatorowie.

NA DRODZE DO ANARCHII

W XVII wieku przyszedł okres szerokiej krytyki sejmu przez szlachecką rzeszę, zaczęły się działania na rzecz ubezwłasnowolnienia sejmu przez sejmiki i trudno się dziwić temu co u schyłku panowania Jana III napisał Stanisław Lubomirski, że „...owo w radzie naszej tak się dzieje. Ci co potężni, milcząc mówią, co chcą; takowi za nich mówią, choć ich o to i nie proszą; stabi się uczyć pochlebiać, głupi domyślać, mądrzy nie rozumieć...”

Praktyka zrywania sejmów doprowadziła i do takiej sytuacji, że w roku 1717 podczas obrad sejmowych w Warszawie nie dopuszczono do głosu żadnego z posłów obawiając się, aby nie rozległo się owo nieszczęśliwe liberum veto i tak to sejm przeszedł do historii pod nazwą sejmu niemeo.

Nie uległa poprawie pozycja sejmu w czasach saskich. Wykluczenie niekatolików spowodowało zawężenie reprezentacji szlacheckiego stanu. Rozpoczęło się zrywanie także sejmików a to uniemożliwilo skompletowanie izby poselskiej. Instrukcje sejmikowe, coraz bardziej rozbudowane, uniemożliwily normalną pracę sejmu. Instrukcje bywały diametralnie różne, a każdy z posłów, zobowiązany do ścisłego ich przestrzegania nie mógł wprowadzać zmian wynikających z sejmowej debaty.

Czasy saskie, to okres postępującego, głębokiego kryzysu polskiego sejmu, kryzysu nie dającego się opanować w sytuacji, gdy reprezentanci szlacheckiego stanu nie posiadali własnego programu działań pozytywnych, a pilnowali jedynie by polityka króla nie zagrażała szlacheckim interesom.

Oslabiały pozycję sejmu magnackie interesy, wielokrotnie w ostrych z potrzebami społecznymi stojące kolizji. Paraliżowała pracę sejmu zawieszanie wzywionych rodów magnackich i partokularne interesy poszczególnych ziem. Dwór królewski przestał liczyć na sejm traktując go obojętnie, sejm pilnie baczyl czy dwór zakusów nie czyni na szlacheckiego stanu przywileje i w świadomości przeważającej części szlachty utrwaliła się myśl przedstawiona przez Szczepana Siemickiego na kilka lat przed pierwszym rozbiorem Polski, że „...póty trwać będzie w Polsce wolność, póki nieporządek...”

Zainteresowani w utrzymaniu takiego stanu byli i obcy. Niemalże środki na zrywanie sejmów przeznaczała Francja, pragnąca powrotu na tron polski Stanisława Leszczyńskiego. Podobną rolę odegrały Prusy zainteresowane w utrzymaniu słabości Rzeczypospolitej. No i powstała sytuacja taka, że za panowania Augusta III nie odbył się ani jeden sejm.

Byli jednak i myśliciele inaczej. Próbowano ograniczyć to, co było najgroźniejsze — owo tragiczne liberum veto, przy pomocy konfederacji. Pojawily się także głosy za ograniczeniem weta, ale były one niemałe, liczące się z opinią szlachecką. Dopiero Stanisław Staszic wystąpił odważnie i mądrze w sprawie naprawy sejmu. Na realizację tych projektów brakło jednak powszechnego zrozumienia, zabrakło także czasu, bo szybкими krokami zbliżał się dramat narodu i państwa. Ostatnie trzy dziesięciolecia Rzeczypospolitej Szlacheckiej charakteryzowało wprawdzie pewne, a okresami wyraźne ożywienie pracy sejmowej, ale niewiele mogło to już zmienić. Sejm konwokacyjny w 1764 roku uchwalił na przykład wprowadzenie zasady większości głosów na sejmikach deputackich co stanowiło pierwszy wyłom w świadomości posłów. (murem dotąd stojącym w obronie zasady jednomyslności. Ustanowiono Komisję Skarbową i Komisję Wojskową, nowe podatki itp. Był to więc sejm w jakimś sensie przełomowy, ale nie bardzo było komu pójść za ciosem, a poza tym istniał liczący się czynnik zewnętrzny w postaci Rosji, zainteresowanej — jak zresztą Prusy i Austria — w utrzymaniu słabości Polski. Charakterystyczne było na tymże sejmie starcie kanclerza litewskiego Michała Czartoryskiego z posłem rosyjskim Repninem. Argumentującemu kanclerzowi, że „...Polacy mają prawo także uchwalic postanowienie, jakie im się podoba...” Repnin cynicznie odpowiedział: „...z racji sąsiedztwa mamy interes w tym, aby forma tutejszego rządu zmianie nie uległa...” Dalsze sejmy obradowały już pod dyktando rosyjskiego posła. Jeszcze próbowali się przeciwstawić nieliczni, ale Repnin z żelazną konsekwencją realizował wolę imperatorową.

OSTATNI AKT DRAMATU

Kolejną próbą ratowania ginącego państwa podjęto na Sejmie Czteroletnim zwanym Wielkim. W niekorzystnej dla siebie sytuacji międzynarodowej, uwikłana w wojnę z Turcją, Katarzyna II, pragnąc mieć spokój na ziemiach polskich, wyraziła zgodę na sejm konfederacyjny. Prusy obawiające się sojuszu Polski z Rosją deklarowały poparcie dla polskiego sąsiada, podkreślając równouprawnienie w stosunkach międzynarodowych. Zniknęła ponizająca atmosfera bezwzględnej w środkach ingerencji w sprawy polskie. Zniknęła nie na długo, ale o tym nie wiedziano i ożyły nadzieje na dźwignięcie kraju z upadku.

Dwa wielkie zadania stanęły przed sejmem: przebudowa ustroju państwa, oraz uchwała o aukcji wojska. W atmosferze przetargów politycznych, przejawów zwykłego warcholstwa i utrwalonego przez czas miniony bezwładu, obóz patriotyczny krok po kroku realizował zamierzone cele, których ukończeniem stało się uchwalenie Konstytucji 3 Maja.

„Uznając, iż los nas wszystkich od ugrunтования i wydoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisi — stwierdzano na wstępie — poznauszy zadawnione rządu naszego uady, chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje... wolna od hanbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drogę nad życie... egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu... niniejszą konstytucję uchwalamy...”

Stanowiła Konstytucja 3 Maja logiczne następstwo szeregu inicjatyw ustawodawczych Sejmu Wielkiego. Wcześniej bowiem uchwalono podatek od dochodów przeznaczony na powiększenie wojska, prawo o reorganizacji sejmików i o ustroju miast. Siły przeciwne odmownie nie dały jednak Konstytucji 3 Maja — pierwszej w Europie, a drugiej na świecie, po amerykańskiej, żadnych szans. Wkroczenie wojsk rosyjskich w maju 1792 roku do Polski, połączone z Konfederacją Targowicką, alibi dla tej interwencji stanowiącą, doprowadziło do drugiego rozbioru Polski z udziałem Prus, które pokazały swoje prawdziwe oblicze.

W atmosferze klęski narodowej rozpoczął swe obrady w czerwcu 1793 roku sejm grodzieński, najbardziej tragiczny w dziejach Rzeczypospolitej. Miejsce sejmowych obrad okazało obce wojsko. Część posłów odmówiła przybycia, część protestując przeciwko rozbiorowi aresztowano. Po dramatycznych obradach, gdzie nikt z posłów nie zabrał głosu, a uznano to za akt aprobaty, podpisano ratyfikację rozbioru.

Ten sam jednak sejm, zmuszony do podpisania traktatów rozbiorowych podjął działania na rzecz wewnętrznego umocnienia i przez to uratowania pozostałego skrawka Rzeczypospolitej. Powołano Deputację dla Ułożenia Projektu Formy Rządu — podjęto pracę nad określeniem miejsca sejmu w Rzeczypospolitej, rozumianego jako kompromis między koncepcjami Targowicy i Konstytucji 3 Maja.

Powstanie Kościuszkowskie, które wkrótce potem wybuchło, stanowiło już tylko ostatni, rozpaczliwy zryw tracącego niepodległość narodu. Klęska powstania i trzeci rozbiór Polski położyły kres Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

Sprawdziło się dramatyczne przewidywanie, które Jan Kazimierz wygłosił 4 lipca 1661 roku na sesji połączonych izb, zabiegając o elekcję vivente rege i o przyjmowanie uchwał sejmowych większością głosów.

„...To pewna — stwierdził — że bez takiej elekcji przyjdzie Rzeczpospolita in obreptione gentium (do rozpadu narodu). Moskale i Rus przy swego języka krajach opowiedzą się i Wielkie Księstwo Litewskie dostanąbunt (poślą); Brandenburscy patedbi (stanie otworem) po granice Wielka Polska i o Prusy ze Szwedami albo się zgodzi, albo na swoim theatrum obgladiabitur (walczyć będzie). Dom rakuski (austriacki) choćby miał najświetsze intencje, przy takiej szarpaninie od Krakowie sobie non decrit (nie odejdzie). Bo każdy będzie wolno mieć część Polski armis ginesitami (siłą zdobytą) niż całą daremnyimi wolnościami contra principes tutam (wbrew swym zasadom zachowaną)”

W warunkach utraconego bytu państwowego próbował bronić polskich interesów sejm Królestwa Kongresowy. Protesty posłów katolickich Bonaventury i Wincentego Niemcewskich przeciwko wprowadzeniu cenzury prewencyjnej, powiększeniu tajnej policji i próbom zmiany zasady odpowiedzialności ministrów przed sejmem szybko zlikwidował car zabraniając posłom-onozyjomistom pojawiając się w jego obecności. Nie wpuszczono ich także na salę obrad sejmu.

Raz jeszcze dał sejm Królestwa Polskiego dowód dążenia do niepodległego bytu w dniach Powstania Listopadowego, kiedy to 25 stycznia 1831 roku uchwalił zgłoszony przez senatora Romana Sołtyka akt detronizacji Mikołaja I twierdząc, że „...narod zatem polski na Sejm zebrały oświadcza, że jest niepodległym ludem i że ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uzna...”

Klęska dwóch ostatnich powstań narodowych zakończyła na kilka dziesięcioleci działalność polskiego parlamentu. Działaczom politycznym pozostało włączenie się — tam gdzie to było możliwe — w nurt życia parlamentarnego państw zaborczych i szukanie możliwości walki o przetrwanie. Tak czynił w galicyjskim sejmie krajowym i w parlamencie wiedeńskim Ignacy Daszyński, a w rosyjskiej Dumie Państwowej Roman Dmowski. W warunkach, w jakich przyszło im działać, nie wymiernego dla sprawy polskiej nie mogli uczynić, ale z uporem przypominali, że ona jest, a to już było, jak nadzwyczaj — niemało.

W warunkach niewoli zegary wolno odmierzać czas, ale dzień każdy przybliżał do chwili, w której — już w Polsce Odrodzonej — zebrani na sali obrad posłowie Mazurkiem Dąbrowskiego rozpoczynali nowy ważny rozdział w dziejach polskiego parlamentu.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

WYBORY ZDROWEGO ROZSADKU

I wespól...

Kandydatów na kandydatów „dostarczają” nam — wyborcom — rozmaite organizacje; od partii politycznych, związków zawodowych, stowarzyszeń katolickich aż po organizacje ogromnie pozytywne, wszakże od polityki jakby dość odległe; ostatnio w dzienniku TV usłyszałem, że do jednego z wojewódzkich konwentów wyborczych swego kandydata zgłosił Okręgowy Związek Hodowców Drobiu...

No i bardzo dobrze. Nie ulega wątpliwości, że spotykamy się z kandydaturami rekomendowanymi przez równie „egzotyczne” z politycznego punktu widzenia organizacje. Przestrzeżmy jednakowoż przed ich lekceważeniem czy traktowaniem jako swobodnych folklorystycznych anegdot wyborczych, chociaż już wypowiedziałem się przeciw nieograniczonemu rozszerzeniu uprawnień do zgłaszania kandydatów. Wybory zawierają w sobie całkiem naturalny element konkurencyjności posłów, osobowości kandydatów — szansa nie rozdziela się z góry w sposób automatycznie rozdany. Przynajmniej przystąpienia do „gry” są równe; najpierw rozstrzygnie konwent, zgłaszając listę wyborczą do rejestracji w komisji wyborczej, a potem cały elektorat przy urnach w dniu głosowania.

Barwna różnorodność grona kandydatów na posłów nie powinna wzbudzać principjalnych zastrzeżeń; jest to zdecydowanie pozytywny skutek demokratyzacji życia publicznego. Mój niepokój wzbudza inny moment procesu proponowania kandydatów na posłów — w myśl przepisów ordynacji wyborczej organizacje uprawniające mogą ustalać wewnątrzorganizacyjny tryb zgłaszania i opiniowania tych osób (art. 52 ordynacji). Mogą, ale nie muszą...

Nie wiem, w ilu organizacjach jakiegoś odrębne, szczegółowe przepisy istnieją. W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na przykład funkcjonuje wyspecjalizowany i precyzyjny tryb wyłaniania kandydatów na posłów i radnych (regulaminy uchwalone przez KC z upoważnienia art. 30 Statutu PZPR), podobnymi przepisami dysponują Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. Świadomość szczególnej roli społecznej i wyspecjalizowane kanony życia wewnątrzpartijnego narzucają tym organizacjom takie tryby postępowania w tej kwestii, aby zadośćuczynić w sposób możliwie najlepszy stojącym przed nimi zadaniami, wynikającym z zasad koalicyjnego sprawowania władzy. Po prostu konstytucyjna odpowiedzialność za państwo i ustroj nakazuje im przedstawić do wyborów najlepszych z możliwych kandydatów.

W innych organizacjach uczestniczących w procesie proponowania kandydatów na posłów zapewne, jak przypuszczam, takie reguły ściśle określone przez ich statuty, nie obowiązują. Prawo proponowania kandydatów w tak powszechnej skali jest zbyt świeżym prawem, by zdążyło dokonać stosownych ustaleń formalnych. Możliwe przeto są rozmaite sposoby wyszukiwania własnych kandydatów — od powszechnych plebiscytów aż po gabinety, konfidencjonalne „układy” i przepychanki. Żadne ewentualności z góry nie można wykluczyć.

Nie chcę przez to powiedzieć, że wydaje mi się konieczne narzucenie wszystkim organizacjom jakiegoś obowiązującego, ujednoliciwanego trybu postępowania w sprawie wyszukiwania kandydatów na posłów. Wprost przeciwnie — to one same muszą powoli dojść do najbardziej im odpowiadających reguł postępowania. Dlatego — jak sądzę — po wyborach do statutu i innych przepisów wewnętrznych wielu organizacji wprowadzone zostaną mniejsze lub bardziej szczegółowe postanowienia dotyczące ich udziału w wyborach do Sejmu na przyszłość. Nie przypuszczam bowiem, by mogły się ostać pod naciskiem silnych, „oddolnych”, demokratyzacyjnych ciągów tzw. mas członkowskich jakiegoś przypadkowego, dyskretywnego sposobu wybierania kandydatów na posłów.

Na przykład w jednej z organizacji, do której zresztą należę, składającym się z kilkuset ludzi (na szezeblu okręgowym) o wysokim, ponadprzeciętnym stopniu „upolitycznienia” i udziału w życiu publicznym, w organizacji o silnie zdemokratyzowanych strukturach wewnętrznych, cieszącej się znaczną aktywnością swych członków, osobę proponowaną jako kandydata na posła wysunął samodzielnie parunastoosobowy zarząd (nb. z grona swych członków). Nie mam pretensji co do osoby kandydata — wprost przeciwnie, uważam go za godnego ze wszech miar posłowania. Ponieważ jednak wiem, że żadnych organizacyjnych trudności nie sprawiłoby przeprowadzenie tego wyboru w drodze ogólnego zebrania wszystkich członków organizacji, uczyniłem wszystko, aby w przyszłości w takim właśnie trybie proponowania naszego kandydata.

Sądzę, że do podobnych wniosków dojdzie większość ludzi stowarzyszonych w większości organizacji uprawniających do wysuwania kandydatów na posłów. W ten sposób mogą zająć istotne miejsce w naszym krajobrazie politycznym i w ogóle mogą powstać nowe reguły porządkujące życie publiczne. W ten sposób także na bierze realnego kształtu jeden z trzech sposobów wpływania wyborców na ostateczny efekt wyborów — czyli faza proponowania kandydatów (dwie pozostałe to weryfikacja podczas obywatelskich zebrań konsultacyjnych i sam akt głosowania).

Prawie każdy z nas bowiem gdzieś należy. Ten człowieczy apetytus societatis, czyli ped do zrzeczenia się, jest w skali historycznej niepokorny. Rozmaite „ucieczki w prywatność” to wszak patologiczne i przemijające objawy naszego życia zbiorowego...

TOMASZ SAS

Warszawa jest na obu brzegach Wisły. Często o tym zapominamy. Być może dlatego, że prawobrzeżna Warszawa — Praga ma swój specyficzny charakter, jest jakby inną Warszawą. Zresztą o tej części stolicy najczęściej mówi się po prostu — Praga. A przecież to też jest Warszawa i gdy na 1 sierpnia 1944 roku wyznaczono godzinę rozpoczęcia powstania, to

GODZINA „W” TEŻ OBOWIĄZYWAŁA PRAGĘ

Rejon ten obejmował VI obwód. Na Pradze znajdowały się oddziały wojsk niemieckich walczących z nacierającą Armią Czerwoną. Z tego powodu podjęcie walk powstańczych na Pradze było niezwykle ryzykowne i groziło klęską. Mimo to ryzyko podjęto. O godzinie 17.00 oddziały Armii Krajowej również ruszyły do ataku na Pradze.

Komenda VI obwodu na Pradze — jak to przedstawia Jerzy Kirchmayer w książce „Powstanie warszawskie” — miała do wyboru dwie możliwości. Albo założyć, że wojska radzieckie lada dzień wkroczą na Pragę i wówczas zaatakować silne ugrupowanie Wehrmachtu i SS na Grochowie, albo przyjąć, że trudno przewidzieć moment wkroczenia wojsk radzieckich na Pragę i wówczas skoncentrować cały atak na ujęciu przyczółków mostowych, aby wywalczyć bezpośrednią łączność Pragi z lewobrzeżną Warszawą. 1 sierpnia 1944 roku rano okazało się, że siły niemieckie na Pradze zostały znacznie wzmocnione, co jeszcze bardziej skomplikowało położenie powstańców.

Na Pradze było zarejestrowanych prawie 9 tysięcy żołnierzy Armii Krajowej, a w punktach alarmowych stało się ich zaledwie około 3,5 tysiąca, co stanowiło mniej niż 40 procent Bratowego Broni. Wiele mieszkańców Pragi posiadało broń. Wiele mieszkańców Pragi posiadało broń. Wiele mieszkańców Pragi posiadało broń.

Na Bródnie oddziały Armii Krajowej otrzymały niemiecką baterię, ale nie były w stanie jej zdobyć. Na Targówku oddziały AK zajęły także pozycje, że stworzyły osłonę Pragi od strony Radzymiwa. Nie udało się atak na Grochowie, gdzie siły niemieckie były wyjątkowo duże, oraz na koszarach przy ulicy 11 Listopada. Żołnierze AK zdobyli budynki Dyrekcji Kolejowej przy zbiegu ulicy Targowej i Wileńskiej, na ulicy Zabkowskiej zdobyto pocztę i mennicę. Nie powiodł się atak na budynek Monopolu Spirytusowego, a Dworzec Wschodni był ostrzeliwany z ulicy Brzeskiej przez oddział AK. No i sprawa najważniejsza — nie udało się ataki na mosty: Józefa Poniatowskiego i Kierbedzia, a saperzy, którzy mieli wysadzić w powietrze most średnicowy — kolejowy — nie dostali na czas materiałów wybuchowych.

Sabina Sebyłowa, wdowa po znakomitym poecie Władysławie Sebylu, współtwórca „Kwadrygi”, urodziła się i wychowała w domu przy ulicy Brzeskiej 5 na Pradze. Przez jakiś czas w latach dwudziestych mieszkała w śródmieściu Warszawy, a w 1932 roku powróciła na Pragę, do tego samego domu przy ulicy Brzeskiej 5. Spędziła tam całą okupację i powstanie. Robiła skąpane notatki. Ukazały się one niedawno nakładem „Czytelniczki” jako „Notatki z oawobrzeżnej Warszawy” i sierpnia 1944 roku Sabina Sebyłowa zapisała:

„Zaczęło się...”

Strzelanina się przesunęła także znacznia o tyle, że będzie chyba trzeba mimo niewia-

rygodnych oporów psychicznych udać się ze starymi rodzicami do plutonu. Przed bramą — to okno i samochód pancerny. Moje tylko chwiloowo Niemcy, że tu zatrzymali. W piwnicy już pełnej, ogłuszenie, dezorientowanie.

Nasz dom jest objęty akcją powstańczą. Prowadzą ją AK-owcy. Mają biało-czerwone opaski na rękawach. Nazwali butelek. Z kolei króćli się do lokatorów o naftę. Posiadają bowiem mniej nafty i benzyny, niż wynosi pojemność zgromadzonych butelek.

Wysuwają się na ulicę. Wracają. Budują w bramie barykadę.

Gdy nadeźża

NOC Z 1 NA 2 SIERPNI 1944 ROKU NA PRADZE

w rękach oddziałów Armii Krajowej był gmach Dyrekcji Kolei, rzeźnia miejska i część Bródna. Komenda VI obwodu na Pradze nie posiadała łączności z lewobrzeżną Warszawą. Próbowano nawiązać ją przez „Londyn”. Liczono się z możli-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdy Wisła była granicą

wością nadejścia wojsk radzieckich. Postanowiono mimo strat i fatalnego położenia kontynuować walki również 2 sierpnia 1944 roku.

Oddziały polskie na Pradze były osamotnione i dezorientowane. 2 sierpnia Niemcy przystąpili do likwidacji gniazd oporu. Czolgi niemieckie wyparły powstańców z budynku Dyrekcji Kolei 3 sierpnia 1944 roku powstanie na Pradze upadło ostatecznie. Nie uzbrojonym żołnierzom AK rozkazano udać się do domu, a uzbrojonym przeprosić się na lewy brzeg Wisły. Zorganizowano dwa punkty przeprowy: w rejonie Saskiej Kępy dla przeprowy na Czerniaków i w rejonie małajki Jabłonna dla przeprowy do Puszczy Kampińskiej. 3 sierpnia 1944 roku jednostki podpułkownika „Grosza” uderzyła z Jabłonnej na Legionowo, ale została odparta ogniem z pociągu pancernego który nadjechał z Modliwa

„Powstańcy zamierzali około północy — z pierwszego na drugiego sierpnia — wspominała Sabina Sebyłowa — ugotować kolację. Moja matka zabrała im trochę kaszy i słoniny. Ktoś inny co innego. Gdy wróciła zaczęła opanaczkowo nosząca butelek. Podobno ktoś ma benzyna. Da namstajcom. Ponależnia do butelek.

Broni króćli mają dramatycznie mało. Naboje powystrzelali. Pozostali rewolwery bez naboń oraz naboje niedopiędnie do posiadanych rewolwów. Zdjęli biało-czerwone opaski. Nad ranem odeszli. Butelki pozostawili. Puste.

W sporo czasu po odeszciu powstańców Niemcy zaczęli strzelać do zabarykadowanej bramy. Nie za często. Pojedynczo, seriami z broni maszynowej.

Od Brzeskiej, bo tutaj toczyła się króćko akcja powstańcza, wchodzi po barykadzie trzech Niemcy z bronią w rękach, w hełmach spochroniarzy i łaciatych płaszczach. Deszcz leje.

Jeden z żołnierzów kaze przez tłumacza-lokatora wyjść wszystkim mężczyznom na awdórze...

Niemiec poważnie i rzeczowo informuje się, co i jak. Tłumacz strzesza najogólniej dzieje nocu.

— Dlaczego nie rozbrailiście powstańców? — pyta żołnierz.

— A was możemy rozbraić? — odwołuje pytaniem naśm.

— Ну, ja — odpusuje — musielibycie mieć broń...

6 sierpnia na podwórko przy ulicy Brzeskiej 5 przyszedł chłopak, w jakiejś swoich sprawach, którego podirzewano o udział w powstaniu na Pradze. „Cześć mieszkanie — pisze Sabina Sebyłowa — ointoso sie do niego nieprapodododnie wrogot: „To przez takich, jak ty, nas to spotkało”.

Nastaly teraz

DLA PRAGI DNI NIEPEWNOŚCI I STRACHU

Niemcy wprowadzili szereg ograniczeń. „Coraz króćcej wolno chodzić po ulicach” — zanotowała 15 sierpnia 1955 roku Sabina Sebyłowa. Ludzie przyzwyczajeni do pracy, ruchu muszą teraz siedzieć po kątach pełni niepewności co do ich losu i losu ich rodzin. Wielu z nich ma swoich najbliższych w walczącej i płonącej Warszawie. Kto może, patrzy na lewy brzeg Wisły gdzie miasto spowite jest chmurą dymów „Syn gnaltonie zawolati, abum podszia do okna. Coż za Wisła zostało wysadzzone i unosiło sie omal pod chmurą. Klerunek wstazy-

wał okolice Nowego Świata. Maciej chodził ustawicznie na szóste piętro, na strych i stamtąd patrzył na Warszawę. Stał się nierz za nim” — napisała Sabina Sebyłowa.

„Ale życie ma swoje prawa. Toczy się nieprzerwanie. A ludzie są tylko ludźmi — zdolnymi do bohaterstwa i... szwistw. Jedni grają w karty, inni klóca się, a kobiety gadają i gadają. O sobie, o innym. No i wszyscy szukają czegoś do jedzenia.

„Handel produktami — pisze Sabina Sebyłowa — bywi nawet wzdnie ozywiony gdy zjawiają się ci, co mogą odprzeć coś ze swoich zapasów oraz to, co poniekiedy zdolają odkraść Niemcom. Jarzynki — ananasy by tak nie cezonno... O świecie wychodzą kobiety z worami i idą na cudze działki na nie całkowicie wysiedloną Saską Kępe lub na pola skaryszewskie, za Polonusem. Po kartofle, marchew, kapustę...”

Prawda, że niebezpiecznie chodzić po zieloniny. Te co ryżują, dobrze zarabiają. Zarobek był jest i będzie nieodwrocnie żywym problemem. Jedną z przypadkowych wartywerek chwałita piękność zdobytych buraków: „Zawożyłam takie duże, ale nie mogłam wszystkich wsiwować, bo leżał na nich zabity Niemiec. No to go odciągnęłam. Brzech mu już rozpuchł...”

Bięgunka szaleje. W apiekach prawie nie ma lekarstwa. Zreszta są zamknięte.”

Niepewność zhera ludzi. Jedni więc zabijają ją gadaniem, inni modlą się. Jeszcze inni używają życia. Niemcy weszli do opuszczenia niektórych ulic Pragi, w tym i ulicy Brzeskiej, przeciw stały się one już bezpośrednim zapleczem frontu — praskiego przedmościa. Ale ludzie nie opuścili swoich domów. Nie mieli do straszenia a lś na poniewierke, niepewność, tulaczke nie chcieli. Wprowadzono więc w domach nocne dyżury. Po jednym z takich dyżurów Sabina Sebyłowa napisała:

„Na przeciwniej klatce schodowej wóntze dwójce dyżurujących. Tak sa zajezi soba, iż wóntilwa, aby usłuzeli letka bombe. Liberalizujące kobiety sa niepoahamónie łapczycie na te wybieranki mężczyzn.”

Inna notatka:

„Kobieta mająca męża w obozie koncentracyjnym swowadza do siebie Niemców. Widze przez okno, że prowadzi trzech kolejarzy. Jeden niesie swra banteczke ze sznurusem. Znam wóntoku ten kształt.”

24 sierpnia 1944 roku Niemcy zwołali wszystkich mężczyzn z

Pragi na Targówek. Starych i niezdolnych do pracy zwołali Reszle podzielili na grupy i skierowali do pracy. Jedną z grup wysłał do Wawra gdzie kazali im kopać okopy w odległości około 150 m od linii frontu. Żołnierze radziecy dokonali wypadu i zabrali około 100 Polaków i kilku dozoruujących ich Niemców. Innych skierowano do robot fortyfikacyjnych w okolicy Jabłony Kilka kolumn Polaków z Pragi przeprowadzili przez Warszawę na Wolę. Tu ich podzielono, część skierowano do Pruszkowa, a część do pracy w Rzeszynie.

Powstańcy biuletyn „Wiadomości z Miasta i Władomości Radiowe”, który ukazywał się w Śródmieściu Południe, przytoczył relacje jednego z wziętych na Pradze mężczyzn i następnie wyzwolonego przez patrol AK. Relacje te cytuje Władysław Paszkowski w książce „1959 dni Warszawy”.

„O świecie kolumna nasza wyruszyła jako pierwsza przez most Kierbedzia. Przeszliśmy ulicą Bednarską. Jest ona zupełnie snłnna. Ulica ta musieliśmy bieć, bo Niemcy tłumaczyli nam, że „bandyci polscy ze Starego Miasta, których właśnie wykażca oddziały SS, mnia w tym kierunku obstrzeli”. Z Krakowskiego Przedmieścia przeszliśmy

przez Trebacką, Alberta, Opród Saskiej, plac Żelaznej Bramy — do Hal Mirowskich, a dalej przez zupełnie spaloną ulicę Chłodna na ulicę Wolską, gdzie nas zapędzono do spalonego kościoła. Tu podzielono nas na oddziały po 150 ludzi każdy...”

W przedziale na Bema reformowano nas na sekcje po 10 osób, wsadzono na samochody i wysłano na Powazki, gdzie ładowaliśmy na samochód solone skóry...”

W czasie przejazdu przez ul. Towarową z bramy domu rzucano granat, a równocześnie samochód wjechał na mnie. Niemiec eskortujący nas uciekł na dworzec, a my podnieśliśmy ręce do góry wołając: „Nie strzelaj, jesteśmy Polakami!” Patrol AK podszedł do nas i po chwili znaleźliśmy się w uwolnionej części Warszawy.”

Brano nie tylko mężczyzn. Sabina Sebyłowa notuje 1 września 1944 roku:

„Dziś na Pradze branka kobiet. Nie jestem pewna, czy historia zna podobne precedensy...”

Niemcy odrzucał matki sześćdziesięcioletnich dzieci, którym ojcowie wcześniej zabrali Serca Niemców funkcjonują podobnie Biologicznie — normalnie jak u każdego żywego stworzenia. Te ludzkie mają schorzone papsute. Atrafia milionów str.

Lokatorka naszego domu, jedna z tych, co zadają się z Niemcami (zdaje się, że ona ma od jakiegoś czasu stałego adoratora, bowiem widujemy tego samego Swabę — o, idzie pan... i dodajemy nazwisko tej meza, który jest w obozie), zaproponowała mi, abym z nią i jej Niemcem przeszła do Innej, dziś nie zaproszonej dzielnicy. Podziękowałam, dodając, że mogłabym iść jedynie pod eskortą Niemca, nie z Niemcem. Wtedy by mnie jego asysta nie kompromitowała.”

Wprawdzie powstanie na Pradze upadło, nie toczył się tam walki z Niemcami, to przecież

LOSOWI POWSTANIA WARSZAWSKIEGO DECYDOWAŁY SIĘ NA PRAWYM BRZEGU WISŁY

Trwała „Białoruska operacja”. Wojska niemieckie pod koniec lipca 1944 r. cofnęły się w panice przez Warszawę. Ale w tym czasie do rejonu Warszawy

przybyły: dywizja pancerna SS „Hermann Göring”, dywizja pancerna SS „Wikin”, dwie dywizje węgierskie, piechoty i kawalerii oraz inne oddziały. 26 lipca 1944 roku powrócił do Warszawy urząd i policja. Na wschód od Wisły toczyły się walki, które w dwojaki sposób zadecydowały o losach Warszawy i wywołanego w niej powstania. Niemcy po opanowaniu paniki zdecydowani byli utrzymać praskie przedmoście Warszawy. „Po wykryciu słabego miejsca — pisze w książce „Żołnierski obowiązek” dowódca 1 Frontu Białoruskiego, Konstanty Rokossowski — odcinka pomiędzy Praga a Siedlcami — nieprzyjaciel zdecydował się wykonać uderzenie na skrzyżło w tyłu wojsk które sforsowały Wisłę na południe od Warszawy... Dozdo do zaciętego boju spotkaniowca. Położenie wojsk niemieckich było bardziej dogodnie, ponieważ miały oparcie w silnym warszawskim rejonie umocnionym.” Ale w tym rejonie trwało powstanie.

W Komendzie Głównej Armii Krajowej zwyciężył pogląd, że

wojska radzieckie lada dzień, lada godzina wejdą do Warszawy. A zatem Warszawa musi być opanowana przez wojska wierne rządowi w Londynie i tak bitwa toczyła się na dalekim praskim przedmościu zadecydowała o momencie wywołania powstania. Z drugiej jednak strony tej przebieg również zadecydował o losach tegoż powstania.

„Wydawało się — pisze dalej Konstanty Rokossowski — że w tej sytuacji powstańcy warszawscy mogliby zdobyć mosty na Wisłę i opanować Pragę wykonując od tyłu uderzenie na wroga. W ten sposób udziału by pomoc w związku z tymczasem 2 armii pancerniej — i kto wie, taki byłby wówczas dalszy przebieg wydarzeń.”

Mostów wazakże nie udało się opanować. 29 lipca 1944 roku dwie kompanie 654 batalionu pionierów z 9 armii i oddział pionierów kolejowych przystąpiły do zaminowania mostów i ich obrony. Około 300 niemieckich żołnierzy broniło skutecznie czterech warszawskich mostów i zrobiło to tak skutecznie, że nie tylko uniemożliwiło ich opanowanie, ale też broniło przyspar przez Wisłę dla wojsk niemieckich rozdzielać przy tym powstanie w Warszawie lewobrzeżnej i prawobrzeżnej. W tej drugiej zostało ono przez to skazane na szybką klęskę. Niemniej zainteresowanie Warszawą prawobrzeżną trwało przez całe powstanie. Wielu ludzi rozumiało bowiem że właśnie tam rozgrywała się losy powstania. A rozgrywały się one nie bezpośrednio na praskim przedmościu Warszawy, ale na południe od stolicy.

„W dniu 3 sierpnia — pisze Jerzy Kirchmayer w książce „Powstanie warszawskie” — dowództwo niemieckie nie mogło już żywić żadnej wątpliwości, że w kierunku Warszawy od strony strony lubelskiej działają tylko drugorzędne siły radzieckie. Toteż meldunki sytuacyjne grupy armii „Srodek” z tego dnia nie wspominały już w ogóle o kierunku warszawskim, tym bardziej że także położenie w rejonie Radzymiwa i Wolomiwa rozwijało się w tym dniu pomyślnie dla Niemców i nie wzbudzało już żadnych obaw.”

Z rejonu przedmościa praskiego Niemcy przetrucili w rejon Warki 4 sierpnia 1944 roku 18 dywizję pancerną i zaczęli przetruczać dywizję pancerną SS „Hermann Göring”. Wojska te

musiały przebieć się przez powstańcza Warszawę. Wojska radzieckie zdobyły bowiem przyczółek pod Magnuszewem: w rejonie Warki i Niemcy zdecydowali się ten przyczółek zlikwidować. To zdecydowało też o losach powstania warszawskiego. „W razie gdyby — pisze dalej Jerzy Kirchmayer — bitwa przetożyla się spod Wolomiwa na Pragę, czyli gdyby główny wysiłek radziecki leżał na kierunku warszawskim a nie na południu od niego, to los powstania zostałby według wszelkiego prawdopodobieństwa przypięczetowany natychmiast. Już w ciągu kilku pierwszych dni walki. Powstanie nie ciągnęłoby się przez 63 dni. Niemieckie dywizje pancerny zostałyby bowiem przynajmniej częściowo odrzucone na Warszawę i nie pojechałyby pod Warkę”. W sytuacji jaka powstała, Niemcy nie byli w stanie jednocześnie likwidować powstania w Warszawie i likwidować przyczółek pod Magnuszewem. A tam toczyły się zacięta bitwa w której pod Stuzdzankami brał udział Brygada Pancerna im. Obrońców Westerplatte. Wojska radzieckie dysponowały trzema przyczółkami na Wisłę: pod Magnuszewem, pod Janowcem na południe od Puław i pod Sandomierzem. Natomiast Niemcy mieli duże przedmoście pod Warszawą, na wschodnim, prawym brzegu Wisły, sięgające aż pod Zegrze na Narwi. Klęska Niemców pod Magnuszewem zmniejszyła dowództwu niemieckiemu, iż Armia Czerwona przystąpi wkrótce do likwidacji tego przedmościa. „Komenda Główna AK nie orientowała się w tym położeniu — pisze Jerzy Kirchmayer — Utracił bowiem skuteczne środki wywiadu”.

W WARSZAWIE INTERESOWANO SIĘ TYM, CO DZIEJE SIĘ NA WSCHÓD OD WISŁY

Nasłuchiowano salw artyeryjskich ze wschodu, obserwowano praski brzeg Wisły. W czasie walk na Czerniakowie znalazł się tam żołnierz Armii Ludowej „Agawa” — Bohdan Czeszko. Obserwował on Saską Kępe i panujący tam spokój dawał mu wiele do myślenia. Zwierzył się ze swoich spostrzeżeń Aleksandrowi Kowalskiemu. Postanowiono urządzić wypad na Pragę, aby przygotować przeprawę dla łączników do Armii Czerwonej.

„Obserwacje prowadzilen u wylotu portu czerniakowskiego z rowu strzeleckiego... — wspomina w książce „Czwartaki” Bohdan Czeszko. — Obserwacje, które prowadziłem z Tańkiem Drukarzem”, przekonały nas że na Saskiej Kępie są Polacy. Nie było na co czekać... Przynieśliśmy Wisłę w kajaku, którego w porcie nie brakowało. Ubrania zapakowaliśmy do detek samochodowych, przeleptych i specjalnie ramiarznych. Noc była dość ładna, a nawet pojawiał się księżyc, ale jednocześnie nie sprzyjały nam poruszające loty „kukuruzników”, które w nocy obrzucały ciężkimi granatami przeciętaczowymi stanowiska niemieckie i ostrzeliwały je z broni palnej. W czasie takiego walału Niemcy wygaszali reflektory na moście Pontonarskiego i nie oświetlali rzeki.”

Bohdan Czeszko i Tadeusz Gasiorowski dotarli szczęśliwie na Saską Kępe. Dozł do jakiegoś domu i weszli do mieszkania przez okno. Porozumieł się z przestraszona gospodynią, a ta skontaktowała ich z grupą metozym ukrywających się w piwnicy. Ustalono, że w niedalekiej już przyszłości beda się oni opiekowali łączniczkami które będą docierały na noc z lewego brzegu Wisły. Szczęśliwie powrócili na Czerniaków.

Wkrótce sytuacja na prawym brzegu Wisły miała się zmienić radykalnie.

C.D.N.

BANKRUCTWO — upadłość, niemożność zapłaty długów, niewypłacalność przedsiębiorcy lub przedsiębiorstwa stwierdzona sądownie. Majątek bankrutka zostaje oddany pod nadzór sądu i używany na spłatę długów (Encyklopedia Powszechna PWN).

BYŁ SUKCES I JEST KŁĘSKA

W lutym 1985 r., a w sposób jednoznaczny i ostateczny 15 kwietnia 1985 r., bank wstrzymał kredytowanie Łódzkiego Kombinatu Budowlanego — Zachód. Przedsiębiorstwo to nie jest bynajmniej bankrutem, nie ma nawet powołanego, przewidzianego w takich razach zarządu komisarycznego. Funkcjonuje nadal — ale w jakże trudnych warunkach i... czeka. Na decyzje, które określą dalsze losy przedsiębiorstwa i załogi, a które obecnie muszą być podjęte już poza kombinatem (choć nie bez udziału jego przedstawicieli). Decyzje te w pewnym stopniu wpłyną również na rozmiar budownictwa mieszkaniowego w Łodzi, bowiem ŁKB — Zachód, jeśli zgodnie z planem wykona swe zadania, realizuje rocznie około 1100 mieszkań, a więc 20 proc. budownictwa mieszkaniowego w aglomeracji łódzkiej.

Najpierw trochę historii — czyli jak do tego doszło.

Jednym z zakładów ŁKB — Zachód jest fabryka domów, oddana do użytku 14 lat temu i produkująca elementy w systemie Szczecin. Wielka płyta, według obowiązujących od jakiegoś czasu opinii fachowców, a także w ocenie użytkowników mieszkań nie jest najlepszym rozwiązaniem budowlanym, a już technologia szczecińska zażyła na największe zarzutów: materiałowa i energochłonna, nie pozwalająca architektom na zróżnicowanie i funkcjonalne kształtowanie wnętrza budynków, bardzo droga, o złych parametrach cieplnych.

Wady technologii szczecińskiej nie ujawniły się nagle i można było ocenić je w sposób właściwy przed podjęciem decyzji o jej wprowadzeniu, obecnie jednak nie pora do tego już wracać. Przez wiele lat systemu funkcjonowała fabryka domów, której zdolność projektowa wynosiła 8700 izb rocznie, w najlepszych dla budownictwa latach, tj. w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, produkowała 12 tys. izb. Obowiązujący wówczas czterobrygadowy system pracy, fascynacja ilościowymi wynikami utrudniały przeprowadzanie niezbędnych, bieżących remontów i konserwacji urządzeń, w efekcie przyczyniły się do szybkiego ich wyeksploatowania.

W kombinacie, we własnym zakresie pracowano nad „odchudzeniem” wielkiej płyty, nad zmniejszeniem ilości zużywanych przy produkcji materiałów i energii, poprawą jej parametrów. Działania te przynosiły efekty.

Gdy w 1980 r. resort podjął decyzję o likwidacji niektórych, najdroższych systemów wielkopłytowych, wyroby fabryki domów ŁKB — Zachód różniły się już znacznie i na korzyść od tego, co opuszczało fabrykę w początkowym okresie jej działalności. Mimo to kombinat znalazł się na liście tych zakładów, które muszą zmienić technologię.

Podobnie jak pozostałe przedsiębiorstwa produkujące zbyt drogiymi metodami kombinat otrzymał trzyletni termin na opracowanie nowej technologii, odpowiadającej aktualnym wymaganiom. Wbrew pozorom nie jest to okres zbyt długi.

Projekt rozwiązania, który powstał w ramach ogłoszonego konkursu, opracowany przez zespół specjalistów z łódzkiego „Inwestrojektu”, nosi skróconą nazwę UNO (uniwersalna, nośna osionowa) — Zachód.

Aby można było tę nową, lepszą płytę produkować — niezbędna była modernizacja fabryki domów. Przypadło to akurat na okres bardzo trudny, nie tylko dla kombinatu, ale dla całej gospodarki. Okres początków wdrażania reformy gospodarczej, wymagający wprowadzenia istotnych zmian w działalności przedsiębiorstwa, przesławienia kierownictwa i załogi na nowy styl pracy z jednej strony — z drugiej zaś, na okres trwających, silnych niepokoїв społecznych, utrudniających jakkolwiek działalność, nawet starymi, dobrze znanymi sposobami.

SKOŃCZYŁY SIĘ PIENIĄDZE

Mimo to w ŁKB — Zachód opracowano projekt modernizacji, dokładny harmonogram prac, poczyniono wstępne, niezbędne zakupy i... skończyły się pieniądze.

Gdyby nastąpiło to o kilka lat wcześniej, sorawa byłaby prosta — resort dołożył, bo musi, a jak nie dołożył, to nic strasznego, przedsiębiorstwo odwiecze się na następne kilka lat aż do opracowania nowej, zupełnie innej technologii i nowego programu modernizacji. Tymczasem reforma już działała i środki na kontynuowanie prac powinny znaleźć się w zakładzie.

Nie było ich jednak nie było również na spłatę już zaciągniętych kredytów. Pozostała działalność zakładu, choć prowadzona w sposób prawidłowy nie przynosiła aż tak wysokich zysków.

W tej sytuacji bank, również działający w zreformowanym systemie i dysponujący szerszymi niż w latach poprzednich uprawnieniami — zagroził wstrzymaniem kredytów i zażądał programu sanacji. Przedstawiono go — ale czy można liczyć na znaczną poprawę wyników z „rozparzana” nie przynosiąca jeszcze efektów, inwestycja? Oczywiście nie. W programie znalazło się więc to, co faktycznie można było zrobić we własnym zakresie, a co, zdaniem oceniających go specjalistów, nie gwarantowało terminowego wywiązania się ze zobowiązań wobec banku i nie mogło być podstawą do dalszego udzielania kredytów. Również w drugiej wersji program nie został zaakceptowany.

Wobec tego bank wstrzymał kredytowanie. Decyzja ta w świetle istniejących przepisów była uzasadniona. Pracownicy kombinatu oczywiście nadal otrzymują wynagrodzenie. Ale nie ma mowy o możliwości kontynuowania modernizacji fabryki domów. Ponadto poważnym zagrożeniem uległy inne dziedziny działalności przedsiębiorstwa.

Przed wszystkim zabrakło pieniędzy na zakup materiałów niezbędnych do bieżącej produkcji. Niektórzy z dostawców — choć nie wszyscy —

zdecydowali się dostarczać je na kredyt. Nie były to jednak ilości wystarczające, a sposób zaopatrywania się — niemożliwy do kontynuowania przez dłuższy czas. Narosły więc nowe długi, zerwały się, bardzo trudno do odtworzenia, więzi kooperacyjne.

Powołany został specjalny zespół do zbadania sytuacji w kombinacie, oceny jego gospodarności, ekonomiki, warunków techniczno-technologicznych. W jego skład weszli przedstawiciele banku, Izby Skarbowej, Wydziału Budownictwa UM Łodzi i ŁKB — Zachód. Wyniki badań przeprowadzonych przez ten zespół staną się podstawą do podjęcia decyzji o dalszych losach przedsiębiorstwa.

Doraźnie — uzyskano kredyt na warunkach specjalnych. Znaczną jego część poszła na pokrycie długów dostawców i kooperantów, pozostała — umożliwiła zakupy środków na bieżące potrzeby, gwarantując utrzymanie ciągłości robót budowlano-montażowych.

JEST KOMISJA — NIE MA DECYZJI

Zespół zakończył działalność — decyzji ciągle nie ma. Tymczasem kombinat pracuje — ale sytuacja w nim jest zła. O kłopotach, z jakimi boryka się ŁKB — Zachód wie oczywiście nie tylko jego kierownictwo i samorząd, ale cała załoga. Na budowach trwa atmosfera oczekiwa-

TERESA JERZYKOWSKA

Oczekiwanie na pierwszego bankruta

nia. Co prawda praca w systemie akordowym gwarantuje niezłą wydajność — jej podnoszeniu jednak nie sprzyja brak możliwości podnoszenia plac. Nie zmieniły się one w tym roku — a jedynym wylatkim jest wprowadzenie wynagrodzeń za pracę w wolne soboty, co zwłaszcza teraz, w okresie wiosenno-letnim, gdy tempo budowy może być największe, jest niezwykle ważne.

Niektórzy z robotników, nie czekając na to, co dalej będzie z całym przedsiębiorstwem podjęli już własne decyzje: od stycznia do czerwca 1985 r. odeszło ponad 80 osób z podstawowych zawodów budowlanych, wśród nich także deficytowych specjalistów. Co gorsza — wielu z nich nie trafiło do innych państwowych przedsiębiorstw budowlanych, lecz do firm prywatnych. Zatrudnienie na ich miejsce nowych ludzi jest niemożliwe — no prostu ręk do pracy w tej branży brakuje. Tendencja ta utrzymuje się — do działu kadr napływają kolejne podania o zwolnienie.

Nie odchodzą ludzie od wielu lat związani z zakładem, choć i ich dręczy poczucie nienowoczesności, którego nie potrafi zniwelować świadomość, że — bez względu na los kombinatu — w naszym systemie żaden człowiek, który chce pracować bez pracy nie pozostanie.

Każdy kolejny dzień oczekiwania na decyzje niepewności co do warunków w jakich przyjdzie pracować oznacza zmniejszenie szans na wykonanie zadań planowych. Za pierwsze półrocze 1985 r. budownictwo mieszkaniowe zrealizowano w 26,3 proc., wówczas zyszące w 14

proc. Nie są to wyniki doskonałe, ale nadal istnieje możliwość pełnej realizacji planu.

Obecnie kombinat ma obowiązek sformułować program działań, które, w ocenie banku, gwarantowałyby odzyskanie wiarygodności, a tym samym przywrócenie kredytowania na normalnych zasadach. Program taki powstaje — ale do tego, aby był on rzeczywiście wiarygodny i realny muszą być znane podjęte już poza kombinatem decyzje: jakie ulgi i dotacje otrzyma przedsiębiorstwo (i czy w ogóle je otrzyma), czy w najbliższych latach działalność kombinatu ma być ukierunkowana przede wszystkim na budownictwo mieszkaniowe czy inne, co dalej z fabryką domów? Bez ostatecznej odpowiedzi na te pytania nie uda się opracować programu zadawalającego bank. Tymczasem — organ założycielski milczy.

MILCZENIE NIE JEST ANI ZŁOTEM, ANI SREBREM...

Milczenie to nie jest — moim zdaniem — wynikiem obojętności czy niechęci do podejmowania decyzji. Wynika to z faktu, iż ostateczne rozwiązanie problemu ŁKB — Zachód jest sprawą niesłychanie trudną. Nie jestem również pewna, czy powołanie o tym decydować właściwie organ założycielski, czy też lepsze w tym

pozbawionych kredytu. Tyle że jak dotąd, ani jedno z nich nie zbankrutowało naprawdę i w sposób ostateczny.

Wystarczy więc parę jednostkowych decyzji o bankructwie — aby posypały się liczne, następne. Wystarczy parę udzielonych ulg, dotacji itp. sposobów wsparcia zagrożonych — aby coraz bardziej energicznie zaczęły ubiegać się o nie pozostali potencjalni bankrucci.

KOMU OPLACA SIĘ BANKRUCTWO?

Wróćmy jednak do przykładu ŁKB — Zachód. Decyzje w tej sprawie mogą być — z pominięciem szczegółów i wynikających z nich wariantów — dwie:

— zakład otrzymuje odpowiednie dotacje i ulgi, odzyskuje warunki do kredytowania i działa dalej,

— powołuje się zarząd komisaryczny, który wkrótce potem ogłasza bankructwo zakładu i przystępuje do jego likwidacji.

Rozwiązanie pierwsze oznacza, że przez najbliższe lata zakład będzie prowadził modernizację fabryki domów, budując jednocześnie mniej więcej tyle, co obecnie i borykając się z rozmaitymi, bieżącymi trudnościami, straszony co czas jakiś kolejnym wstrzymaniem kredytu, występujący o nowe ulgi i przedstawiający kolejny program poprawy — aż wreszcie poprawi wyniki ekonomiczne, zakończy inwestycję i zwiększy efekty rzeczowe, czyli, używając języka sportowego, wyjdzie na prostą.

Rozwiązanie drugie — to utrata co najmniej kilkuset mieszkań w aglomeracji łódzkiej. Nie jest bowiem możliwe, aby w pozostałych kombinatach budowlanych udało się jeszcze w tym roku ułokować wszystkie, pozostałe do wykonania zadania kombinatu Zachód, a i w latach następnych jest to dość mało prawdopodobne.

Z rozmysłem pomijam tu wszelkie skutki organizacyjne, jakie pociągnie za sobą decyzja na „tak” lub na „nie”, a także psychologiczne znaczenie dla kilkuset zatrudnionych w kombinacie ludzi, ograniczając się jedynie do podstawowych aspektów. Nie mam również zamiaru sugerować jakiegokolwiek rozwiązania w tym jednostkowym przypadku.

Rozwiązując jednak tę sprawę — a także inne, podobne, rozpatrywane w ostatnim czasie i obecnie na terenie całego kraju warto byłoby sformułować odpowiedź na pytanie zasadnicze: jaki właściwie model i kształt budownictwa o bowiązywać powinien nie tylko w najbliższych miesiącach, ale w najbliższych latach, przynajmniej w czasie, jaki obejmuje przygotowywany właśnie projekt planu pięcioletniego. Trwająca dyskusja nad jego wariantami — z których żaden nie przewidyuje pełnego zaspokojenia potrzeb społecznych w dziedzinie budownictwa — jest dla tego typu rozważań najlepszą chyba okazją.

Decyzje o bankructwie jednego bądź kilku przedsiębiorstw, o wsparciu kilku innych są doraźnym łataniem dziur. Nie gwarantuje to uporządkowania całej sfery budownictwa, w której przecież od paru lat dzieje się, łagodnie mówiąc, nie najlepiej.

Aby tę sytuację poprawić — potrzebne są głębokie zmiany strukturalne, uporządkowanie organizacyjne tej dziedziny gospodarki i to począwszy od samego szczytu — czyli resortu, który obecnie nie bardzo wiadomo, jakie ma kompetencje i możliwości, aż po stworzenie takich przepisów, opartych odpowiednimi bodźcami, które na wszystkich uczestniczących w procesie powstawania mieszkań i obiektów towarzyszących wymuszałyby właściwy, tj. przynoszący efekty rzeczowe i mobilizujący do ich zwiększenia styl pracy. Jednocześnie zaś powstać muszą warunki, w których styl ten byłby możliwy do realizacji.

Tak głębokie zmiany wymagają niewątpliwie decyzji podejmowanych także na szczeblu centralnym, a sam proces ich wdrażania musi czas pewien potrwać. Sadzę jednak, że warto go rozpocząć, nawet jeżeli w pierwszej fazie wymagałoby to dużego zwiększenia nakładów na inwestycje w skali resortu budownictwa i kooperujących z nim resortów, produkujących na jego potrzeby, a nawet, jeśli oznaczałoby to znaczne zahamowanie tempa budownictwa mieszkaniowego w pierwszych latach najbliższej pięcioletki. Jeśli zmiany pójdą we właściwym kierunku i zostaną konsekwentnie zrealizowane — straty te dadzą się szybko nadrobić, budownictwo odzyska swoją właściwą pozycję wśród innych działów gospodarki narodowej, a w latach następnych uda się wreszcie rozwiązać trwający już zbyt długo „problem zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych”.

Doraźne decyzje jednostkowe, podejmowane w stosunku do poszczególnych przedsiębiorstw, bez jasnego, ściśle określonego programu w skali makro będą oczywiście miały pewną znaczenie przede wszystkim dla samych zainteresowanych zakładów i ich załóg, a także odbiją się na efektach w skali województwa, choć zapewne w stopniu mniejszym od przewidywanego, nie zmieniają jednak ogólnego stanu budownictwa w kraju. A ten — jak wszyscy wiemy — jest zły.

Na parę dni przed ukazaniem się „Odgłosów”, już po przygotowaniu do druku tekstu, zapadła decyzja w sprawie ŁKB — Zachód: w przedsiębiorstwie powołano zarząd komisaryczny. Dyrektor Wydziału Budownictwa Urzędu m. Łodzi mówił: Wybrałmy tę możliwość — z trzech rozważanych — jednocześnie próbując stworzyć takie warunki, które umożliwiłyby uporządkowanie sytuacji w przedsiębiorstwie. Min. inwestycji został zobowiązany do kontynuowania współpracy z kombinatem, a także do pomocy w realizacji programu modernizacji. Zanim zostanie ona ukończona, kombinat jeszcze w tym roku będzie montował budynki w innym systemie, którego technologię zakupiono w innym województwie. Aby nie zmniejszyć liczby mieszkań planowanych na rok bieżący — w najbliższym czasie wszyscy podwykonawcy spotkają się i omówią szczegółowo realizację zadań, jakie pozostały do wykonania, ewentualnie do pomocy w niektórych pracach zostaną zobowiązane pozostałe kombinaty. Jesteśmy przekonani, że decyzja ta pomoże w dość szybkim czasie ustabilizować sytuację w kombinacie i zostanie on uratowany, co zarówno ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia jest najkorzystniejsze.



Foto: Grzegorz Gałasiński

arywała pakiet z człowiekiem. Później za pomocą odierzono nieprzebrane skarby ziemi, więc ludzie zaczęli się, by je zdobywać na światło dzienne i pożytkować na swojej chwale. Deszczu kopalnie, głębsze, coraz głębsze, aż woda, co w ziemi stała i kożeniom roślin służyła, przedziękła przez tę ziemię niczym przez sito. A że człowiek w okropnej pszości swojej rył bez opamiętania, bo więcej chciał utoroku do wydobycia, przeto jej władzę mu kopalniane wody pompować i odprawiać było dalej od szlona. Ciemne kopalniane wody spływały tedy do rzek i strumieni, a że los taki nie ominął także Policzki, rychło zgasło wszelkie w niej życie drzewiaste. Odąd skałnym korytem rzeki płynęła gęsta ciecz, czasem szara, to znów brunatna albo ruda. Musiało miasto pilnie poszukiwać nowego źródła, do życia bardzo niezbędnego, bo domostw swoich nikł opuścić nie chciał. Pod miastem znaleziono jako tako czysty strumyk, który choć niewielki, pierwsze pragnienie zdołał zaspokoić. Studnie wysychały, a dwa tylko głębokie odwierty trafily w ubogte żyły wody.

Tymczasem ludzie zaśnięci piędem do dobrobytu, w milionach ton dóbr wszelakich się przejawiającym, ruszyli do wznoszenia nowych fabryk, nowych hut, nowych domostw. Niebawem w ósmym wiek swego istnienia wkroczyli Świebodzice jako fabryczny kołos z siedemnastoma dużymi zakładami na dwadzieścia i trzy tysiące mieszkańców. Biegli w rachownia odrzobili sukces, albowiem na tzw. głowę ludności dawalo to drugi w kraju przemysłowy potencjał, tuż za plecami górniczych Siemianowic. Kołos zafundował sobie całkiem sporą mleczarnię, zakłady drzewne i

Miasto i woda

Stan klęski

parę sportowców, które tym się wyróżniają, że apetytu na wodę odmówić im nie sposób. Kołos zapomniał albo pamiętać nie chciał, że woda choć z nieba spada, wazelino nie na każde człowieka życie, a matka natura od ścieków umiera, zamste okrutna po śmierci czyniąc.

Gliniane nogi kołosa chwiały się niebezpiecznie. Jeszcze w sierpniu 1982 roku „Lato z raniem” głosami swych słuchaczy uznalo świebodzickie kąpielisko za miejsce szczególnie urokliwe, gdzie woda czysta i trawa zielona. Lecz wtedy już z niepokojem spoglądano na bezchmurne niebo. Rychło słońce wysuszyło niewielki potok, w rezerwowym zbiorniku zaświeciło dno, a dwie głębokie studnie nie zdołały podolat pragnieniu ludzi i fabryk. Jedyną nadzieją była nagła odmiana pogody.

STAN KLĘSKI ŻYWIŁOWEJ

Modlitwy o deszcz nie zostały wysłuchane. 10 listopada 1982 roku Wojewoda Wałbrzyski ogłosił stan klęski żywiołowej dla miasta Świebodzice. Batalia szła o wiadro wody dla każdego mieszkańca, o zdrowie, o ratowanie fabryk działających się własnymi środkami z zamkniętego obiegu. Do szczy przystąpiły beczkowozy.

Z bazy w Dzierżoniowie, mieście, które dotychczas najbardziej cierpiało niedostatek życiodajnego płynu, wyruszyło do Świebodzic karawana zbiorników na kołach. Bo wałbrzyskie od lat za trute i spragnione, zdążyło dorobić się własnego taboru pojazdów transportujących wodę. Tankowano po drodze, wszędzie tam, gdzie dało się wyczerpać odrobinę wody zdanej do picia. Na świebodzickich ulicach czekała ludzka i wiadrami.

Kierowcy beczkowozów pracowali na trzy zmiany, w samochodach na moment nie gasły silniki. Lecz miasto ciągle było nienasycone. Czekały piekarnia, szpital, stołówki, pralnie, żłobki. W mleczarni odmierzano każdy liter wody, ciemniejszej niż mleko. Kilka fabryk musiało przerwać produkcję, wyhamować pracę. Na odsiecz usychającemu miastu wyruszyły cysterny z głębi kraju, także z Łodzi.

Nastal czas klędy miejscowa władza uczyla się sztuki dmelecia czynm, co nigdy racjonalnawiu nie podlegało, czynm co jak powietrze stanowi o życiu — woda. Ludzie potrzebują wody. Ile wody potrzebuje jeden człowiek? Ile musi jej mieć. Bo równo nie znaczy wcale sprawiedliwe. Bo beczkowiez to nie studnia, to za ledwie paręset litrów, więc komuś musi brakać. Komu? Może samotny, oni przecież nie potrzebują tyle co wielodzietni. A inwalidzi... Czy robotnik pracujący w brudzie dostanie tyle ile nauczyciel, ekspedientka. A lekarz... Czy kawiarnia to jest zbyt luksus, gdzie pije się dla przyjemności, nie z potrzeby. A fabryki. Czy ważniejszy chleb, czy maszynny na eksport. Może mleko... Głupia sprawa, człowiek podobia kosmos, wymyśla komputer, nowe odmiany roślin, a tu taka głupia sprawa — woda. Dwadzieścia pięć beczkowozów dnem i nocą pedziło po okolicy woząc wodę dla Świebodzic. Bładym światem pierweza zmian woziwodów meldowała się pod budynkami szpitala, przychodni, piekarni, przetwórni. To był znak, że miasto walczy jeszcze o przetrwanie, o egzystencję. Gumowymi węzami przefaczano wodę do zbiorników, waniek, beczek, kotłów. A potem były narady: ile mamy tej wody, do czego starczy, co może poczekać, jak długo...

Po południu beczkowozy wtaczały się na Starówkę, do nowych osiedli. Wszędzie tam czekała już ludzka i wiadrami. Napełniali wiadra i ostrożnie, bardzo ostrożnie nleśli je do domów. Przelali wodę do trzech naczyń: do picia, do mycia, do prania. Po południu bardzo lubili przyjeżdżać tu faceci z kamerami. Filmowali krany, z których nie kapala woda. Rozmawiali po polsku, po angielsku, po niemiecku. Dziwili się, że można tak żyć. Trzecia nocna zmiana woziwodów brata kurs na fabryki. W fabrykach pospiesznie kopano dół, żeby natapać wody ile się da. Bo przemysł krztusił się własnymi brudami, swoimi ściekami, których nija nie umiał zamienić w wodę czystą. Ścieki krażyły w zamkniętym obiegu, raz, drugi, trzeci, cuchnęły okrutnie. Dwie studnie głębokie dawaly ledwie dziesiątą część potrzebnej fabrykom wody. Dla ludzi wielkiego przemysłu nastal czas ekologicznego dojrzewania. Po raz pierwszy rzecz nazwano po imieniu: klęska. Zapadały dramatyczne decyzje.

PRZEDPOLE APOKALIPSY

Kiedy ciężkie, napełnione wodą beczkowozy zdążyły ku Świebodzicom, z przeciwka sunela luda kolumna pojazdów. Były to szesnastoczynne wozy wiozące komunalne i przemysłowe ścieki. Bo Świebodzice stoja na niemieckich szambach: przepelnionych, zięjących odorem silosach z spoił kolel parowej. Na tych szambach rosl męzniał i dumnie wypinal pierś wielki przemysł, dziecko gospodarczego sukcesu. Na tych szambach rosto fabryczne miasto, potęga wyiwórcza Kołos na szambach.

Jedno tylko osiedle doczekało się kanalizacji. Reszta stoł na przysypanych chlorem silosach z odchodem, na pustynnej ziemi. I dluo przyjdzie jeszcze tak egzystować, bowiem zbiorczy dół, do którego zlewa się niewystęski kilku podwałbrzyskich miast, niewiele ścieków już pomieści, a rynnastok wspany rzeka Peltznica nie chce przyjmować kolejnych poderunków cywilizacji.

Miastu groziła epidemia. Fabrykom groziło zamknięcie. Kilka zakładów już pracował na pół zwiszka. Gotowy był plan oddelegowania załóg do prac ziemnych. Czekała na decyzje z Wałbrzcha.

Wtedy to wojewódzkie władze zjechały na przedpole apokalipsy. W pełnej krasie ukazała się wizja przy-złości, wiaja miast,

głoda zapominano o tym, co człowiekowi do życia niezbędne.

Przedpole apokalipsy leży dziesięć kilometrów od granic Wałbrzcha.

W obliczu klęski Wałbrzyski oddaje Świebodzicom część własnej wody. Natychmiast musi budować satunkowego rurociągu: przez pola, przez las, przez wyrwane dynamitem szczeliny w skałach, przez miedzynarodową drogę. Tempo jest szalone, pospiesz i walka z czasem. Idzie o życie miasta.

Lecz nitka rurociągu to za ledwie program na dziś: latanie dziury, pierwsza pomoc. Działaj usychają Świebodzice, Bielsawa, Dzierżoniów, ludo brankie wody w Wałbrzysku, Świdnicy, Jaworzynie. Gdzie zatankują beczkowozy, skąd ciągnąć rurociąg. Potrzebna jest zapora i zbiornik retencyjny, i stacja uzdatniania wody, i wielka oczyszczalnia ścieków. Już są potrzebne, zaraz! Pieniądze, przeliczane piędziami, grube miliardy. I jeszcze trzeba coś zrobić ze śmieciami, bo okoliczne wsie nie chcą wałbrzyskich śmieci wyrzucać za chałupą.

Może ostatnia to szansa, może ostatnia nadzieja na to, żeby móc na tych niemiłych żyć, żeby nie były to „ziemie wyzyskane”.

NADZIEJA CZYNI CUDA

Tymczasem w Świebodzicach nadzieja czyni cuda. Za dwa miesiące, za miesiąc ma być woda, normalne życie. Ludzie z pomocą przyznają zeszłe nradki natury, uczą się żyć między kolejnymi wizytami beczkowozów, uczą się prac w wodzie zastopionego śniegu, uczą dzieci, że woda to wielka sprawa. Fabryki muszą przyzwyczajać się do nowych warunków, kiedy zwykła woda jest najcenniejszym reglamentowanym surowcem. Kominy dymią jak kiedyś.

Tylko dziełne beczkowozy do ona saranięte morderczą pogonia do wodopojów, coraz częściej przychają, zgrzytają, gasną na środku drogi. Mają lysie opony, kończy się ekstra przydział paliw, potrzeba części zamiennych. A jest rok 1983, kraj także nie ma opon, paliw, części zamiennych, proszków do prania, mydła, butów. Ale kraj ma wodę, i kraj musi pomóc.

W biurku naczelnika usychającego miasta leży specjalna pieczęć. Ta pieczęć otwiera wszystkie niedostępne drzwi, jest rozkazem. Jeśli brakuje opon, paliw, proszków do prania, mydła, naczelnik może wyjąć tę pieczęć i zrobić z niej użytek. Naczelnik pisze zamówienie i przystawia pieczęć.

„W związku z ogłoszeniem w dniu 10 listopada 1982 roku przez Wojewode Wałbrzyskiego stanu klęski żywiołowej dla miasta Świebodzice w zakresie zaopatrzenia miasta w wodę stosownie do dekretu z dnia 27.04.1953 r. (Dz.U. 23 poz. 93) i aktów wykonawczych do tego dekretu, zobowiązujących dostawców do realizacji zamówienia zgodnie z zadanym terminem, proszę o dostawę w trybie priorytetowym stosownie do stanu klęski.”

Po kilku dniach są opony, jest paliwo, są proszki. Nie ma wody. Wody nie da się załatwić naczelnikowską pieczęcią. Matka natura nie wie, co to priorytet.

Nadchodzi wiosna. Wałbrzyski rurociąg osiąga rogatki Świebodzic. Przyroda, jakby w geście pojednania, a może ostatniej już nadziei, krzesa reszki sił i w potoku pojawia się woda. Sa napęd robi badania: czysta! Z kranów wylecia prawdziwa, naprawdę czysta woda. Jeszcze cienki strumyk, nieśmiało, się przeciął... Miasto ma swoje wielkie święto — „święto wody”.

Mijają upojne miesiące. Beczkowozy wracają do Dzierżoniowa, koparki rują ziemię pod Dobromierzem, bo tam właśnie ma powstać zbiornik sudeckiego systemu zaopatrzenia w wodę — pomnik świebodzickiej klęski. Mieszkańcy Świebodzic nie zapominają: wodę trzeba szanować, wodę trzeba oszczędzać. Za to przemysł nie żaluje sobie.

ŚCIEKI Z KSIĄŻA

W maju 1983 roku do Świebodzic wracają beczkowozy. Zakłady porcelany w Książu zatrzymują wodę w ujęciu. Fabryczne ścieki przelewają się ze stawów osadniczych do kanalizacji burzowej i spływają do ostatniego czystego potoku. Badania wykazują skażenie wód kadmem i tlenkiem glinu. Zysie biologiczne w potoku wymiera.

Ala fabryka pracuje dalej. Ścieki próbują się tamować przez popieczsne zamurowywanie spływów. W potoku płynie szara zawieszina, unoszą białe rybie brzoży. Dwudziestotysięczne miasto znowu nie ma wody. Dopiero następnego dnia zapada decyzja o przerwaniu produkcji w Książu. Potok kwalifikuje się do trzeciej klasy zanieczyszczeń.

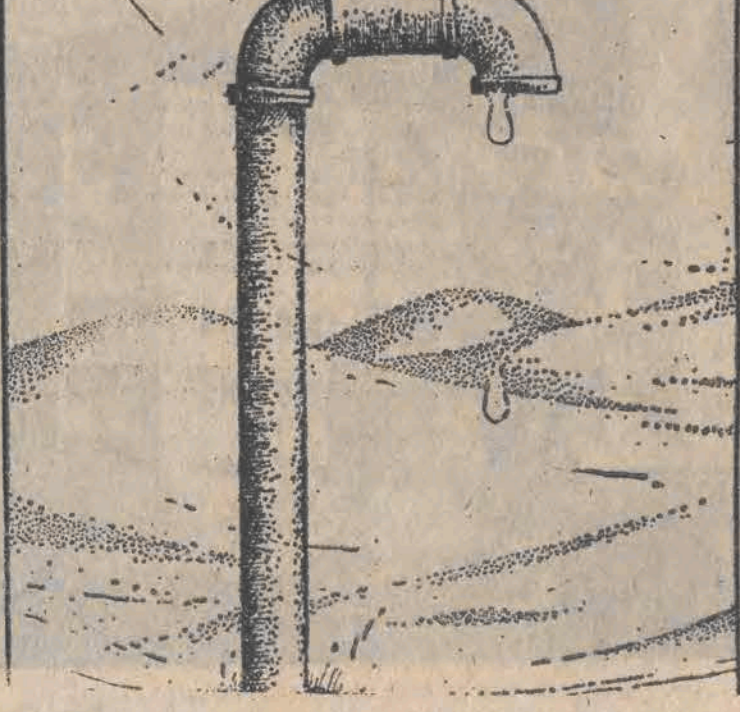
Teraz trzeba czekać aż przyroda upora się z kadmem i tlenkiem glinu, aż zaleczy rany. Na razie Wałbrzyski dzieli się wodą z nieszczęśliwymi Świebodzicami. Na razie Dzierżoniów dzieli się beczkowozami z nieszczęśliwymi Świebodzicami. Jedyna nadzieja w tym, że spadną obfite deszcze. Padają.

Po upływie miesiąca Sa napęd zezwala na ponowne czerpanie wody z potoku. Przyroda raz jeszcze leczy rany po ostru ludzkiej beamylności. Beczkowozy odjeżdżają do Dzierżoniowa. Na krótko...

Trzy dni później woda w potoku zostaje skażona, tym razem za sprawą zlewni. Niedługo potem następuje awaria wałbrzyskiego rurociągu. Wracają beczkowozy.

Na świebodzickim Rynku są dwie kamienne fontanny: szare, zakurzone. Przechodnie idą o zakład, że nigdy nie tryśnie z nich woda.

ROMAN KUBIAK



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Obustronna nieufność

czynnych, obsłudze samochodów i wysługu z czasem, trudno jest jeszcze upilnować sześć rozwartych wierzeli.

A magazyn jest łakomą gratką, bowiem wypełniają go bekle tkanin, paki gotowych wyrobów przemysłu lekkiego z całej Łodzi i okolic. Do wnętrza magazynu, nawet z szarego brzegu, mógł wejść byle kto, bowiem od strony ulicy, w ciągu dnia, nie ma żadnego strażnika, a i kierowca lub konwojent, gdyby chciał, mógłby, nie dostrzeżony podwędzić jakiś pakunek. Ciężkie woźki ręczne, załadowane paczkami wymagają obsługi dwóch chłopów, nie ma więc komu pilnować bram otwartych dla każdego złodzieja. Zdarzają się omyłki przy liczeniu paczek, przy zablu wyładunku, a po przerwaniu dziennie do trzydziestu ton na człowieka, nie bardzo można liczyć na własny refleks i spostrzegawczość. Można nie dostrzec, że czegoś ubyło.

Poza tym załoga magazynu uzupełnia jeszcze kierownika uwieszona w pakamerze przy telefonach i robotce papierkowej, towarzyszącej ekspedycji towarów. Całkiem od niedawna zatrudniona była jeszcze kontystka, która miała przejąć całosc biurowych operacji, pozostawiając kierownicze ogólny nadzór nad całością Teoretycznie więc można było tak rozłożyć pracę na wszystkich zatrudnionych, by ekspedycja szła sprawnie, papierki były przekładane i miał kto pilnować całości.

2.

Są jednak okoliczności dodatkowe. Lutowy zbiorowy bunt załogi przeciw podpisaniu „Zakreślu obowiązków” wydarzył się pierwszy raz w historii przedsiębiorstwa. Nie wywołal jednak nazbyt gorącej reakcji ze strony kierownictwa. Szczegrze mówiąc reakcji nie było wcale. Owszem, w magazynie pojawił się dyrektor naczelny III Oddziału PKS, pan Budzichowski, wysłuchał racji pracowników, zgodził się, że trzeba poprawić organizację pracy tak, by usprawnić nadzór nad magazynem. Nie wypowiedział się natomiast jasno co myśli o zarzucie załogi magazynu iż narzucony zakres obowiązków stanowi pomieszczenie kompetencji ładowaczy, magazynierów i kontrolerów, rozmycie odpowiedzialności. Albo inaczej mówiac, jest to sytuacja, gdzie praktycznie wszyscy są odpowiedzialni, tylko nikt nie jest w stanie sprostać odpowiedzialności.

Rozmowa się odbyła i nastąpiła cisza. Żadnych posunięć ze strony kierowników firmy ani w zakresie zmian organizacyjnych, ani wobec załogi.

10 maja 1985 r. pracownicy magazynu piszą do swej dyrekcji pismo, w którym wyszczególniają wszystkie swe zastrzeżenia co do organizacji pracy, systemu zabezpieczenia mienia i nadzoru dyrekcji nad stanem i sytuacją w magazynach sobie podległych (jest ich w Łodzi trzy). Piszą także o swych spostrzeżeniach co do systemu kontroli. Twierdzą, że co najmniej od kilku, a nawet kilkunastu lat, nie była w magazynie przeprowadzana generalna kontrola wartości spie czy remanent. Na dobrą sprawę żaden z pracowników, łącznie z kierownikiem magazynu, nie miał pełnego obrazu tego, co się w magazynie znajduje, czego, brak lub czy jest superata. Bleżąc specyficją, oburzynie ilości codziennie przetrzymanego towaru sprzyjały sytuacji, gdzie ewentualne straty byłyby odkrywane przypadkiem i po nie ustalonym czasie od momentu zaistnienia.

Załoga oczywiście rozumie że stan bazy magazynowej w Łodzi jest generalnie tragiczny, że bieżące potrzeby właściwie wykluczają nowoczesną operację spedycji i kontroli, że nie zawsze można dopełnić wszystkich warunków koniecznych, że wreszcie brakuje ludzi do pracy. Niegdyś w tym magazynie pracowało piętnastu ładowaczy

plus magazynier i kierownik. Teraz chętnych nie ma, choć średni zarobek waha się w granicach 12—14 tys. Nie zwalnia to jednak — zdaniem pracowników — dyrekcji od troski o poprawę sytuacji w miarę możliwości, a zwłaszcza nie może ona lekceważyć postulatów załogi. Pismo do dyrekcji dotarło, zaopatrzone w numer dziennika przyjęć. I pozostało bez odpowiedzi do teraz.

3.

Trzeciego czerwca sytuacja w magazynie była kiepska. Kontystka i kierowniczka magazynu były nieobecne, na zwolnieniach. Jeden ładowca był na urlopie. Pozostało czterech ludzi do obsługi sześciu bram magazynu i normalnej roboty przy odprawianiu podjeżdżających samochodów. W trakcie ładowania jednego z nich, pracownicy stwierdzili, że brakuje kilku pakunków. Nikt nie był w stanie określić, czy brak powstał w wyniku pomyłki przy przyjmowaniu towaru do magazynu, czy popełniono kradzież, czy też może towar znajduje się w innym, niż powinien miejscu, choć to ostatnie jest praktycznie niemożliwe. Szczupłość miejsca w wypełnionej hall wymusza szczególną dyscyplinę przy układaniu towarów w wyznaczonych miejscach. Zawiadomiono dyrekcję PKS oraz sekcję kontroli i reklamacji. Przeprowadzono spis z natury (czyli na podstawie faktur i ilości pakunków) ze wartości magazynu, wykazał brak na łączną kwotę 130 tysięcy złotych. W protokole stwierdzono, że za straty odpowiada załoga magazynu, choć nie stwierdzono ostatecznie, w jaki sposób strata powstała. Pismo z dyrekcją, jakie otrzymał pracownicy jasno określało kto, zdaniem przełożonych, odpowiada za stratę i wyliczono, że każdy z pracowników ma wyłożyć z kieszeni po blisko 19 tysięcy złotych.

W tym momencie załoga ostatecznie już straciła zaufanie do swych przełożonych. Oni ostrzegali, że jest źle, domagali się zmian, a jak w końcu zło się stało, to dyrekcja zapchnęła na nich całą odpowiedzialność. Ponadto milicja, rutynowo obecna w magazynie, po stwierdzeniu braków, także wskazywała na zła organizację pracy, która wyklucza pilnowanie wszystkiego przez ładowaczy.

Napięcie rosło, załoga magazynu oczekiwala jakichś posunięć ze strony dyrekcji, tam panowała cisza i nily ni to, że dyrekcja odfałkowała stratę na pracowników złożyła obowiązek finansowego zadośćuczynienia i najwyraźniej uznała sprawę za niebyła. Co tym dziwniejsze, że była to pierwsza w magazynie nr 3 strata takiej wysokości. Owszem zdarzaly się i przedtem braki, czy kradzieże, jednak nigdy nie tak wartościowe.

Cierpliwość załogi magazynu wyczerpała się 29 czerwca 1985 r. Rano, tuż po rozpoczęciu pracy o godzinie 8, jeden z pracowników, Jan Gosławski, zadzwoiował do dyrekcji komunikując, że cała załoga postanowiła nie przystępować do pracy, jeśli, w końcu dyrekcja nie przedsięwzięmie jakichś kroków zaradczych i że czekała na decyzję kierownictwa. Po tamtej stronie zapanowało widzące spore poruszenie, bo o podziwie dziewialet rano w magazynie pojawiła się liczna delegacja. Przyleciał dyrektor naczelny — Budzichowski i sekretarz POP — Koider, nawet przewodniczący Rady Pracowniczej — Tyczkowski i kierownik spedycji, odpowiedzialny za wszystkie magazyny III Oddziału KPKS — Peliński.

4.

Strony zasiadły przy stole do rokowań. Pracownicy magazynu powtórzyli wszystkie swe argumenty przedstawione w piśmie do dyrekcji z 10 maja 1985 r., przydomnieli o swych apalach, wygarnęli brak kon-

trolę przeprowadzanych w magazynie. Żądali też odpowiedzi na kilka pytań. Na przykład — dlaczego nie otrzymali żadnej odpowiedzi na swe pismo? Dlaczego dyrekcja nie powiększyła załogi magazynu, kiedy gołym okiem widać jest tych siedmiu ludzi nie jest w stanie upilnować wszystkiego? I dlaczego od lutego, od pierwszego sygnału, nic nie zrobiono, aż w końcu doszło do strat materialnych?

W odpowiedzi były argumenty o trudnościach ze znalezieniem chętnych do pracy w magazynie, co więcej, przyjęcie nowych pracowników spowoduje obniżenie płac dla wszystkich, bo funduszu płac nie ma, na rozdymać, bo PFAZ... Ponadto załoga usłyszała, że dyrekcja nie uważa za wskazane powiększenie personelu magazynu, bowiem stan obecny w zupełności powinien wystarczyć, żeby sprawnie rozdzielić obowiązki spedycyjne, biurowe i kontrolne. A w ogóle, to gdzie jest powiedziane, że trzeba otwierać wszystkie naraz bramy magazynu przy prowadzeniu operacji za- i wyładowniczych. Można przecież zamykać te bramy, przy których nie można zostawić pracownika, a pracować po dwóch przy trzech wrotach. Jasno stąd wynika, że niedorobki organizacyjna w pracy magazynu spowodowane są lenistwem pracowników, ich niechęcią do ponoszenia odpowiedzialności za powierzone im obowiązki i ogólnym lekceważeniem obowiązków. Jednym słowem, pracownicy są buntownikami i nęgasami (cytat z wypowiedzi dyrektora)... i jak nie umiecie pilnować, to będziecie płacić.

Na tym naradę skończono. Załoga — chcąc nie chcąc, przystąpiła do pracy. bowiem w końcu miesiąc zwykle spędza się ilość przyjeżdżających samochodów z fabryki, powstaje kolejka, a przecież wszystkim tu zależy na czasie.

Praca trwała normalnie do końca dnia, tyle że Jan Gosławski, postanowił w imieniu załogi, zgłosić o istniejącej sytuacji w Dzielnicy Wzrostu i Spraw Wewnętrznych dla dzielnicy Polesie. Tamże złożył oświadczenie na ręce oficera, który asystował przy kontroli, po odkryciu braków, w dniu 3 czerwca. Oficer potwierdził swą opinię o niewłaściwym systemie organizacji pracy i kontroli w magazynie nr 3, jednak poinformował Gosławskiego, że żadnych działań przedsięwzięć nie może, należy to bowiem do kompetencji dyrekcji przedsiębiorstwa.

5.

8 lipca 1985 r. dyrekcja III Oddziału PKS w Łodzi, wyraziła swe wotum nieufności wobec załogi magazynu nr 3 doręczając całej załodze pisemne nagany (z datą 3 lipca, a więc przez całe miasto wędrowały papierki pięć dni). Nagany zostały udzielone: pracownikom fizycznym za własnowolne porzucenie pracy, co można nazwać nielegalnym strajkiem, spowodowanie poważnych trudności w pracy magazynu poprzez spiętrzenie kolejki oczekujących samochodów oraz ogólnie, za naganne spełnianie obowiązków pracowniczych. W związku z tym, pracownikom potrąca się pieniądze z premii stażowej. Kierowniczka magazynu otrzymała nagany za brak nadzoru nad podległym personelem i pracą magazynu. Wszystkie nagany dotyczyły dnia 29 czerwca 1985 roku, za godzinny od 8 do 9.30, czyli za czas, kiedy załoga powiała formidabla dyrekcji o zaprzestaniu pracy i czas trwania rokowań pracowników z przełożonymi. Ponadto, dyrekcja uznała za konieczne wydać zakaz przywożenia przez załogę jakiegokolwiek towarów do magazynu nr 3, co praktycznie oznaczało, że dyrekcja nie widzi dalszej możliwości pozostawiania w piecyzynie niesubordynowanych pracowników dobra społecznego. Magazyn sukcesywnie opuszczali towary zgodnie z harmonogramem odprawy samochodów, pułstosząły się składowiska. Jednocześnie dyrekcja zaangażowała nowego kierownika magazynu (nie odwołując z tego stanowiska poprzednie kierowniczki) Przeciwni z biurowca dyrekcji wskazywali, że nosi się ona z zamiarem całkowitego przemobilowania personelu. Do tychczasowi mają być przesunięci do innych prac na ich miejsce przywiezie się nowych i w ten sposób dyrekcja udowodni, że troszczy się o dobro społeczne, bowiem odsunę od piecyzyny nad nim ludzi, których nie obdarza już zaufaniem.

Na 10 lipca 1985 r. wyznaczono ostateczne spotkanie dyrekcji z załogą magazynu nr 3, gdzie miały zapadnąć decyzje co do losu załogi i magazynu. Dyrekcja zdecydowała, że chwilowo wyłącza z eksploatacji magazyn nr 3, do czasu skompletowania nowej załogi. Dotychczasowi pracownicy tego magazynu jako osoby niegodne zaufania, otrzymały następujące propozycje stanowisk pracy: ładowacze w innym magazynie, m.in. z częściami zamiennymi do samochodów, jako monterzy w hali technicznej obsługi lub jako straż przemysłowa.

Nadto dyrekcja poinformowała swych podwładnych, że to, czego się dopuścili 29 czerwca 1985 r. jest niedopuszczalne bo zablokowanie pracy tak niezbędnego magazynu, zważywszy ciężką w tym względzie sytuację w Łodzi, naraziło firmę na poważne trudności. O poziomie ich niedyscyplinowania świadczy fakt, że podobne trudności kadrowe w innych magazynach nie spowodowały żadnych buntów ich załóg.

6.

Pozostaje parę pytań. Może nawet naiwnych. Przede wszystkim zastanawia ta obrotowa logika przelozonych przedsiębiorstwa. Mimo wielokrotnych monitów załogi nie podejmują się żadnych działań zaradczych, lub choćby rzetelnego wyjaśnienia załozde dlaczego niewiele można zrobić. Stwierdzone zostają poważne braki materialne w magazynie, a mimo to, prócz nakazu finansowego obciążenia załogi, nikt nie otrzymuje nagany lub w innej formie wyrażonej dezaprobaty przelozonych ze swej pracy. Dyrekcja pozostawia tę sprawę na marginesie. Rokowania z 29 czerwca nie kończą się żadnymi sensownymi ustaleniami, za to załoga otrzymuje nagany za „przejęcie w pracy”. Skoro załoga utraciła w oczach dyrekcji zaufanie i nie można jej powierzać mienia społecznego, dlaczego zmiany kadrowe nie nastąpiły natychmiast po stwierdzeniu braków? Propozycje nowych stanowisk pracy — pozostawiam komentarzowi Czytelników. Na koniec: Skoro magazyn nr 3 jest tak ważny dla ekonomiki przedsiębiorstwa — i całego przemysłu lekkiemu w Łodzi — to czy większa jest strata wynikająca z „przejęcia w pracy” załogi — czy z zamknięcia magazynu w ogóle? A tak dzieje się obecnie. Poza tym, jeśli dotychczasowa załoga apelowała o zwiększenie liczby pracowników, by lepiej pilnować magazynu i spotykała się z odmową, bo nie ma chętnych do tej pracy, a w „pośredniaku” oferty leżą od miesięcy — skąd dyrekcja weźmie nowych pracowników do nieczynnego dziś magazynu? Jeśli tak długo nie dało się zwiększyć personelu, to jak dyrekcja zrealizuje swą decyzję, że prócz przyjętego już do pracy nowego kierownika magazynu, planuje się zatrudnienie jeszcze trzech magazynierów oraz 6 do 8 ładowaczy?

7.

Co się tyczy załogi, to pretensja właściwie jest jedna. Dlaczego — zanim wykorzystano wszystkie drogi wewnątrz struktury przedsiębiorstwa, załoga od razu zgłasza swą sprawę do gazety? Dziennikarz nie jest od tego, żeby robił porządek w firmie, bo mu za to nie płać. Na koniec wreszcie pozostaje pytanie bez odpowiedzi. Konflikt zaistniał w III Oddziale PKPS w Łodzi z pewnością nie był tajemnicą dla pozostałych pracowników przedsiębiorstwa. Ludzie się znają. Po co pantaflowa działa. Zatem o sprawie musieli też wiedzieć związki zawodowe, rada pracownicza, partia i inne czynniki społeczne działające w zakładzie. Gdzie więc były owe społeczne ciężki kiedy był czas na arbitraż, na wywołanie i rozkładanie powstałego napięcia? Jakoś trudno będzie uwierzyć w tobie, że wszystkie te ciała mają jeden, jedyny obowiązek — gbać o ludzi i firmę.

Sądzę, że Czytelnicy mają prawo oczekiwać wyjaśnień ze strony osób odpowiedzialnych, czy sytuację opisana powyżej powinniśmy uznać za normalną.

JOLANTA WRÓNSKA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Disco w pokrzywach

RYSZARD BINKOWSKI

5.

Krawiec w ciemnych okularach położył troskliwie dłoń na ramieniu posmutniałej Ceratówny. Zazdrosny ogrodnik Płoczek zgrzytnął z boleści zębami.

— Znasz tego pijanego baletmistrza? — spytał łagodnie Marek.
— Tylko z widzenia! — odparła szybko Julia. — Osobiście — dodała — to ja go znam o miesiąc za długo.
— Ten bandzior cię napastował? — indagował Jagusię krawiec.
— Uhum. Żada kopernika...
— Za co, u licha?
— Myśle, że za ochronę nad nami.
Marek Pietrzak coś jakby przybladł. Potem ogarnęła go chyba nagła fala gorąca, bo przetracił nerwowo zapocone szkła okularów.
— Ja na to nie pójde — mruknął przez zęby. — Zrzucilem się na „Adwokata”.
Płoczek milczał ponuro. Ale w głębi duszy odczuwał radość, że krawiec zaczyna robić we własne, elegancko skrojone gacie. Zbyszek usunął się w „cień”, ponieważ w kieszeni miał podszyte płótnem NN.
— Ha, dopóki on tam siedzi — oznajmiła rezolutnie Jagusia — możemy sobie pohulać, nie?
Hej, zakotłowało się w „Tumidaju” jak na stadionie po bramce strzelonej przez Widzew! Obsługa zatrzasnęła się na zapleczu, żeby nie ulec jakiejś kontuzji, a spod migotliwej żarówki jakaś artystka na prochach darła się wniebogłosy, że znów mleko stoi pod drzwiami.
Pawiany przy klozecie przelykały na sucho ślinę, bo nikt im mleka nie stawił. Zamiast mleka stanął na nogach sam szef obstawy, czyli nieśmiały osobisty goryl Bekera, Wiesław Walicki.
— Tak dalej nie da się żyć — oznajmił. — Leon, zrób kolejne podejście.

Beker podniósł się z ciężkim westchnieniem. Na czole nabrzmiała mu żyła niby postronkę przy oczku. Leon cały był tak nabrzmiały, że w ogóle nie mógł się ruszyć. Ale popchnięty w plecy wystartował...

6.

Grupa Pietrzaka ocierała spokojnie spoczone czoła i chłodziła się pepsi, kiedy Julia naraz wrzasnęła:
— Czego znowu, łachudro!?

Grupa zakrzuszyła się z wrażenia pepsi i szlifowała lekliwie w górę. A tam uśmiechała się wrogo twarz komornika przed egzekucją, Leona Bekera. A za nim stał z miną Sfinksa goryl Walicki.
— Jest ten tauzen? — warknął Leoncio.
— Nie ma — łachudro! — odwrzasnęła zuchwale Julia.
— Zamknij się, ruo, nie ciebie pytam.
— Myśle, że nie będzie — powiedziała Jagusia.
— Ależ będzie, kochanie — stwierdził spokojnie Leon. — Będzie gorąco.
— Z nami jest trzech mężczyzn — zareplikowała dumnie Jagusia.
Natenczas Beker chwycił ją za włosy i strzelił jej w dziób.
— No i co, ty ka-ce-ka?? — mruknął pieszczotliwie Leon.
Była to w „Tumidaju” obelga lekka, a znaczyła akurat tyle, co k... ciężkiego kalibru.
— No — warknął — gdzie są te chlipy?
Chlipy siedziały ze skromnie spuszczonej okiem, jak braciszki we zakonni na balu naturystów.
Beker popatrzył znacząco na trzech pawianów przy klozecie.
— Mam do roboty czterech ludzi — rzekł do Jagusi — więc niech się te twoje wały namyślą. A jak ty ich nie przekonasz, to tak ci zapiorwieszuję, że się w lusterku nie rozpoznasz. Daje wam kwadrans do namysłu, bo tyle jeszcze wycierpimy bez palwa. Potem będzie już tylko wpierniomał...

Odszedł wraz z Walickim, który cały czas milczał jak Sfinks. Śledzili ich zaleknione oczy z sektora prywatnego. Mijała północ.

7.

Przy stoliku Pietrzaka przez minutę panowała grobowa cisza. Wszyscy udawali, że rzeźwią się pepsi. Milczenie przerwał Zbyszek NN:
— Może byśmy wyszli z tej budy, co?
— Ani mi się śni! — odpalił dzielny krawiec. — Tutaj nas nie zabija.
— Ale oni są obstawieni! — pisnął Zbyszek.
— Phil W tańcu nas nie trafia! Tańczymy!
— Ten, co się ruszy — zagrzmiał z bliska głos Leona — przygotuj się z głową! Ja wam to mówię, sanitariusz!
Przycichł, kładąc uszy po sobie, a gdy Beker zginął w tłumie, zaczęli podrygiwać do taktu. Ale to ze strachu tak ich trzęsło. W „Tumidaju” był to zresztą nie pierwszy i nie ostatni taniec przestraszonych. Jednakże Jagusi zachciało się z tego wszystkiego do ubikacji. W drodze zatrzymał ją Leon.

— Zażatwione?
— Jeszcze nie...
— Nie? No, to będzie gorąco — powtórzył swoje Leon. — Sikiñij sobie, Jagus, żebyś nie miała czym płakać, i przyprowadź okularkina.
Jagusia spełniła posłuszenie oba życzenia i Pietrzak stanął z bładą twarzą przed groźnym Leonem.
— Baczność! — wrzasnął Leon.
Krawiec trzasnął kopytami nierzym ołapowiec na świniłskim poligonie.
— Raportuj!
— Melduję, że nie mam tauzena! Wyłożyłem się na „Adwokata”. A poza tym głupi uczeń spał mi żelazkiem trzy pary spodni.
Beker uniósł palec wskazujący gestem proroka.
— To zrób sobie, bracie, przymiarke na nowe bryle.
— Jeżeli go tkniesz, przeklnę cię! — pisnęła bohaterko Jagusia.
Beker chwycił ją za włosy, okręcił je kłkliwe wokół palców i mówił:
— Jagus, chyba będzie cię musiał zgrzać. A ty — wrzasnął na Marka — leć po budyliarza! Zaczekamy.

8.

Pietrzak wrócił do stolika i powiedział z rozpaczą:
— Cho-oleral! Ja się boję o okularkina...
Zbyszek milczał jak zwykle. Bał się, że w razie draki pojawią się szarobielkni i naruszą jego NN. Wszyscy się bał. Bramkarze i jockey wyłącznie, a jent liczy utarg za zamkniętymi drzwiami, brak dostępu do telefonu.
— On nam zrobi disco w pokrzywach...
— Trzeba mu dać — mówi dwuznacznie Julia.
— Powiedział, że zgrzeje Jagne.
— Ty na to pozwolisz?! — ryknął ogrodnik Płoczek.
— Tobie kazał tam przyjść.
Ryszard Płoczek poszedł rad nierad. Popatrzył na Jagusię w szponach krwawego Leona, wyjął portfel i wyciągnął kopernika. Beker dostrzegł w portfelu nawis i wrzasnął jak kibic na EKS-le:
— Jeszcze jeden, jeszcze jeden!
— Kolega, to na pokrycie strat. U mnie była stłuczka jaj...
— He, to forsna na baby ci niepotrzebna! Ale może być jeszcze amputacja, kolego.
Płoczek nie lekkał się ciężca, ale gdyby złamali mu rękę, to ani pomacać kur, ani przesadzić chryzantem z pola do szklarni. W obliczu większych strat dał drugiego tysiączka.
— Teraz możecie się bawić — rzekł wielkodusznie Leon i puścił z uwięzi Jagusię.
Bawili się spokojnie i szczęśliwie, Leon zaś przepijał z pawianami wymuszony rozbójniczo nawis.
Mineję pól do drugiej, naród szalał przed zamknięciem „Tumidaju”. Wtedy Beker z Walickim popłynęli do stolika sfery prywatnej. Popatrzył na Jagne okiem podgrzanym i oznajmił tonem operatora służby szpitalnej:
— Ty pójdziesz z nami.
— A po co?
— Zamykają budę, więc robimy disco w pokrzywach.
— Nie pójdę!

Leon spojrział ze wzgardą na swego goryla, po czym trzasnął Jagusię z półobrotu. Poderwał ją za włosy, Walicki chwycił dziewczę za ręce i wywił ją z sali. Nikt nie zareagował. Nikt nie widział uprowadzenia. Tylko jockey oknął się w ostatniej chwili. Musiał chyba zmienić taśmę, gdyż Jagusię żegnał marsz żałobny pt. „Luciola”.

9.

Oszofomiona Ceratówna stwierdziła, że znajduje się za budynkiem, a w nogi bodą ją ogórki i parzą pokrzywy.
— Rozbierz się — rozkazał Leon.
Pomyślawszy, że mogą jej urządzić miłość nagiego w pokrzywach, odparła hardo:
— Nigdy w życiu!
Otrzymała cios w twarz. Podniosła się, wybiegła z pokrzyw, ale zastawił jej drogę.
— Dobra, Jagus — usłyszała — zrobimy inaczej.
— Co-oo? Jak?
— Obciągniesz nam laskę...
Nie wiedziała, co to znaczy, ale gdy spuścili spodnie do kolan, pojęła ich szlachetne intencje.
Zaczęła się szarpać, ale Walicki przytrzymał ją mocno z tyłu, chwycił za włosy i zmusił do klęknęcia.
Spróbowała mu się wyrwać, ale przygłął jej kark, wyszarpując pęk włosów. Nie dawała za wygraną, lecz uderzenie w twarz osozłomiło ją na chwilę. Przykucnęła i gdy Walicki natarł ciałem, nie udało się jej uniknąć zbliżenia. Potem jednak cofnęła głowę.
— Daj trochę odsapnąć — poprosiła.
Puścił ją na moment. Wtedy zaczęła uciekać do furtki.

10.

Kiedy tamci wyprowadzali Jagusę, trzech dzielni kawalerowie ani drgnęli.
— Zróbcie coś, do diabła! — krzyknęła Julia.
Na odwagę zdobył się milczący Zbyszek NN. Nie zważając na pawianów wyszedł na chwilę za drzwi i zaraz wrócił.
— Poszli z nią za kawiarnię — powiedział.
— E-e, krzywyd jej nie zrobią — bąknął nieswoim głosem Pietrzak. — Była już naruszona...
— Ty świniol — wrzasnęła Julia. — Ech, wy śmierzdzicie! Jak wam nie wstydy?
— Cicho, zaraz zamykają. Włażmy lepiej do auta, bo tu naprawdę może być gorąco.
Wsiadli do malucha — Julia ze Zbyskiem z tyłu, Marek z kółkiem — i wyjechali z terenu kawiarni na ulicę. Czekali solidarnie na Jagusię, która na zapleczu odgrywała za nich rolę kozła ofiarnego. Po trzech minutach zobaczyli, że zaszokowana dziewczyna zderza się w furtce z Leonem.
— Już? — spytał Beker.
— Aha — skłamała, usiłując go wyminąć.
Przytrzymał ją za rękę, chłasnął na odlew w twarz.
— Kłamiesz, suko! Widzę, że nie zaspokoiny Wiesiek cię goni. Albo pójdziesz z nim, albo jeszcze tysiączek...
Udało jej się wyrwać i wśliznąć na siedzenie obok Pietrzaka, który nie uruchomił ze strachu silnika. Zanim zamknęła drzwi, do auta wpakował się Leon, a za nim Wiesiek, który usiadł kolędzie na kolanach.
— I co teraz? — wybałał Pietrzak.
— A nic. Za karę odwieziesz nas do domu — oznajmił Wiesiek.
Pietrzak uruchomił wreszcie silnik, a Jagna szepnęła mu do ucha, żeby skręcił w drugą ulicę w prawo. Zrozumiał.
Po pięciu minutach fiacik zatrzymał się przed RUSW. Wiesiek z Leonem byli jeszcze na tyle trzeźwi, że wyskoczyli natychmiast z auta i pognali w dół ulicy.
Na dyżurze był akurat podoficer do spraw walki z przestępczością gospodarczą. Usłysawszy krzyk, że uciekają sprawcy gwałtu, wybiegł na ulicę i popędził za nimi. Ukryli się, dranie, w zaciemnionym ogrodzie. Podoficer schował się za parkanem i słysząc głosy, czekał na ich reakcję. Po około dwóch minutach zbogowie wyszli z kryjówek i zostali ujęci.
Walicki stwierdził, że w ogóle nie skorzystał z pieszczot Jagienki. Beker zapołał, że owszem, numer miał miejsce, lecz był całkiem dobrowolny, gdyż Jagna była w tym otrząskana. Jakby nie chciała, to mogła zacisnąć zęby z nienawiści albo go ugryźć, a przecież nie zrobiła tego.
No cóż, coraz trudniej walczyć z praktykami miłości wyuzdanej. Czas się ciężkie, toteż do dyskoteki wkraczają terroryści. Oczywiście wszystkiemu jest winien Franek Kimono.

Sens istnienia

Poezie Henrykowi Wolniakowi

Budują dom — albo pomnik stawiają poecie...
Budują dom — albo pomnik stawiają poecie kładą pod nim symboliczny kamień węgielny...

Puszcza Spalska

Dziewczęta pachną ziemią i mchem...
Dziewczęta pachną ziemią i mchem A gwiazdy wschód zapowiadają skośnooki...

Spalanie drzewa

Prof. St. Kaszyńskiemu

Bo każdy kształt ma w sobie ziarno ognia...
Bo każdy kształt ma w sobie ziarno ognia które uśpione czeka kiełkowania...

Wierzę

Wierzę w wieloręki świt...
Wierzę w wieloręki świt wśród pomostów falującej czerwieni...

Sen

Śni mi się jestem brązowym robakiem...
Śni mi się jestem brązowym robakiem biały pas oddziela twarz od odwłoku...

Jest sierpień 1984 r. Bel Air, Los Angeles...
Jest sierpień 1984 r. Bel Air, Los Angeles. W domu ukrytym za drzewami...

Elizabeth Taylor — historia ocalenia

dnak piekło, na które zgadzam się, by uniknąć innego...
dnak piekło, na które zgadzam się, by uniknąć innego: tego, które sama sobie stworzyłam...

stro. Nie mogła już klamać, ani okłamywać samej siebie...
stro. Nie mogła już klamać, ani okłamywać samej siebie. Musiała wreszcie zobaczyć się taką, jaką była...

Debiutował w roku 1953 na łamach tygodnika „Dziś i jutro”...
Debiutował w roku 1953 na łamach tygodnika „Dziś i jutro”. Po studiach związał się z Gdańską Rozgłośnią Polskiego Radia...

List z Wybrzeża

Detektyw historii

Jeżeli jednak niektórzy czytelnicy myślą, że Kazimierz Radowicz ma długą siwą brodę...
Jeżeli jednak niektórzy czytelnicy myślą, że Kazimierz Radowicz ma długą siwą brodę, jest człowiekiem...

Przyjechał do Gdańska w połowie lat pięćdziesiątych...
Przyjechał do Gdańska w połowie lat pięćdziesiątych i został tutaj na stałe, stając się z czasem...

Mówię o Kazimierzu Radowiczu, którego w tytule tego felietonu żartobliwie nazwałbym detektywem historii...
Mówię o Kazimierzu Radowiczu, którego w tytule tego felietonu żartobliwie nazwałbym detektywem historii...

Wiele miejsca w jego twórczości zajmuje obrona Wybrzeża w 1939 r., a także walka o niepodległość...
Wiele miejsca w jego twórczości zajmuje obrona Wybrzeża w 1939 r., a także walka o niepodległość...

Radowicz wiele razy pisał o Westerplatte, o pułkowniku Dąbku...
Radowicz wiele razy pisał o Westerplatte, o pułkowniku Dąbku, zajmował się walką górniczą...

Nie tylko jednak najnowsza historia Polski interesuje Kazimierza Radowicza...
Nie tylko jednak najnowsza historia Polski interesuje Kazimierza Radowicza. W swojej twórczości...

Ów detektyw historii, jakim jest Kazimierz Radowicz...
Ów detektyw historii, jakim jest Kazimierz Radowicz, zamierza w następnej swojej sztuce...

Teraz Radowicz zajęty jest pisaniem scenariuszy dla filmu...
Teraz Radowicz zajęty jest pisaniem scenariuszy dla filmu. Rozpoczął już realizację...

Aby obraz twórczości tego pisarza był pełny, dodajmy jeszcze...
Aby obraz twórczości tego pisarza był pełny, dodajmy jeszcze, że w planach ma on także...

Mnie osobicie najbardziej interesuje jego doświadczenia...
Mnie osobicie najbardziej interesuje jego doświadczenia, które posiadałaby taki nerw sceniczny...

KATHERINE PANCOL — „PARIS MATCH” (Tłum.: J. G.)

WIESŁAW NOWICKI

Chłopcy z tamtych lat

Rozmowa z **TADEUSZEM CHRÓSCIELEWSKIM** — pisarzem i edytorem — o początkach Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łodzi.

— Panie Tadeuszu, 11 lipca 1985 r. w „Głosie Robotniczym” sekretarz ZW TWP w Łodzi Andrzej Waldek wypowiedział się na temat stanu obecnego i perspektyw akcji odczytowych prowadzonych przez TWP. Wspomniał także, choć pobieżnie, o początkach upowszechniania wiedzy wśród społeczeństwa, które trwa już 35 lat. Czytając ową wypowiedź odniosłem wrażenie, że w pierwszych latach odbudowy i budowy edukacji narodowej brali udział niemal wszyscy, zabrakło tylko literatów. Czy naprawdę pisarze nie propagowali pięknego słowa, a skarbnica literatury narodowej pozostawała zamknięta?

— Nie znam stopni naukowych pana Andrzeja Waldeka, ale chcę powiedzieć, że założycielką i pierwszym prezesem TWP w Łodzi była pani Zofia Petersowa, genialna tłumaczka z literatury niemieckiej, szwedzkiej i rosyjskiej. Między innymi przełożyła na język polski „Wojnę i pokój” Lwa Tolstoję i „Księżkę z San Michele” Axela Munthe’a. Była także długoletnim dyrektorem rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi. W ogóle była to niezwykle uzdolniona kobieta.

Byłbym chciał sobie rozmiar akcji prowadzonych przez TWP w tamtych latach, przypomnę, że w jeden z piątków każdego miesiąca przed kasą formowała się długa kolejka złożona z 50 — 60 osób po pieniądze za wygłoszone w tzw. terenie prelekcje. Byli to wszyscy ludzie młodzi: studenci, lekarze, literaci.

Pan Andrzej Waldek mówi, że wiedzę w tamtych latach propagowali profesorowie i studenci. Co do studentów — zgoda. Widziałem ich, jak w ten sposób dorabiali po parę złotych do swoich stypendiów. Mówię po parę złotych, bowiem otrzymywali oni po 70 zł za pogadankę czy jak to się mówiło, za prelekcję. Była to na owe czasy suma dość znaczna. Natomiast profesorów i doktorów habilitowanych — choć w tamtych latach słowo habilitowany jeszcze nie było w użyciu — jako nie widziałem. Im się po prostu udział w takich imprezach nie opłacał.

— Mieliśmy mówić o udziale środowiska literackiego w tej pożytecznej i pięknej akcji...

— Pani Petersowa, jako pisarka, nie mogła nie doceniać udziału pisarzy w prowadzonych przez TWP akcjach. Z drugiej strony patrząc, proszę mi pokazać takiego wariata, który za 100 złotych — bo tyle otrzymywali pisarze — chciałby jechać do jakiejś zapadłej wioski i mówić o Konopnickiej czy Kochanowski. Proszę pamiętać, że było to tuż po wojnie, a ludzie dopiero zgłębiali tajniki alfabetu na kursach. Dla nich nazwiska: Sienkiewicz, Orzeszkowa czy Wiktor Hugo nie mówili, że nie wspomnę o całym szeregu innych imponujących narodowych Władnie my, literaci, musieliśmy ich odwiedzić, dać im minimum wiedzy o bogactwie kultury narodowej. A jakie były warunki, w których przyszło nam pracować? Ciemne chałupy z łaczącą się lampą naftową, zimne reżimy, nocegi w stodółkach i szopach, przed wpuszczeniem do których chłopci zadali od nas słowa honoru, że nie będziemy palić papierosów, a my te dawaliśmy z wielkim uszczerbkiem dla honoru, bowiem który z pałaczy

powstrzyma się przed zapaleniem papierosa... A te dojazdy rozkłaskami drogami na przygodnych furmankach, te wielokilometrowe piesze wędrówki... Aż trudno dziś w to wszystko uwierzyć.

Tematy — wielka klasyka. Klasyka mniej więcej postępową. I naturalnie podawana w sposób schematyczny. Ale wbrew temu co sądziłmy obaj o schematyzmie, uważam, że lepiej jest powiedzieć o Sienkiewiczu, iż najwybitniejszymi jego utworami były nowele o ostrzu klasowym, a utworem przereklamowanym było „Quo vadis” niż o Sienkiewiczu nie mówić wcale.

Kto jeździł? Marian Piechal, Mirosław Ochocki, Jerzy Miller, nieboszczyk Wacław Mrozowski, kandydat na nieboszczyka ciągle trzymający się mocno Tadeusz Chrościelewski, Jan Korprowski i inni. TWP działało w całej Polsce i pisarze wędrowali wzajemnie o przygodach, jakiegoś spotykały w czasie wyjazdów z prelekcjami. Pamiętam zdarzenie czy raczej przygodę, jaka zdarzyła się Mieczysławowi Jastrunowi. Wracając właśnie z jakiegoś oddalonej wsi, bo nie było am furmanki, ani żadnego samochodu. Noc, deszcz, wichura, błoto. Aż tu rąbnęli dogania go strażacki wóz bojowy, który akurat wracał z strażnicy pożaru. Zabierają Jastruna do samochodu, a właściciel do jego skrzyni i by nie przemokł ostentacyjnie ubiera się w szlafki z nieoznaczalnym płaszczem, a na głowę wkładając ślny hełm. I tak Mieczysław Jastrun dociera do domu.

— Łódzcy pisarze „obsługiwali” własne województwo, czy też wyjeżdżali w odległe rejony kraju?

— W tamtych latach istniało coś w rodzaju nagrody dla wyróżniających się prelegentów. Mianowicie wysyłano ich na „gościnne występy” do województw posiadających szczerbę kadry. To było odpłatne. Zapewniano 12 prelekcji, po trzy dziennie. Miało się w ten sposób 1200 lub 1500 zł. Dla przypomnienia powiem, że przeciętna pensja wynosiła wtedy około 400 zł. A więc był to spory pieniądz, choć wykonana praca nie należała do najłatwiejszych.

— Jaka była frekwencja na takich odczytach?

— Nie uwierzy pan, ale ludzie zapamiętali salę, cienieli się w korytarzach, bardzo chcieli usłyszeć o czym się mówi. Po prostu łaknęli wiedzy. Gdy porównuję tamte prelekcje z dzisiejszymi spotkaniami autorskimi, ogarnia mnie smutek i melancholia. Dłsi na spotkanie z pisarzem czasem w świetlicach i w domach kultury zjawiają się dwie osoby, czasem — sukces — przyjdzie aż pięćdziesiąt dzieci lub siedem starsuszek emerytek. A w tamtych czasach, jak sobie przypominam, zdarzało się, że porządku musiała pilnować milicja. Ale było i tak, że pogadanki trzeba było wygłaszać podczas takich uroczystości, kiedy to na polanie płonęło ognisko a zebrani śpiewali pieśni... Potem nadchodziły serdeczne listy, wiele słów wdzięczności...

— Panie Tadeuszu, wspomnieliśmy pan, że uczestniczenie w akcjach organizowanych przez TWP, stanowiło dodatkowe źródło dochodu dla literatów osiadłych w Łodzi. Czyżby nie dorabiali sobie publikując utwory w prasie literackiej?

— Otóż nie dorabiali sobie przez publikację. Należy pamiętać, że w ówczesnej Łodzi istniał jedynie „Głos Literacki” jako dodatek do „Głosu Robotniczego” oraz rozgłosia Polskiego Radia. I nie poza tym. Jednak chcę podkreślić raz jeszcze, że nie chcę zarobków leżała u podstaw naszego uczestnictwa w odczytach. Moje pokolenie pisarzy wyniosło z czasu wojny świadomość potrzeby pracy na rzecz narodu, na rzecz Ojczyzny. Dlatego też byliśmy jedni z pierwszych, którzy zgłosili się na woj TWP. I nie ow „Kaganiec oświaty”, który trzeba było mieć w Polsce walczącą z analfabetyzmem.

To tyle, jeśli chodzi o uzupełnienie 85-letniej historii Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łodzi.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Hamlet w mundurze Hitlera

„Być albo nie być” — produkcja amerykańska.

Reżyseria: Alan Johnson.

W rolach głównych: Mel Brooks, Anne Bancroft, Tim Matheson i inni.

Jest sierpień 1939 roku. Faszyzm Niemcy bez oddania jednego strzału zajęły do tego czasu najpierw Austrię, później Czechosłowację. A w Warszawie... No właśnie, w Warszawie w rewiowym teatryku małżeństwa Bronskich odbywa się kolejne przedstawienie. Na scenie Mel Brooks oraz Anne Bancroft wykonują znany standard muzyczny „Sweet Georgia Brown”. Utwór ten para amerykańskich aktorów wykonuje w naszym, rodzimym języku, dokonując niemal cudów, aby ta niecodzienna wersja

sprawiła wrażenie autentyczności.

Tak właśnie zaczyna się ten film, który w rzeczy samej dla nas, Polaków ma niecodzienny charakter. Ta wyjątkowość bierze się z faktu, że prawie cała akcja została osadzona w okupowanej Warszawie.

Wypada w tym miejscu wspomnieć, że aktualna wersja „To Be or Not to Be” jest repliką znanej komedii niemieckiego reżysera Ernsta Lubitscha z 1942 r. Swoją rolę Lubitsch nakreślił w Hollywood, dokąd musiał emigrować z faszystowskich Niemiec. Niestety nie znam pierwszej wersji tego filmu, choć wiem, że cieszyła się ona sporym uznaniem widzów w latach sześćdziesiątych. Dlatego muszę się przyznać, że ze sporym zainteresowaniem film ten obejrzałem.

Główną tego przyczyną leży niewątpliwie w osobie samego Mel Brooks, którego twórczość bardzo sobie cenię. Wprawdzie Brooks nie wyreżyserował „Być, albo nie być”, to jednak oglądając ten obraz nie sposób nie oprzeć się wrażeniu, że pomysły pochodzą od niego. W znanych już nam filmach („Nieme kino”, „Łęk wysokości”, czy „Młody Frankenstein”) Brooks dał się poznać jako znakomity kontynuator amerykańskiej burleski i farsy, jako twórca rozmiłowany w starym, dobrym kinie, z którego czerpie pełną garścią cytaty, parafrazując je i wzbogacając o nowe wątki i rozwiązania. Tak było w trzech wymienionych filmach, które dotarły na nasze ekrany.

Podobnie czyni Brooks w „Być albo nie być”. Pojawiają

się tu charakterystyczne dla niego elementy zarówno burleski, z klasycznymi dla tego gatunku chwytami, jak i farsy. Jednym z takich chwytów jest motyw zamiany odgrywanych ról, przeistaczania się z jednej osoby w drugą, za pomocą kostiumu. Czyli jest to przebieżanka, która jak zwykle w tego typu przypadkach, daje duże możliwości komediowe, co zresztą trzeba przyznać, przez autorów zostało bardzo dobrze wykorzystane. Już sam pomysł z przeistaczaniem się

Fredericka Bronskiego z Hamleta, którego był zresztą bardzo kłopotliwym odtwórcą, w postaci wodza III Rzeszy dawał bogaty materiał do licznych spięć komediowych. Niestety (o ironio losu!) swoje największe role Bronski zmuszony jest grać praktycznie bez publiczności. Cóż to za cios dla artysty, dla którego większym bólem jest, gdy młody porucznik opuszcza widownię podczas jego monologu Hamleta niż wiadomość o wybuchu wojny. Można by mieć o to pretensje do Brooks, ale trzeba pamiętać, że w swojej twórczości nie coła się on przed ludzkością i humorem czasami i może niezbyt wybrednym, ale za to po prostu śmiesznym.

Oczywiście oglądając „Być albo nie być” musimy zdawać sobie sprawę z faktu, że cały ten

film oparty jest o konwencję i swoistą umowę z widzem. Patrząc na obrazy okupowanej Warszawy zdaje sobie sprawę z faktu, że nie tak wyglądało to życie w rzeczywistości, a mimo to akceptujemy owo przyzwyczajenie oka, które proponują nam autorzy filmu. Najważniejsze jest przecieć to, że pokazali oni, choć w formie komediowej kawałek naszej historii, a że posłużyli się swobodą licentia poetica dało taki właśnie efekt.

Przypatrzyć się poszczególnym wątkom składającym się na całość „Być albo nie być” zauważymy, że faktycznie pokazano tu „kawałek naszej historii”. Bo coż my tutaj mamy? Jest pomoc ze strony Polaków dla Żydów, którzy skryli się w teatrze Bronskich. Polacy, jako naród od wieków tolerancyjny, pomagają również homoseksualistom pochodzenia żydowskiego. W filmie pojawia się polskie podziemie, choć nie bezpośrednio, a poprzez postać prowokatora, profesora Soleckiego, który w sposób jakże naiwny zdobywa dane osobowe osób działających w konspiracji. Oczywiście nie mogło w tego typu filmie zabraknąć dzielnych polskich lotników, walczących pod niebem Anglii. Przecież zakochany po

uży w pani Bronskiej porucznik także jest lotnikiem.

W „Być albo nie być” Polacy wzbudzają sympatię swoim sprytem, wzajemną solidarnością i umiejętnością wychodzenia z najgorszych opresji.

Natomiast Niemcy zostali całkowicie odarci z grozy. Są raczej pokazani jako nieco przyglupawy, infantylni żołdacy, co to nawet muchy nie skrzywdzą. Oni również po prostu są śmieszni w swojej naiwności, dając się wyprowadzić w pole sprytnym Polakom.

Komedia „Być albo nie być” ma dobre tempo. Po moim nieco słabszym początku, z każdą minutą akcja staje się coraz wyższa, aż do momentu brauworowej ucieczki całego teatru do Anglii.

Myszę, że wielu spośród widzów ten film przypadnie do gustu i zaakceptują taką jego formułę, jaką zaproponował Brooks, bo przecieć najważniejszą rzeczą podczas oglądania komedii jest pośmiać się, a ten postulat film „Być albo nie być” całkowicie spełnia.

WALDEMAR
BĘDZIŃSKI

Z notatnika pamflecisty

Krzysztof Zanussi w postaci Mai Komorowskiej

Dusza Krzysztofa Zanussiego jest duszą Sfirksa z obliczem Odyseusza, strzegącego bram Uniwersytetu.

Definicja ta, którą usłyszałem w środowisku, spowodowała mnie do rozmyślań na temat jednego z bardziej prestiżowych polskich reżyserów. Artysta ten nie dość, że jest w prezydium zarządu Stowarzyszenia Filmowców Polskich, to jeszcze posiada legitymację pisarza, opinię zakonnika, znajomość poliglotty i ponoć poglądy rozrzućka, przy elegancji urzędnika bankowego. Wykształcenie fizyka określa go jako racjonalistę empiryka — twórczość jego jest obfita i meandryczna. Nie może być ciekawszej zagadki niż namietności rządzące taką duszą.

Ciekawość tej duszy zaprowadziła mnie pod kasę kina po bilet na „Rok spokojnego słońca”. Kiedy zająłem miejsce na sali, zaczęła się ona zapelniać wytrawnym kinomanem. Moje myśli krążyły wokół osoby reżysera — debiutował filmem o „Smierci prowincjalca”, zastąpił „Za ścianą”, potwierdził się „Iluminacją”, potknął w „Bilansie kwartalnym”, a zrehabilitował „Barwami ochronnymi”. Dużo jeździł, a o swoich wjazdach opowiadał w trzecim programie Polskiego Radia. Z ciekawością poszedłem niedługo na jego spotkanie autorskie, gdzie opowiadał, jak droczył się z Maxem Frischem przy okazji filmu szwajcarskiego i jak został wyróżniony projekcją własnego filmu w Watykanie przy boju napieża. Zapytany, czym, jako wielki artysta, inspirował własną twórczość, odzegnał się od epitetu „wielki” oddając go

Andrzejowi Wajdzie i stwierdził, że jego twórczość nie mieści się w podstawowym nurcie sztuki kina. Czy jest to skromność prawdziwa, czy wyrachowana — zadałem sobie pytanie, po którym nastąpiła projekcja osławionego filmu, nagrodzonego przez jury pod przewodnictwem samego wielkiego Michelangelo.

Wiedziony instynktem demaskacji ujrzałem postać Krzysztofa Zanussiego w postaci Mai Komorowskiej. Cóż zobaczyłem?

Przełom lat 1945—46. Do Polski przybywa komisja amerykańska do spraw badania zbrodni hitlerowskich. Pewien Amerykanin odłączył się od swoich, aby oddać moc i w tym momencie spotkał się oko w oko z reżyserem (w postaci Mai Komorowskiej) i serce mu drgnęło. Ta sytuacja rozpoczyna się romans w tonacji sentymentalnej bez happy endu.

Serce drgnęło jednostronnie. Ale, zanim akcja posunie się naprzód, widzimy reżysera (w postaci Mai Komorowskiej) w postaci kobiety imieniem Emilia) w jego mieszkaniu podczas rozmowy z matką. Czegoż się dowiadujemy? Otóż Krzysztofa Zanussiego cechuje wobec ludzi postawa wybacząca a nie sądząca. (Potwierdzone to jest w toku akcji w stosunkach z sąsiadką, która zarabia nierządem i to z wrogami narodu.) W innej scenie wychodzi z Krzysztofa Zanussiego ironista: kiedy Orland Szalony w postaci Amerykanina nawiedza samotne kobiety, dochodzi do quí pro quo. Reżyser wraz z matką podziartowują sobie „na stronie” z cudzoziemcem. I tutaj mam pretensje do Zanussiego, iż w postaci Mai Komorowskiej zataił przewrotnie swoją wieloletniość. Ale po wspaniałych uległ Amerykaninowi — jednak zakochał się.

Przejdźmy na chwilę do Orlanda Szalonego w postaci Amerykanina — dla swej miłości poszukuje on zrozumienia w Instytucjach. Instytucja państwowa (w postaci wojskowego tłumacza) nie znajduje zrozumienia dla uczucia. Co innego instytucja kościelna. Koniec końców Krzysztof Zanussi (w postaci Mai Komorowskiej) decyduje się wyemigrować przez zieloną granicę wraz z matką. Ale matka umiera, wobec czego pojawia się wolne miejsce na przetrz. Zanussi, rozrzućka, w dobrym, nie odmawia jego sąsiadce. I tutaj niespodzianka — oto przewodnik nie chce wywieźć z kraju prostytutkę (jest to dla mnie przykład „moralności” prowadzącej do głupoty), a w duszy reżysera następuje zmiana decyzji, w wyniku czego Orland Szalony zostaje zrobiony „w konia” na dworcu Friedrichstrasse.

Dygresja: dlaczego w filmie władza świecka była na tyle wstydliwa, że nie zaprosiła Amerykanina do życia w naszym skromnym domu? Przecież miłość naprawdę prowadzi do bezinteresowno-

ności i na pewno by został. Propozycja taka wyszła z ust instytucji kościelnej do Krzysztofa Zanussiego. Reżyser odpowiedział: — co on by tu, robił? — W pytaniu tym kryje się niewiara w miłość i w człowieka

W filmie jest rodzynek — spowiedź zakochanego racjonalisty:

„Nie wiem, czy to się da wytrzymać, wszystko się w głowie pomylilo... proszę księdza, czy człowiek ma prawo do szczęścia?... czy każdy ma to prawo?... czy jeden ma, a drugi nie ma, proszę księdza?”

— Każdy ma prawo do szczęścia, jeżeli tylko nie krzywdzi innych i jest w zgodzie z własnym sumieniem.

— Może nie warto się nad tym zastanawiać, ale ja nie wiem, co teraz zrobić, co jest dobre... ja już to wszystko mam za sobą, zrezygnowałem, pogodziłem się (...), proszę księdza, ja nie wiem, czy mi wolno być z człowiekiem, którego nie znam, proszę księdza ja nawet nie mogę się z nim porozumieć...

— Niech go pani przyprowadzi, tu jest siostra, która zna angielski.”

Ale nie tylko strona werbalna jest ciekawa — empiryk wstaje w trakcie spowiedzi i rozmawia z Bogiem spacerując. Zabuźnię — to spowiedź niewierzącego. Racjonalista w szponach paradoksu wyrwał się z rytuału. Cóż to za dusza? Skromność li to czy dumna? Wyrafinowanie inscenizacyjne czy pycha? Film kończy się rock and rollem na księżycu.

Po wyjściu z kina rozmyślałem na temat jednostronności obrazu. Tej nocy przysnił mi się sen Krzysztofa Zanussiego. Tematem snu był los oszukanego Orlanda Szalonego rodem ze Stanów Zjednoczonych. Podczas wojny w Wietnamie stracił on sympatię dla swojego rządu i systemu. Płuł sobie w brodzie, że nie został w kraju, gdzie napadło go prawdziwe użycie. Ciuła! dolary, aby wyszłać je w granice innego systemu, zrehabilitować się od strony moralnej i określić jako obywatel świata Krzysztof Zanussi obudził się spocyny, rozstrząsając różnicę między kosmopolityzmem a internacjonalizmem. Chwilę potem obudziłem się ja — byłem zaintrygowany Do tej pory nie daje mi spokoju pytanie: gdzie jest Itaka, do której zdąży nasz czółowy Odyseusz?

KRZYSZTOF KOWALSKI

Syndrom Obleżonej Twierdzy

Jest takie zjawisko znane i opisane przez psychologię społeczną: jeżeli grupa ludzi, połączona wspólnie wytkniętym celem, zostanie odizolowana od makroświata społecznego, w którym tkwiła, a znajdzie się w otoczeniu wrogim, agresywnym, przed którym trzeba się czynnie bronić — to wytworzą się wewnątrz niej specyficzne więzi, wartości i poglądy. Będą one bardzo zuniiformizowane i dość jednostronne — nastawione na równie agresywną, bezkompromisową obronę własnych pozycji; znikną, przynajmniej czasowo, wszelkie objawy życia społecznego i prywatnego nie podporządkowane idei walki o przetrwanie... Tak mniej więcej, w sporym uproszczeniu wygląda właśnie Syndrom Obleżonej Twierdzy.

Od jawną interesują się tego typu psychologicznymi zjawiskami ekstremalnymi, toteż pod tym kątem usiłowałem czytać „Kronikę dni obleżenia” Paula Peikerta — wrocławskiego proboszcza parafii św. Maurycego — z dni obleżenia miasta (pisana od 22 stycznia 1945 roku do końca czerwca tegoż roku) w ostatniej fazie wojny. Muszę przyznać, że zamysł podbudowania nowymi obserwacjami mych zainteresowań nie udał się w pełni, ale od książki oderwać się nie mogłem...

Zapis księdza Peikerta, dokonywany na bieżąco niemal, pełniąc funkcję sui generis oficjalnej kroniki parafii, obfituje w szczegóły i obserwacje notowane beznamyślnie. Ale wrocławskiemu proboszczowi w tych „gestych” od obowiązków dnia nie zabrakło ani uczciwości, ani odwagi, ani wlewy, — ani woli utrwalenia własnych refleksji o systemie, który pchnął „Festung Breslau” ku śmierci.

Albowiem kronika Peikerta jest w istocie namyślnym aktem oskarżenia — nie tylko przeciw absurdalnie zbrodniczemu gauleiterowi Wrocławia Karlowi Hankemu (nb. w ostatnich dniach III Rzeszy mianowanemu — za wrocławską „wierność” i ogrom zbrodni — przez Hitlera w jego tzw. testamentie, Reichsführerem SS i policji, na miejsce „męczaka” Himmlera) i do- wódcą obroną twierdzy generałem Wehrmachtu. Przede wszystkim przeciw ideologii i praktyce hitlerowskiego faszyzmu — tym cenniejszym, że spisany na bieżąco, bez tej refleksji uogólniającej, którą daje tylko upływ czasu, a mimo to trafny i szczerzy. Tym cenniejszym, gdyż spisanym nie przez wroga Rzeszy czy zdeklarowanego antyfaszystę, ale przez wiernego poddanego niemieckiego państwa, działacza prawicowej katolickiej Partii Centrum prąta Kaasa do 1933 roku, funkcjonariusza kościoła popierającego niemal bez zastrzeżeń hitlerowski „porządek”...

Kronika Peikerta sama jest w stanie zrównoważyć swą wymową i znaczeniem setki tomów „literatury” tzw. wyprzedzonych Niemców, dziś usiłujących ciężar własnych, samobójczych zbrodni przetrząsnąć na nas, dziś gloryfikujących domniemyanych bohaterów oporu w obleżonych twierdzach niemieckiego wschodu.

Optyka wrocławskiego proboszcza, nie oparta przecież o szeroką wiedzę o faktach ani o naukową „aparaturę” krytyczną, okazuje się jednak wystarczającą, aby zdezawuować — teraz — i przyszłe rozważania samowolnych „spadkobierców” III Rzeszy. Nauczy się tylko tym orędziem manipulować w sposób skuteczny, albowiem można przewidywać, że na przyszłość intelektualnej i propagandowej nasz konflikt z „wyprzedzonymi” jeszcze potrwa.

TOMASZ SAS

10 ODGŁOSY

ze str. 1

- Nie.
- No to będziesz.
- Ale! — zaprotestował farmazon. — Jezdem cysty.
- Cysty?
- Ehe, cysty!
- A ten płaszcz komu swędziłeś?

Rycerz zerknął na zrolowany pod pachą tobolek i odpowiedział przytomnie:

- Ta okryjka należy do matuli. Z pralni zem jak raz odebrał.
- Proszę, proszę — zdziwił się wesoło gospodarz. — Więc masz matulę?
- No psieci! Bociany mnie chyba nie psygniosły, tak? — zauważył rezolutnie młodzieńiec. — Cy może pan myśli, że mnie psygniosły?

Gruby przytarł łzę w oku, które było małe i zaplnięte tłuszczem. Podrażnił go widocznym z papierosa, ale mogła to być również iza wzruszenia lub iza rozbowienia.

- Ojca też masz?
- Zrozumiałe.
- I co on robi, ten twój ojciec?
- Postępuje.
- Gdzie?
- Do nieba.
- Krótko mówiąc: cierpi na paraliż postępowy?
- Coś takiego.
- Pociąga?
- Strasnie!
- I na pewno łol matulę?

— Owsem, łoi, ale jus nie łoi; lezy ino w łozeczku i place — łgai przytomnie złodziej-szek z przeświadczeniem, iż wzbudzi w sercu grubasa litość. Kto wie: może nie tylko od-yiska wolność ale tyknie na dodatek parę groszy. — Nie duzo jus chudzinie zostało do śmierci, więc ino wiaz i pół litrem pod kotłrę i coś tam sobie mamroce.

Grubas, poruszony ową wiadomością, poczpał do kuchni, aby napić się wody. Rozejrzał się dookoła, spojrzal na zamknięte szafki ściennie, złustrował wymyty do czysta zlewozmywak i suszarkę, na której nie było żadnych szklanek i talerzy, i nie bawiąc się w niepotrzebne ceregiele, siorbnął parę długich tyków prosto z kranu, po czym otarł wydane wargi tłustą jak stonina dionią i medytował nad czymś w ponurym, lecz nie pozbawionym stosownej troski milczeniu.

- I co ja mam z tobą zrobić? — bąknął wreszcie.
- Puść mnie pan.
- A ty znówu zaczniesz kraść.
- Nie zaczę.
- Do szkoły chodzisz?

— No jakzes?! Bez wykastnienia, to tera cłowiek nie ma sans.

- Słuszenie.
- Ano, słusnie, słusnie! — basował farmazon.
- A czemu dzisia nie jesteś w szkole?
- Naucycielka zachorowała.
- Grypa?
- Cionza.
- Ol Będą chrzciny?
- Popelina — oświadczył z niesmakiem entuzjasta zdobywania wiedzy w szkolnictwie specjalnym. — Coś tak wygląda, że wiozyl pan od wuefu — zmyslał perfidnie.

- I nie przyznaje się?
- Psygnaje.
- To o co chodzi?
- O to, że wuefista nie chce się zenić, dopóki teściu nie kupi mu samochodu i mieszkania.
- Ambitny gość.
- Strasnie. To jak? Puści mnie pan?

Gruby pogrzążył się znówu w jakichś nie-bywale skomplikowanych rozważaniach, przy czym spoglądał raz po raz na skradziony płaszcz, którego złodziej nie wypuszczał z ręki.

- Słuchaj no! — zdenerwował się nagle. — Mówisz, że nie będziesz kraść?
- Nie będę!
- I kłamać też nie będziesz?
- Zrozumiałe.
- Powiedz mi w takim razie, do kogo ta okryjka należy.
- Znaczy się: płaszcz?
- Mów! — warknął gruby. — Jak nie, to dzwonię po milicję.

Rycerz przekalkulował sobie wszystkie „za” i „przeciw”, po czym wyznał, w jakich to okolicznościach i w czym mieszkańiu dokonał owej niewinnej pożyczki, aby sprawić uciechę matczyńsku.

- Rznieł się, panie sefie, aż hucalo, a byli od pary — zakończył w celu usprawiedliwienia swego nieczego, bez wątpienia wybrzyku.

Gruby kiwnął głową, zgadzając się poniekąd, iż rznąć się ludziom od pary nie wypada, i wy-ciągnął nagle łapsko.

- Dawaj! — powiedział.
- Płaszcz?

- Ano płaszcz, płaszcz — przedrzeźniał gruby.
- Tak też się cieszę.
- Dawaj!
- I co pan z nim zrobi?
- Oddam, komu należy.
- Sypnie mnie pan?
- Nie sypnę. Ale pamiętaj: od tej pory nie wolno ci kłamać i kraść. No i musisz chodzić codziennie do szkoły, paniatno?
- Paniatno — przytaknął zmarmotniały farmazon i oddał z wielkim doprawdy ociąganiem swój skromny łup. — Biez pan, moja strata. Jus tam, matuli wykombinuje, teese, chciałem powiedzieć: kupię coś innego. — Izdenerwował się raptem: — Otwieraj pan!
- Spieszysz się?
- No pewnie!

Zafasowany tłuszczem spojrzal badawczo Rycerzowi w oczy.

- Tylko bez nerwów — powiedział. — Nie uciekaj, broń Boże. Idź powoli.

Podszedł do drzwi i ku zaskoczeniu farmazona wyciągnął z kieszeni nóż. Między innymi poblądł i zaczął sobie gorączkowo przypinać szczytki mozolnie wyuczzonego w dzieciństwie paciorka, przy czym jak refren dzwoniło mu w uszach płate i słodkie przykazanie. Zobaczył także oczami wyobraźni skrót swego krótkiego i sromotnego życia od pieluszek aż po całun śmiertelny i wykopał na chybeika mogilkę pod płotem komunalnego cmentarza.

Rycerz Czerwonego Krzyża

- Runął na podłogę i zasłochał.
- A obiecywał żeś pan, obiecywał!
- Zamknij się!
- Chciałoby się jeszcze pozycić!
- Nie zarzęć cię przecież.

To mówiąc, gruby pomajdrował nożem w skomplikowanej konstrukcji zamka i w skomplikowanej konstrukcji pajaka dociskającego drzwi do framugi. Coś tam złażło się przy okazji, ramię pajaka odpadło, ku wielkiej jednak uldze farmazona drzwi sezamu odemknęły się bezszelestnie na korytarz.

- Zmiałaj! — rozkazał gruby.
- A pan?
- Co: ja?
- Nic.
- Jazda!
- No ide jus, ide!

Zerknął jeszcze w lewo i w prawo, czy nie udałoby się w ostatniej chwili czegoś podwędzić, i pomaszerał korytarzem wprost do windy.

Oprócz paru uźebranych groszy, przeznaczonych na chleb dla głodujących Murzynów angielskich, nie miał przy sobie nic, co mogłoby go ewentualnie skompromitować. Nie bał się więc. Niestraszni mu byli wścibscy lokatorzy Manhattanu, niestraszna dozorczyń, którą nazywał w duchu „miętą”. Jego pozbawione nerwowości zachowanie sprawiło, iż wydostał się bez przygód na ulicę i zatonął w tłumie milionów miasta.

Czytelnik żywi z pewnością pewne wątpliwości, czy gruby gospodarz nie popełnił błędów dydaktycznych wierząc, iż Rycerz Czerwonego Krzyża nie będzie już więcej kraść i puszczając go wolno.

Otóż nie popełnił żadnych błędów, nie był bowiem gospodarzem, tylko wytresowanym w zawodzie wlamywanym; przybył do Manhattanu na gościnne występy i wszedł do mieszkania, w którym oprócz porzuconego na pastwę losu pinzerka miało nie być przez najbliższe dwa dni nikogo.

Zamknąwszy za Rycerzem drzwi, gruby wrócił spokojnie do salonu i wygrzebał z pewnej wielce pomysłowej skrytki cały piękny zielony banknotów o wysokich nominalach. Był zawodowcem i z góry postanowił nie ruszać żadnych innych dóbr materialnych, których upływnienie wymagałoby pośrednictwa pasera i wiązało się z wielkim doprawdy ryzykiem. Wiedział z doświadczenia, iż na kradzież samych tylko dolarów nie poskarży się nikt, bowiem ucziwi i przerni ludzie trzymają dolary w banku, a nie w jakichś tam skrytkach.

Co się tyczy płaszcza, który Rycerz buchnął pewnej niewiernej, dokazującej z sąsiadem meżatce, Gruby postanowił zostawić go w okradzionym przez siebie mieszkaniu, tak, aby za-gmatwać sprawę, aby połączyć obydwą przestępstwa i skierować pościg na fałszywy ślad.

Nie od rzeczy będzie dodać, że okradzione strony miały na sumieniu tyle grzechów, że wolały pogodzić się ze stratą płaszcza i dolarów w cichości ducha.

Rycerz Czerwonego Krzyża przestał pojawiać się na klatkach schodowych Manhattanu. Widziano go natomiast w blokach Karolewa, gdzie wykazał się wielką gotowością w zbieraniu makulatury.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„Kamikadze”

Od kilku tygodni z wielkim zainteresowaniem czytelnicy naszego pisma śledzą koleje losu nauczyciela z Piątku. Opisany w reportażu „Kamikadze” mgr inż. Mieczysław Rykała jest osobą dobrze znaną w rejonie Łęczycy. I sprawiedliwie trzeba przyznać, znana jako jednostka bezspornie pozytywna. Momentami trudno uwierzyć, że człowiek posiadający duży zasób wiedzy zawodowej oraz umiejętności pedagogicznych znalazł się w tak dramatycznej sytuacji.

Czytając artykuł napisany przez Pawła Tomaszewskiego dochodzi się do smutnych wniosków: „czy warto dziś być człowiekiem widzącym zło występujące wokół nas” „czy warto głośno o nim mówić” „czy nie lepiej schować głowę w piach?”

Z treści artykułu „Kamikadze” wynika że gdyby nauczyciel Rykała dołączył do piąckiej grupy osób przybyłych z Polski do NRD, byłby „równym i swoim człowiekiem”, nikt by go z pracy nie wyrzucił i nadal cieszyłby się opinią wzorowego nauczyciela u dyrektora Stanisława Cisa. Wypowiedź uczniów świadczą o dużym autorytecie nauczyciela Rykały, a ocena uczniów była z reguły bardziej obiektywna od oceny kuratorów obserwujących nauczyciela wyrzucanego i sporadycznie.

Zastanawia mnie liczebność i skład komisji kontrolującej praktyki w NRD. Uwagi te nasuwają mi się dlatego, gdyż sam byłem przez 8 lat nauczycielem i również kilkakrotnie zmieniano. Nigdy jednak nie zdarzyło się, aby kontrolujący omocnił mnie do wypicia szklanki alkoholu.

Często w publicznych dyskusjach rozważany jest temat dewaluacji rangi zawodu nauczycielskiego. Znawcy i publicyści zastanawiają się, dlaczego istnieje w naszym szkolnictwie negatywna selekcja kadry pedagogicznej. Ważna lektura cyklu reporterskiego „Kamikadze” daje wyczerpującą choć mało optymistyczną odpowiedź.

Tak się składa, że moja małżonka oraz brat byli swego czasu uczniami magistra Rykały. Mają o nim takie samo zdanie, jak aktualni uczniowie i absolwenci z Piątku: „Świętym fachowcem, wymagalą się sprawdzili”. Nie jest chyba dziełem przypadku, że obydwoje ukończyli wyższe studia rolnicze. Sposób przekazywania wiedzy oraz osobisty przykład nauczyciela niewątpliwie pobudza i utrwała zainteresowania młodzieży.

Wrzaski i głosy, z jakimi w naszym szkolnictwie negatywna selekcja kadry pedagogicznej. Ważna lektura cyklu reporterskiego „Kamikadze” daje wyczerpującą choć mało optymistyczną odpowiedź.

Z. S. (Łęczycza)
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Nawiązując do ostatniego cyklu artykułów pt. „Kamikadze” — („Odgłosy” nr nr 25, 26, 27), które ukazały się w dniach 22 czerwca — 6 lipca br. nasunęły mi się pewne refleksje, którymi chciałbym się podzielić. Studiując historię doszedłem mianowicie do pewnej koncepcji, że dość często ma miejsce następująca prawidłowość: Im bardziej jakiś wybitny polityk, czy działacz społeczny poświęca się dla społeczeństwa, tym więcej zdobywa sobie przeciwników, którzy go opluwają, niszczą i wielokrotnie potrafią zniszczyć całkowicie. Przykładem tej prawidłowości może być wiele postaci historycznych. Jednak na podstawie artykułów pt. „Kamikadze” doszedłem również do wniosku, że prawidłowość ta siega także i niżej, że dotyczy ona również działaczy niższego szczebla, np. rządu, działaczy szczebla gminnego, dyrektorów szkół itp.

Jak bowiem można inaczej tłumaczyć fakt, że dyrektor szkoły ZSMR w Piątku, mgr Stanisław Cisak, szkoły, której rozmachu, rozbudowy i rozmachu nawiązywania kontaktów z zagranicą, konkretnie z NRD, mogłoby pozazdrościć wiele szkół, jest w ostatnim czasie systematycznie krytykowany w prasie. Jak wytłumaczyć fakt, że za zarzuty, które według mnie i wielu innych nauczycieli z Piątku są bezpodstawne i krzywdzące, nikt dotychczas nie poniósł konsekwencji.

Ponieważ jednak daleki jestem od rzucania na kogoś gromów bez uzasadnienia, chciałbym dokonać tu krótkiego przeglądu głównych punktów z „Kamikadze” i jeszcze raz spojrzeć na nie oczyma człowieka obiektywnego, który te problemy zna dość szeroko i który był w NRD i w ZSMR w Piątku w okresie ich powstawania.

Ujmując sprawę ogólnie, to sądzę, że w prasie zbyt wiele uwagi poświęca się przeszłości kol. Rykały, a zbyt mało mówi się o jego działalności w okresie, gdy on już pracował w ZSMR w Piątku. O przeszłości tej lubi mówić również sam kol. Rykała. Bardzo widoczne to było, gdy np. w dniu 16 listopada 1983 r. robiąc w pokoju nauczycielskim dyr. Cisa, kol. Rykała awantura, która ostatecznie zakończyła się pobiciem dyrektora, kol. Rykała jednocześnie wymachiwał reka w której tak sam o tym głośno informował, trzymał dokumenty poświadczające, że już zwolnił kilku dyrektorów i kilku sekretarzy partii kol. Rykała w sposób wyjątkowo wulgarny wyrażał wtedy zdziwienie, że jak tu taki dyrektor Cisak śmie krytykować osobę, która w swej przeszłości zwolniła już tylu dyrektorów i sekretarzy i kiedy po całym tym zafaszu w dniu następnym dyrektor Cisak uznaje, że awantura ta być może była spowodowana rozstrojeniem psychicznym kol. Rykały, próbował dojść do porozumienia kol. Rykała mając prawdopodobnie na uwadze swą bohaterską przeszłość odpowiedział, że dziś jest piątek pogodzenie może nastąpić, gdy do poniedziałku na własną prośbę zwolni się dyrektor Cisak i sekretarz POP wizytator szkoły i wicekurator. Jak więc z tak zarozumiałym człowiekiem można było osiągnąć zgodę i kto tu naprawdę był stroną atakującą. I to właśnie brała pod uwagę Komisja do spraw Pracy w Łęczycy i Sąd Okręgowy w Warszawie uznając, że kol. Rykała awantura, a później bójka z dyrektorem Cisa, spowodował świadomie, urzędowo przynależąc dokumenty zaświadczone. Ilu to dyrektorów zwolnił w przeszłości.

Obecna działalność kol. Rykały nie jest więc już tak piękna, jak w przeszłości, szczególnie, gdy to zupełnie bezpodstawnie w Sądzie Okręgowym w Warszawie nazywa sekretarza POP złodziejem rowerów, co nie podoba się również kolegium sędziowskiemu i zwracają mu na to uwagę. Podobnie niewłaściwie, a chyba i zupełnie nieszczerze, czy nawet obłudnie było tego zachowanie, gdy to w dniu 28 sierpnia spotyka się bezpośrednio z wicekuratorem KOiW w Piątku i zachowuje się wobec niego przyjaźnie, a w dniu 30 sierpnia 1983 r. czyli za 2 dni atakuje go publicznie na zwołanym na własne życzenie zebraniu i grozi, że jeżeli ten wicekurator nie przywiedzie na Radę Pedagogiczną do ZSMR w Piątku i trzy razy nie zarczy na posiedzeniu tej rady, to on opublikuje kompromitującą tegoż wicekuratora taśmę magnetonową. Nie należy też chyba do pięknej działalności fałszowanie po roku czasu protokołu z zebrania opiekunów praktyk w NRD i przypisanie sekretarzowi POP prezowski ZNP i kilku innym członkom zebrania wypowiedzi własnej i zarzutów przeciw dyrektorowi Cisa, kol. Rykała i wicekuratorowi w Piątku, które to zarzuty właściwie stawiał im sam kol. Rykała. Przecież to w rozmowie z tymi członkami w.w. zebrania można sprawdzić.

Ale przyszedł jednak do artykułów „Kamikadze” na kolej. Artykuł pierwszy (nr 25) podaje, że kol. Rykała wszedłże jeździł swym nieodłącznym rowerem. Ja jednak wielokrotnie, również go widywałem, jak jeździł luksusowym samochodem zakupionym w RFN. W tym samym artykule pisze się o rozmowie kol. Rykały z dyrektorem Cisa, kol. Rykała na temat mieszkania na kol. Kępińskim, którego rzekomo dyrektor Cisak miał „spławić”. Kol. Kępiński mieszka obecnie rzeczywiście w Zterzu, jednak nie dlatego, że go dyrektor Cisak „spławił” lecz dlatego, że był tam członkiem spółdzielni mieszkaniowej i mieszkańiec otrzymał wkrótce po odejściu kol. Rykały z ZSMR. I ten fakt w istocie rzeczy miał na myśli dyrektor Cisak proponując kol. Rykała mieszkanie na kol. Kępińskim. Jeżeli taka rozmowa w ogóle miała miejsce. Artykuł

w nr 26 mówi, że gdy wicekurator tak wulgarnie zachowywał się na przyjęciu w NRD, a dyrektor Ebel zapytał Niemca Olszewskiego, to ten dosłownie mu przetłumaczył wicekuratora.

Ciekaw jestem w takim razie, dlaczego gdy ja zapytałem o ten sam problem Niemca Olszewskiego, to on twierdził, że zachowanie wicekuratora było bardzo dobre i jeszcze problem tej taśmy. Na zebraniu opiekunów praktyk w NRD, odbytym w dniu 30 sierpnia 1983 r., kol. Rykała publicznie stwierdził, że jest w posiadaniu taśmy z nagraniami z tego zachowania się delegacji polskiej w NRD. To samo twierdził w wielu swych wystąpieniach później np. w „Karuzeli” z lutego 1984 r. Ostatecznie jednak w trzecim artykule „Kamikadze”, („Odgłosy” nr 27) okazało się, że dane dotyczące zachowania delegacji polskiej i osoby własnej kol. Rykała odpisał z taśmy jakiegoś Niemca. Znajac skłonność kol. Rykała do fantazjowania pozwalał sobie sądzić, że tej taśmy nigdy nie było realnie, a istniała ona tylko w wyobraźni kol. Rykała. Bo jeśliby taka taśma była, to po co kol. Rykała wzywał do sadu tyłu świadków. Czyż nie prościej byłoby przegrzać taśmę. Zatem sądzić, że ta taśma służyła kol. Rykała tylko do zastraszenia przeciwników i wywołania większego wrażenia na czytelnikach niektórych gazet, a w rzeczywistości była wytworem jego fantazji, podobnie zresztą jak wytworem jego fantazji było upoważnienie LPG Schwante, na które powoływał się w liście do Kuratorium w Płocku i do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że jakoby jest upoważniony do zerwania umowy o współpracy między LPG Schwante i ZSMR w Płocku. Rzecz jednak w tym, że dyrektora LPG Schwante nigdy mu takiego upoważnienia nie dawała. Pytanie zatem, czy człowiek poważny może w ten sposób postępować.

Pytanie jednak drugie, czy postępowanie kol. Rykała w ogóle można nazwać postępowaniem poważnym. Bo czy poważny człowiek, mając pretensje do wicekuratora, szantażując go nie istniejącą taśmą będzie domagał się jako satysfakcji, żeby ten wicekurator na posiedzeniu Rady Pedagogicznej trzy razy zaryczył? Czy poważny człowiek będzie twierdził, że protokół napisany przez niego po upływie roku i podpisany przez trzy niechętne dyrektorowi osoby jest bardziej wiarygodny niż protokół pisany na miejscu i podpisany przez 7 osób, a nie jak kol. Rykała twierdzi, przez jedną. Czy poważny człowiek mając pretensje do dyrektora będzie go zaraz bil, co miało miejsce 16 listopada 1983 r., a mając pretensje do prezesa ZNP, będzie na niego pluł na ulicy, co miało miejsce w dniu 1 lipca 1983 r.?

Sądzi, że są to problemy, które wymagają pewnych przemysłań przed wydaniem ogólnej opinii o osobowości kol. Rykała. Podobnie też przemysłań i uzupełnienia pewnych wiadomości wymaga sprawa rzekomej bezinteresowności kol. Rykała w jego wyjazdach do NRD. Wprawdzie wyjeżdżając w charakterze tłumacza nie brał od szkoły delegacji, ale ja często z nim jeżdżąc widziałem jego liczne bagaże wzięte z Polski do NRD i z powrotem przewożone wiertarki, nadmierne ilości złotych itp. A gdy jednego razu nie mogąc zabrać wszystkich bagaży dał do przewiezienia dwóm uczniom koła rowerowe i te koła na dworcu w Berlinie zostały skradzione. Kol. Rykała przysłał do mnie w tej sprawie obraźliwy list groźąc mi, że albo te koła mu odkupię (choćby przecież nie ja te zgubiłem, tylko ci dwaj uczniowie) albo on te sorawy skieruje do sądu. List ten ja posiadam. Kol. Rykała w tym czasie też zwrócił się do mnie jako do prezesa ZNP (funkcje te pełni społecznie), żebym mu spełnił pewną drobna przysługę, a mianowicie przesłał mu w odpowiednim terminie kopie 13 protokołów z różnych zebrań i kopie listu, który napisałem do niego w 1980 roku. Co do sytuacji w szkole, że więcej tu znaczy pisanie oświadczeń niż nauka sądzi, że jest to głównie podstęp kol. Rykała. Na dowód tego podaje że w szkole pracuje obecnie około 10 absolwentów, w tym kilku z ukochanym dyplomem magistra inżyniera, którzy chcieli do tej szkoły powrócić i którzy zdawali dostali się na uniwersytet i po ukończeniu. Atmosfera w szkole naprawdę osnie chyba tylko kol. Rykała, który szuka sobie w szkole, zwolenników i, rzeczwiście, kilku znalazł, którzy mają do dyrektora pretensje o mieszkanie itp. Jak to zwykle w zakładzie pracy.

Sądzi, że rozpatrując problem atmosfery w szkole, nie należy też pominać takiego problemu, że gdy np. jednego dnia odwiedził szkołę kol. Rykała, na drugi dzień nauczycielka Piotrowska robi dyrektorowi awanturę, że dlaczego to on dał wycieczkę prezesowi ZNP, żeby ja ocerzył w kuratorium, rzekomo sam prezes ZNP powiedział to jej na ulicy. Przy konfrontacji jednak z prezesem ja sama nauczycielka twierdzi, że to nie prezes jej to powiedział, lecz inna osoba, której nazwiska ona nie ujawni. Sądzi, że gdyby kol. Rykała mniej przyjeżdżał do naszej szkoły, takich incydentów też byłoby mniej. O atmosferze w szkole też trochę może świadczyć fakt, że prezes ZNP który podpisał zwolnienie kol. Rykała, został ponownie wybrany prezesem w głosowaniu tajnym otrzymując sto procent głosów, a organizacja związkowa w ZSMR liczy 44 członków na 74 ogółu zatrudnionych.

Podsumowując całość, choć można by o tych sprawach pisać dużo więcej sądzi, że podstawowa wada kol. Rykała jest to, że widać mu się, że realnie istnieje tylko to, co on chce widzieć, a nie istnieje to, czego on widzieć nie chce. W ten sposób, jest prawda bo on chce, żeby tak było — miewiaściwie zachowanie się wicekuratora w NRD, striciz uprawiany przez pracownice ZSMR w NRD itp., chociaż inni ludzie tego wszystkiego nie widzieli, a rzekomo wg kol. Rykała byli przy tym obecni. Widział on prawdopodobnie wiele innych rzeczy, ale natomiast nie zauważył, jak zle wrażenie robiło na nauczycielach i uczniach, że gdy w NRD oni wychodzili do pracy, on sobie gdzieś wyjeżdżał za zakupami, że zle wrażenie robiło utrudnianie tych zakupów nauczycielom i uczniom. Sądzi, że jeżeli człowiek naprawdę chce walczyć ze złem, to nie może tego robić w formie markawellizmu, że cel uświęca środki, i dobry jest nawet fałsz, byle osiągnąć cel. Człowiek uczciwy powinien również walczyć uczciwymi środkami, a z drugiej strony, chce walczyć ze złem należy uderzać tam, gdzie to zło rzeczywiście istnieje. Sądzi, że niesłuszne społecznie jest atakowanie dyrektora, który kosztem własnego czasu (a wg mojego zdania, zbyt mało go cenil) rozbudowywał wyjątkowo intensywnie szkołę i rozwijał stosunki polsko-niemieckie. Przecież właśnie dzięki temu uczniowie biedni mogą na kilka razy w czasie swego pobytu w szkole być w NRD zwiędzić ten kraj i doskonale swój język obcy, którego się uczy. Czy lepsza jest to, co robi kol. Rykała, że w imię urażonej ambicji własnej chce te kontakty naszej szkoły z NRD zerwać. I kto tu właściwie kompromituje kraj, czy dyrektor Cis-ski rozszerzając wymianę uczniów między Polską i NRD co mu się jak dotychczas dobrze udaje, czy też kol. Rykała pisząc głupie listy do dyrektora Schwante, ob. Ebela.

Napisałem to wszystko ponieważ uważam, że jednostronne przedstawienie w „Odgłosach” tych problemów — tylko z punktu widzenia kol. Rykała, może w oczach ludzi, którzy tych zagadnień szerzej nie znają, fałszywie rzutować na działalność naszej szkoły. Dlatego proszę, aby ten mój artykuł w formie niezmięnionej również został opublikowany w „Odgłosach”. Uważam, że mam do tego prawo, na zasadzie, że w każdej sprawie spornej mają prawo wypowiedzieć się dwie strony, a czytelników należy informować tak żeby mogli tych obu stron wysłuchać i dopiero wyciągnąć obiektywne wnioski.

mgr IRENEUSZ TARKA
(prezes Ognisk ZNP przy ZSMR
w Płocku)

OD REDAKCJI: Naszym zdaniem zarzut, jakoby Paweł Tomaszewski jednostronnie przedstawiał w „Odgłosach” — tylko z punktu widzenia kol. Rykała, może w oczach ludzi, którzy tych zagadnień szerzej nie znają, fałszywie rzutować na działalność naszej szkoły. Dlatego proszę, aby ten mój artykuł w formie niezmięnionej również został opublikowany w „Odgłosach”. Uważam, że mam do tego prawo, na zasadzie, że w każdej sprawie spornej mają prawo wypowiedzieć się dwie strony, a czytelników należy informować tak żeby mogli tych obu stron wysłuchać i dopiero wyciągnąć obiektywne wnioski.

Repertaż Pawła Tomaszewskiego pt. „KAMIKADZE”, zamieszczony w „Odgłosach” stanowi jedynie niewielką czastkę osobistych przeżyć i uczuć Mieczysława Rykała, jego najbliższej rodziny, uwikłanej w dość skomplikowany spłot okoliczności i wydarzeń. Ale mam pewne wątpliwości, czy sprawa dotyczy li tylko i wyłącznie samego M. Rykała. Sądzi, że nie.

Niektórzy ludzie w dalszym ciągu nie rozumieją, nie wyciągają właściwych wniosków dla siebie z najnowszej historii. Człowiek, walczący w pojedynkę z dobrze zorganizowaną kliką, układami i układnikami, sięgającymi nierzadko i wysoko swymi korzeniami (co można wywnioskować z reportaży), znajdując się zazwyczaj na straconej pozycji. A mimo wszystko usiłuje walczyć dalej. Nie zawsze w imię własnych interesów. W imię człowieczeństwa, zachowania własnej twarzy, ambicji i honoru. Ludzie po prostu chcą być sobą, bez względu na zaistniałą sytuację, okoliczności, w jakich się znajdują. Walczą z wszelkiego rodzaju złem, nadmiernie szerzącą się patologią społeczną w kraju. To im woino.

Niekiedy im się udaje dojść do powstania źródła, częściej jednak ponoszą porażkę w życiu. Przypina im się „etykiety” człowieka nierównoważonego, nieprzystosowanego do pracy i życia w kolektywie, burzyciela i rozrabiaci, niekiedy wręcz wroga klasowego. Tak bywa i niejednokrotnie mieliśmy możność przekonać się o tym naocznie. Mieczysław Rykała przegręwa większość spraw przed komisjami rozjemczymi i sądami. Wyrzucały trzykrotnie z pracy na bruk. A jednak nie zalamuje się fizycznie i psychicznie. Walczy dalej, o jedynie słuszną sprawę: **o ludzką godność!**

Ludzie wykształceni, inteligentni i układni, piastując nierzadko wysokie stanowiska w hierarchii zawodowej i społecznej, stosują różnego rodzaju wybiegi i uniki, co w ich mniemaniu ma świadczyć o ich wyższości i nieomyślności. Gra pozorów, wulgania w swoją orbitę coraz szerszego grona zwolenników, nie może uwolnić człowieka myślącego od wyciągania wniosków na przyszłość. Bywa i tak, że gdy są przyczynić do muru w świetle dowodów i faktów — wyślizgują się niczym „dyskord”. Szantaż i zastraszanie. Frazeologia, oderwana od realiów życia codziennego. A wszystko jedynie po to, by ocuka „sieci” zaciągnęły się szybciej na szyl upatrzonej ofiary, zwykłej człowieka uczciwego, wrażliwego na dobro i zło, z twardym kregosłupem moralnym. Nierzadko w ten sposób słabe charaktery, ulegają deformacji, zatracając wszystko, co dobre po drodze.

Moim zdaniem sprawa ta nie dotyczy li tylko i wyłącznie jednej osoby Mieczysława Rykała. Dotyczy ona wielu osób i ludzi walczących w osamotnieniu z wszelkimi przejawami zła, obłudy i fałszu przez wiele lat swojego życia.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Choć eilbyśmy (niektórzy nauczyciele ZSMR w Płocku) wyrażać nie tylko wdzięczność, ale przede wszystkim podziękowanie za publikację na łamach czasopisma artykułu „Kamikadze”. Podziwiamy odwagę Pawła Tomaszewskiego, gdyż żaden z reporterów nie mógł albo nie chciał zająć się tą sprawą. Paweł Tomaszewski nie tylko, że odważył się (bo jest to podjęcie walki nie tylko z „kliką” czy „klanem rodzinnym” ale...) „wyciągnąć pewne sprawy na światło dzienne”, ale przedstawia zaistniałe fakty nader obiektywnie, można by rzec z wielką precyzją (detaliami). Bo te niby małe, drobne fakty, na pozór blache, stały się przyczyną tragedii człowieka, a być może (jeżeli sprawa przybierze zły kierunek) tragedią wielu młodych nauczycieli.

Te artykuły to jest właśnie to (i), co powinno ukazać się publicznie od dawna. Po prostu wyłożenie (mówiąc brzydko) „kawy na ławę”. Bo „piątkowskiś śnodowskiś” musi mieć wszystko podane na talerzu. Podtekstem nie odbiera! Jest nam widać — nauczycielom, że takie dramatyczne wydarzenia rozgrywają się wśród naszego grona i że komentarze to cała Polska. Wiernymy jednak że artykuły P. Tomaszewskiego odniosła właściwy skutek, że wreszcie w naszej szkole będą mogli znaleźć miejsce nauczyciele z prawdziwego zdarzenia i że wreszcie nikt ich nie będzie „łepił” za to, że są pracowici, solidni, nie lubia kłamstwa kumoterstwa, kombinaterstwa i „brudów”. A także i to, że nasza szkoła stanie się normalną placówką oświatową, gdzie się naucza i wychowuje, a nie robi „podjazdy” świniństwa, dzieli między „swych” wczesny zapomógł, nagrody, ordery itd...

Wprowadzić po ukazaniu się kolejnych artykułów spotykają nas kolejne szkryki ze strony dyrektora Cisaka i „jego ludzi”, ale wiara w zwycięstwo słusznych racji pozwoli nam cierpliwie przetrwać zle dni.

Z poważaniem i szacunkiem:
NAUCZCIELE
(imię i nazwiska do wiadomości redakcji)

KONKURS NA OPISANIE BHP

Główny Inspektor Pracy ustanowił nagrody za osiągnięcia w zakresie publicystyki z dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy. W 1985 r. nagrody zostaną przyznane za artykuły i reportaże opublikowane w 1984 r., a następnie przyznawane one będą co roku.

Zgłoszenia publikacji do nagród GIP, podpisane przez redaktora naczelnego lub zastępcę zawierać powinny:

- imię i nazwisko autora publikacji bądź zespołu autorów, stopień lub tytuł naukowy i adres prywatny,
- wytyczne prasowy reportaż lub artykuł wraz z uzasadnieniem.

Redakcją, które opublikowały nagrodzone prace przyznane będą dyplomy honorowe.

- Wysokość nagród:
 - a) za cykl artykułów:
 - I nagroda — 20 000 zł
 - wyróżnienia po 10 000 zł
 - b) za artykuł:
 - I nagroda 15 000 zł
 - wyróżnienia po 7 000 zł

Nagrody przyznane zostaną przez Komisję powołaną przez Głównego Inspektora Pracy, przy czym dopuszcza się możliwość innego ich podziału.

Wnioski prosimy nadsyłać pod adresem:
Główny Inspektorat Pracy 00-924 Warszawa, ul. Kopernika 36/40 z dopiskiem „KONKURS”. Termin nadsyłania prac proponowanych do nagród upływa z dniem 15 września 1985 r.

dr KIEJSTUT ROMAN SZYMANSKI

CZOŁENKO TKACKIE'85

Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt”, Rada Kultury i Sztuki Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, Centrum Kultury Młodych w Łodzi, Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniotex” przy współudziale Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział w Łodzi, Towarzystwa Przyjaciół Łodzi ogłaszają Konkurs Literacki o nagrodę „CZOŁENKA TKACKIEGO” w czterech kategoriach: poezji, prozy, reportaży, bajek dla dzieci wierszem lub prozą.

ZALOŻENIA REGULAMINOWE:
Celem konkursu jest popularyzacja twórczości literackiej, rozbudzenie talentów oraz stworzenie młodym twórcom możliwości publikacji.

W konkursie mogą wziąć udział wyłącznie autorzy nie zajmujący się zawodowo literaturą i dziennikarstwem.

Na konkurs należy nadsyłać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich.

W kategorii poezji każdy uczestnik konkursu winien nadesłać poemat lub cykl wierszy (minimum 5 utworów).

W kategorii prozy organizatorzy oczekują tematyki związanej z pracą, życiem i obyczajami środowisk robotniczych — w formie opowiadania, noweli, eseju lub szkicu.

W kategorii reportaży prace winny być tematycznie związane z przemysłem lekkim. Organizatorzy konkursu oczekują reportaży stanowiących artystyczną wizję rozwoju i przemian kulturowych powojennego społeczeństwa polskiego, ukazujących ludzi pracy, zwłaszcza młode pokolenie Polaków w kontekście najżywniejszych problemów kraju.

NAGRODY:

- poezja: I — 15.000 zł, II — 10.000 zł, III — 7.000 zł.
- proza: I — 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł.
- reportaże: I — 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł.
- bajki dla dzieci: I — 25.000 zł, II — 20.000 zł, III — 15.000 zł.

Oceny prac dokona jury złożone z krytyków i twórców oraz przedstawicieli organizatorów. Jury zastrzega sobie prawo własnego podziału nagród. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Prace konkursowe, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 5 egzemplarzach maszynopisu do 30 września 1985 r. (decyduje data stempla pocztowego), pod adresem: Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju, ul. Przędzalniana 68, 90-338 Łódź, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki o Czołenko Tkackie”. Do pracy należy dołączyć kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród odbędzie się 20 października 1985 r. o godz. 11.00 w kawiarni ZDK (adres jw.) podczas spotkania, na które laureaci zostaną zaproszeni.

Dodatkowych informacji na temat konkursu udziela Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju (adres jak wyżej). Komisarzem konkursu jest mgr Józef Galecki.

„LEKCJA TRUDNEGO JĘZYKA”

Tylko z poczuciem czci należącej klasykom pragnę poprawić esat, który znalazł się w artykule pod pow. tytułem (ODGŁOSY nr 35/85) „De omnibus dubitandum — o wszystkim wątpić. Te maksymy, jako swoją ulubioną przedstawił niegdyś Karol Marks...”

Karol Marks, który ukończył dobre szkoły przedwojenne (jeszcze sprzed wojny francusko-niemieckiej z 1870 roku) szkoły z łacina, a także, mógł tylko powiedzieć „de omnibus dubitandum”. A znaczy ona dokładnie „o wszystkim należy (gównino się) wątpić”. Jest to konstrukcja zw. pięknie w języku łacińskim „conluctatio perphrastica passiva”.

T. E. LPIŃK

„ZIELONE SKRZYŃKI CZYLI USPRAWNIEŃIE”

W związku z notatką pt. „Zielone skrzynki czyli usprawnienie”, zamieszczonej w numerze z dnia 1985-06-08 dotyczącej działania poczty — Ministerstwo Łączności uprzejmie komunikuje, że notatka ta składa się z szeregu ogólnikowych stwierdzeń typu: „Listy z zagranicy giną nagminnie, paczki (...) przychodzą ze zmienioną zawartością” itp.

Z uwagi na to, iż niezadowolone klienta, a w konsekwencji wygaszanie przez niego tego typu uogólnień, wynika z Jego niewiedzy o sposobie reklamowania przesyłek pocztowych, Ministerstwo Łączności objaśnia procedurę reklamacyjną na należycie wykonaną usługę pocztową.

W myśl Ustawy o łączności (Dz. U. nr 54 z 30.12.1984 r. roz. 4. art. 63.3) odpowiedzialność za niewykonanie usług pocztowych w obrocie zagranicznym normują umowy międzynarodowe, a w szczególności Konwencja i Porozumienie o poczkach Światowego Związku Pocztowego.

Niniejsze przepisy określają termin składania reklamacji na 1 rok licząc od dnia następnego po nadaniu przesyłki. Prawo do składania reklamacji posiada w zasadzie nadawca. Z chwilą odbioru przesyłki przez adresata, właśnie adresat staje się jej właścicielem i tylko on może ubiegać się o odszkodowanie.

Każdy zarząd obowiązany jest zająć reklamację bez zbędnej zwłoki. W uzasadnionych przypadkach tzn. jeśli reklamacja była spowodowana błędem służb pocztowych, opłata za formularz reklamacyjny jest zwracana.

Natomiast wypłata ewentualnego odszkodowania powinna nastąpić możliwie najwcześniej; najpóźniej zaś w ciągu 6 miesięcy licząc od dnia następnego po dniu złożenia reklamacji.

Należy podkreślić, iż zarządy pocztowe ponoszą odpowiedzialność materialną jedynie za przesyłki listowe polecone i z deklarowaną wartością oraz za paczki. Rozszerzenia o odszkodowanie uwzględnione są do pewnej, z góry określonej kwoty, ustalonej przez Kongres Światowego Związku Pocztowego, a wypłacanej przez Pocztę Polską przy zastosowaniu aktualnie obowiązującego przelicznika ustalonego przez NBP.

Z powyższego wynika, iż autorowi notatki przysługiwało w chwili odbioru prawo reklamowania paczek, które przyjął „ze zmienioną zawartością”. Natomiast nie nabył on żadnych praw do listu poleconego, którego na próżno oczekiwał. Za list ten zostało niewątpliwie wypłacone odszkodowanie na ręce nadawcy.

Odnosnie opróżniania nadawczych skrzynek pocztowych w kolorach czerwonym i zielonym informujemy, że obowiązująca technologia opróżniania nadawczych skrzynek pocztowych przewiduje posiadanie przez każdego kierownika wykonującego te czynności dwóch toreb służących do wybierania korespondencji: miejscowej ze skrzynek zielonych oraz zamiejscowej ze skrzynek czerwonych.

Przedstawiona w notatce prasowej sytuacja jest wynikiem nieprawidłowości popełnionych przez pracownika bezpośrednio odpowiedzialnego za opróżnianie. W związku z tym, że zaistniała ona na terenie miasta Łodzi, sprawę przekazano do Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi jako sygnał niewłaściwej pracy podległych jednostek.

W sprawie braku druków w urzędach pt. Ministerstwo Łączności uprzejmie informuje, że w bieżącym roku wystąpił brak blankietów przekazów pocztowych, spowodowany trudnościami w uzyskaniu papieru. Aby przyjmować przekazy pocztowe urzędy pt. były zmuszone do używania niewłaściwych, przeznaczonych do innych usług blankietów. Była to sytuacja niewygodna zarówno dla klientów, jak i dla pracowników urzędów pt., jednak konieczna. Zmniejszony przydział papieru dla resortu łączności z rozdzielnictwa centralnego nie napawa optymizmem, dlatego też wykorzystywanie druków zastępczych w niektórych okręgach poczty i telekomunikacji będzie nieodwrnne.

Reasumując powyższe Ministerstwo Łączności pragnie poinformować, że sprawa jakości i terminowości usług pocztowych jest odczyna szczególną troską wszystkich jednostek resortowych. Jednakże z uwagi na dość szczególne warunki resortu jeszcze nie wszystkie podjęte w tym zakresie środki przyniosły oczekiwane efekty.

Dziękując za krytyczne uwagi wyrażamy nadzieję, że przyczynią się one do dalszej poprawy świadczonych przez Pocztę usług.

dr inż. ANDRZEJ SINIĄKIEWICZ
(Wicedyrektor Departamentu Służby Pocztowej)

Trzy kroki w szaleństwo

Futryna drzwi szczęśliwie niska, na tyle by każdy kto wchodził, musiał uderzyć się w głowę. Już niejednemu pozwoliło to na wygodne wyłumaczenie z ludności tego co oczy widziały, a rozum nie chciał uznać.

O Mitasiu świat jeszcze nie słyszał. Może to i lepiej, bo i bez wielkiej reklamy zjeżdżają doń ludzie chcący zobaczyć stół pokonujący prawo ciężania.

Drewniany, o kształcie prostokąta, zwykle nakryty obrusem, stoi w kuchni przy oknie.

— Tak, to ten — wyjaśnia Mitas, tym najbardziej niecierpliwym, którzy już w prógu szukają wzrokiem stołu słynnego z tego, że stukając w podłogę odpowiada na pytania.

W wiosce gadają, że Mitas wyzwa diabła, który pomaga mu w tym grzesznym procederze. Kładzie dłoń na stole i woła go imieniem Bistu nazywając. Tak przynajmniej twierdzi jedna z nauczycielek szkoły podstawowej w Woli Pękoszewskiej. Ona wprawdzie sama tam nie chodziła, lecz słyszała od innych.

— Z katolickiego punktu widzenia jest to ciemnota — twierdzi zdecydowanie — i jeśli ktoś ją pyta radzi nie chodzić i nie sprawdzać, bo diabeł nic za darmo nie daje. Ze diabłów nie ma? Przecież nawet w lekturach szkolnych jest napisane jak Twardowski z jednym paktował.

Mitas uśmiecha się szeroko ukazując samotną trójkę. Czego to ludzie nie wymyśli! Jemu żaden diabeł nie jest potrzebny. Zdejmuje ze stołu wazonik z kwiatkami, składa obrus i przesuwa stół na środek ciasnej kuchni. A że stoja tu dwa łóżka pięć węglowy i duża lodówka, więc zamiast krzesel po jednej stronie ustawia ławkę, na której usiadła jego pomocnica: dzieci. Z boku krzesła dla gościa. On sam, stojąc przy dłuższym boku, gdy już dłoń wszystkich ułożona będa na stole, bez głośno wypowiedzianych zakleć — choć kto wie, co sobie w myślach mówi — sprawia, że stół jest mu posłuszny.

— My w ten stół wierzymy — deklarują nauczycielki wspomnianej szkoły. Opornie skia-

niają się do przedstawienia swoich poglądów w sprawie stołu i tego, co Józef Seliga, czyli Mitas, z nim wyprawia. Mają nauczkę. Kiedy w gazecie skiermiewickiej napisano, że one nie wierzą — wymieniając je z nazwiska — to potem Mitas publicznie, wobec całej wsi, wypominał im niedowiarstwo. Dlatego chcą zachować anonimowość. Kobiety nie wierzą w diabła, o którym mówi jedna z ich koleżanek, choćby dlatego, że Seliga co tydzień do kościoła chodził i komunij przyjmował — taki pobożny. Może więc Bóg stołem kieruje?

— Bóg jest zbyt poważny, by takiemu miał stół podnosić i tajemnice z życia ludzi ujawniać. To na pewno diabeł — mówi podekscytowana pani pedagog i wychodzi nie znajdując poparcia u słuchaczy. Ktoś kto przypomniał sobie, że szkoła jest państwowa i laicka utrzymuje, że w ustroju socjalistycznym taki stół jest nie do przyjęcia. Rozmowa jest o plotkach, nie zaś o faktach, gdyż nikt z grona pedagogicznego u Mitasia nie był i stoju nie oglądał — tak przynajmniej twierdzą nauczycielki.

— Nie ma tygodnia, by ktoś nie szukał pomocy stołu — twierdzi Mitas, długo wylizując pękoszowian, którzy go odwiedzali. A i przyjeżdżnych nie brakuje: ze Skierniewic, Łodzi, Warszawy, Śląska... Trafili też do niego dwie turystki z dalekiej Ameryki. U nich widać też takich stołów nie ma.

Aby stół stuknął, musi siedzieć przy nim sześć osób. Mitas jest tym szóstym. Często, gdy brak jest wymaganej ilości ludzi, Seliga wyrusza na wędrowną do domów sąsiadów i sprowadza dzieci siedmio- lub ośmioletnie. One za parę złotych na gumę do żucia lub oranżadę chętnie godzą się pomagać Mitasiowi. Lecz że i im nieobce są ekonomiczne problemy kraju, zwiększają żądania. Nie wystarczy im dwadzieścia czy trzydzieści złotych. Coraz częściej za mniej niż pięćdziesiąt nie chcą odrywać się od zabawy.

Aby stół zachciał stuknąć, musi być cały drewniany, bez gwóźdź i śrub. Trzeba też zdjąć obrączki, pierścienie, zegarki. Mitas nie zasłania okien, nie

zapala świec. Przez szeroko otwarte drzwi widać do izby kurczaki szukające na podłodze smakowitych okruchów. Dwa koty, przelagając się leniwie, obojętnie przechodzą koło nóg. Wnuczka stojąc przy rozpalonym piecu miesza coś w garnkach, a młody zięć, zmęczony i cały czas milczący siedzi na krześle podpierając ręką opadającą głowę. Dzieci kręcą się niecierpliwie, aż wreszcie córka mówi: — No ojciec, zaczynaj wreszcie!

Książki, choć dopiero od trzech lat w tej parafii, o Mitasiu musiał już słyszeć. Choćby, gdy chodząc po koleżdzie odwiedzał i jego dom. Jednakże utrzymuje, że nie zna sprawy. Nie słyszał, nie widział. Wytrwale przypominał sobie od wietrzności wreszcie pamięć, lecz jedynie na tyle, by powiedział, że stanowisko Kościoła wobec takich spraw... Odnośnie dokumenty każdy sam może sobie przeczytać.

Józef Seliga sprawdza czy wszystkie dionie leżą płasko na stole i unosi go do góry, by tak zostawić. Zawieszony nieruchomo w powietrzu, stojący na dwóch nogach, stół kpił sobie z praw fizyki. Praw, których Mitas, rodzony jeszcze w XIX w. pewnie nie zna.

— Stole odezwiń się — rozkazuje Józef Seliga i stół ciężko opada na podłogę, by zaraz unieść się do góry i zawisnąć w oczekiwaniu. A dzieci zaczynają przypatrywać się, kiedy kolejny niedowiaręk zblednie, poczerwienieje, by za kilka minut wyskoczyć z izby odmięzionym — jak to już nieraz się zdarzało.

Dzieciom jest najłatwiej. Na lekcjach fizyki, gdy każą im wkuwać prawo powszechnego ciężania — nie protestują. Nauczycielom trudnych pytan nie zadają. A w stół wierzą tak samo jak w białego psa, który gania je na drodze, by nagle tajemniczo rozpłynąć się w powietrzu czy wisielca kołyszącego się na gałęzi, ukazującego się także dorosłym — nawet wtedy, gdy wódki nie pili. Dzieci wierzą też w to, co książka mówi na religii, a nauczycielki w szkole.

— Stół, policz ile jest osób w pokoju. Na każdą osobę stuknij raz — mówi Mitas. Stół

posłusznie uderza w podłogę. Siedem osób przy stole, córka i wnuczka i jeszcze zięć — uderza zatem dziesięć razy. A bije niczym galopujący koń, tak mocno, że to już czwarty stół za życia Mitasia. Poprzednie rozleciały się wykonując czynności do jakich zwykle nie są przeznaczone.

Kilkulatek o rumianych policzkach, w okularach tkwiących na nosie, uważnie i jakby z ironią przypatrują się nieborakowi, którego kruchy racjonalizm kształtowany na programach telewizyjnych i gazetach codziennych łamie się wobec nauce niemożliwego. Nawet milicjanci z okolicznych miejscowości służbowo zobowiązani do trzeźwości umysłowej, ulegając pokusie ułatwienia sobie pracy, przyjeżdżali do Mitasia po pomoc. Sprawdzenie tego nie stało się niemożliwe.

— Zaprzecz — bardzo rozsądnie uprzedza Mitas — inaczej im nie wypada.

Na posterunku w Woli Pękoszewskiej niewielki wzrostem funkcjonariusz ukrywa się za biurkiem, słysząc o co chodzi. Biurko — podobnie jak stół — sprzęt nieożywiony, a jest w nim jakaś magiczna moc, że dodaje powagi i sprawdza rozmowę na właściwe tory. Milicjant stołu nie widział i w żadne stukiwanie nie wierzył. Więcej nie powie, bo wytyczne z góry nie przysyła, przestępstwa ani skarg nie było, więc oficjalny przedstawiciel władzy takimi sprawami zajmować się nie ma powodu.

— W dwudziestym wieku wierzyć w takie rzeczy niepodobna — kończy szczęśliwy, że natręt wreszcie się wynosi. Dziwili się, że do Józefa Seligi nie chodzi — nie należy. Trzeba dbać o autorytet.

— Stół, powiedz czy ten pan co tutaj siedzi jest zeniaty — mówi Mitas i poklepuje gościa po dionie, tak by stół wiedział o kogo chodzi. — Jeżeli tak, stuknij raz, jeżeli nie, stuknij dwa razy.

Stół uderza dwa razy, choć do dowodu osobistego przecież nie zaglądał. Kolejne pytanie: a czy ten pan żonkę swoją zarządza? Stół zachwiał się, lecz nie uderzył. Córka siedząca na łóżku i obierająca ziemniaki poucza ojca, że bez sensu pyta. Skoro ten pan żonki nie ma to i zdradzać jej nie może. A stół na źle postawione pytania nie odpowiada, ludzkim głosem nie pouczy. — Spytaj czy ten pan ma żarczoną — podpowiada ojcu. Stół stuknął raz — zgadza się znowu. Dalsze pytania dobre obyczajnie każą prze-

milcząc. Gość się rumienił, a dzień demoralizowały.

Mitas, mimo swoich osiemdziesięciu sześciu lat jest jeszcze pełen wigoru. Dlatego lepiej by małżonkowie do niego razem nie jeździli. Bywało że spytał o wierność żony i stół odpowiadał pozytywnie. Gdy potem chciał o to samo spytać w stosunku do meza — ten protestował. Na nic to się nie zdało, bo Mitas jest za sprawiedliwością. Gdy stół wystukał to co miał do powiedzenia czerwony na góbie małżonkowie czyli przed dom. On już ponownie nie przyjdzie, chyba że bez żony.

Wielu ludziom pomógł Józef Seliga i jego stół. Komuś wskazał stodołę, gdzie grzeszyła niewierna para. Innemu wskazał, kto ukradł z kredensu kilkudziesięciotygodniowe oszczędności i nawet podał, ile z tych pieniędzy złodziej wydał w podługie uderzył dokładnie piętnaście razy. Mitas jest jak spowiednik i tajemnica go obowiązuje, dlatego prosi, by nie pisać zbyt wiele o tych sprawach.

Już od piętnastego roku stukają Mitasiowi stoły. Przez te kilkudziesięć lat Józef Seliga nauczył się, że ludzi interesuje zawsze to samo: łóżko, pieniądze i zdrowie. Lecz mimo tylu lat praktyki ciągle nie brak mu zapалу i zamecza stół pytaniami, które mają ostatecznie przekonać o jego umiejętnościach.

— Ile ma ten pan tysiąców w portfelu? — pyta stół — Na każdy tysiąc uderz jeden raz — instruuje. Stół uderza raz. Wspólnie sprawdzanie. Zaciekawione dzieci pochylone nad portfelem, w którym rzeczywiście jest tylko tysiąc złotych, podnieśli głowę i zaczęli się głośno śmiać. — Stół, bądź lekki. — Stół, gdy usiłuje się go podnieść waży tyle co każdy podobny. — A teraz stół bądź ciężki! — wykrzykuje Mitas i jest jakby trochę cięższy, choć może to być tylko złudzenie. — Przecież ubiło osób przy stole — spostrzegła Józef Seliga. Na chwilę więc przysiadła jej wnuczka i zięć. Mitas krzyczy na stół, rece siedzących swobodnie leżą na blacie, na mięśniach nie widać żadnego wysiłku, a stół ledwo dale się podnieść. Kolejne próby, kolejne pytania. Jeszcze jedno i jeszcze jedno... Dosyć.

Józef Seliga ma zaawansowaną miążdżycę, kłopoty z pamięcią, ostatniej zimy leżał w szpitalu, więc i stół nie taki jak dawniej. — Myli się, a czemuś to wcale nie chce stuknąć — przyznaje uciążliwie córka Mi-

tasia, której tusza i choroba nóg nie pozwalają zbyt często poruszać. Siedzi na łóżku przykrytym niegdyś wzorzystą narzutą tuż obok lodówki obklejonej motylkami z kalkomanii i gdy stanie obok niej drobniutki Mitas, to wyglądają razem jakby zesłi wprost z obrazu Dudy Gracza.

Gdy spytał Mitasia, dlaczego stół stuknął, śmieje się uszczęśliwiony zainteresowaniem, lecz nie chce powiedzieć. Jeden taki dawał już mu trzydzieści tysięcy złotych, a on nawet za takie pieniądze nie zdradził tajemnicy stołu. Mieszkańcy wioski wiedzą, że przed śmiercią swoje umiejętności Józef Seliga przekazał wnuczce. Na razie milczy i nie chce ujawnić tajemnicy, która ponoć przekazał mu ojciec.

Ludzie z wioski niechętnie opowiadają o stole. Zatrzymane na drodze młode meżatki twierdzą, że nigdy do Mitasia nie chodziły. Dla nich jest on nie-nowoczesny. Wzruszają niepewnie ramionami i odchodzą. Dla wioski z powodu Mitasia więcej jest kłopotu niż pożytku. Przyjeżdżnych nie interesuje że w Woli Pękoszewskiej nie ma ani jednego z tak kłędnych licznych miynów, że brak jest klubu i kawiarni, że jabłka przetrzymywane przez całą zimę sprzedawać trzeba do gorzelnicy za jedyną pięć złotych. Wszyscy pytają tylko o stół, którym nawet pochwalili się nie można, bo nikt nie odważy się powiedzieć, że stuka i prawdę mówi.

— Poprzedni książka często chodził do Seligi — opowiada gospodyni, u której zwykle odbywają się lekcje religii. — Kiedyś nawet przywiózł ze sobą znajomą z Warszawy i tym domu — a nie jak zwykle u Seligi — w jej własnej kuchni, w tej, co teraz tak apetycznie pachnie rosolem), ten stół (na którym właśnie stoja talerze przygotowane do obiadu) wystukiwał, ile pani z Warszawy ma dolarów w torebce. — Gospodyni widziała i liczyła potem te dolary. Lecz zaoparta, czy wierzy, uśmiecha się zawstydzona i nie nie mówi. Nie ma co się dziwić. Przecież w kolorowym telewizorze, który widać przez drzwi uchylone do pokoju, tego nie pokazują, kładą na ambonie nie mówili. Samej trudno.

Proszę pani! Byłem i widziałem: stół stuknął, ale wierzyć w to nie należy — taka ciemnota!

KRYSZTOF ZAJĄC

Pan Franio śpi dzisiaj do dwunastej — wolno mu. Niechby tylko ktoś spróbował mu czegoś zabronić. Już w szkole wiedzieli, że do niczego zmusić się nie da. Taki jest ten pan Franio — żadnego ucisku nie ścierpi i zawsze o swoje prawa walczyć będzie.

Dziś trochę głowa mu ciąży, a tu w całym domu ani kropelki czegoś na klina. To wstrętne babsko wszystko pochowało. „Babsko” to żona. Tylko kłopoty z nią, nic więcej. Człowiek haruje jak głupi, forszę czasem przynosi, a ona tylko zrzedzi! Chciałaby, żeby miał jak ten kulak, mieszczuch w telewizor galy wlepił i nosa z domu nie wyszłubiał.

Niedoczekanie! Już pan Franio dosyć napatrzył się na sąsiada. Lata tamten jak piesek, naczynia zmywa, młotkiem wali, albo glansuje to stare pudło na kółkach. Świata nie widzi, tylko grały mu w głowie.

Ciekawe co on zrobi, jeśli już na wszystkie klamory uciula? Pewnie wysiadzie mu lodówka i znów będzie miał o czym myśleć. Oby, bo inaczej powiesi się biedak.

Pan Franio ma inną, romantyczną duszę. Nigdy nie przywiązywał wagi do forsy, a koleś zawsze mógł liczyć na jego pomoc.

Kiedys pracował na budowie i całe szczęście, że wysiadły mu nerki, bo inaczej traciłby tam czas do tej pory.

W szpitalu sobie to wszystko przemyślał, a jak mu rentę dali to już wiedział, że nareszcie pożyje.

Teraz robi co chce. Jeśli ma humor, to „zarabia”, a jak nie, to z domu coś wyniesie i zawsze na pół literka starczy. Zeby jeszcze ta stara nie marudziła, to byłoby całkiem dobre.

Dawno już by ją zostawił, ale dzieciaków szkoda. Pan Franio nie ścierpaliby, gdyby ktoś mówił, że on rodzonych synów zaniedbuje. Wszyscy widzieli jak w niedzielę szedł z nimi do kina. Kiedys to im nawet pomarańcze przyniósł i nikt nie może powiedzieć, że z niego zły ojciec.

Lekcji z nimi nie odrabia, to fakt, ale przecież człowiek ma ważniejsze sprawy na głowie niż jakieś tam rachunki, malunki. Tym niech się zajmie baba. Po to została stworzona, żeby dzieci niańczyć, a ciągle jej trzeba o tym przypominać.

No bo czyja to wina, że spodnie dra?

Jakby przypomniała zamiast z sąsiadkami rajcować, to pan Franio nie musiałby wysiuchiwać kazań. Ciągłe źle, ciągłe mać, a niech sama pokombinuje i nie obija się w tym biurze.

Ech, lepiej już wstać i wyjść z tego domu, bo się tu człowiek denerwuje.

Znajomków jeszcze nie widać, więc pan Franio z nudów postanawia trochę „popracować”. Przyda się, bo ta jedza musiała wyciągnąć mu wczoraj wszystkie zaskórniaki — wystarczy, że się przez chwilę zdrzemnął.

Trzeba zarobić szybko i bez zbędnego przemęczania się, bo nogi ciężkie jak z ołowiu.

Najlepszy będzie „Central” — trochę niebezpiecznie w poje-
dynkę, ale co robić kiedy koleś wciął?

Tutaj pan Franio uczy ludzi rozum — patrzeć spokojnie nie może, jak te panusie awanturują się o parę rajstop. Przepycha się to, wrzeszczy, a torbę otwartą trzyma — wystarczy jeden ruch i portmonek zmienia właściciela.

Teraz trzeba wyrzucić szybko wszystko poza forszę. Nie wolno polakonić się na reszcie, choćby była z wielbiądziej skóry, bo to zawsze ryzyko.

Pan Franio

WIONA SOKÓŁ

Pan Franio ma świetną zabawę, kiedy paniusia ręce załamuje, biadoli — dobrze jest tak. Po co pecha się po ręczniki? W domu pewnie ma ich pełną szafę. Zamiast na bazar pójdzie do domu i pomyśli — torbę będzie odtąd zamykać na kłódce.

Trzeba ludzi uczyć, bo inaczej sami zgina. Chodzą jak chcą, portfele po kieszeniach trzymają i myślą, że wszystko ich.

Jak tu nie brać kiedy sami dają?

Raz to było panu Franiowi źal — spać nie mógł. Przechodził obok takiej jednej, a tu portmonek w koszyku. Musiał zabrać, skoro sama tego chciała, a ta w ryk — że cała pensja, dzieci. Nie mógł tego słuchać. Teraz tylko bardziej „nadmianych” wybiera. Tak jak ten Lupin — to był gość!

Najlepiej idzie „robotą” w tłoku. Trzeba tylko wiedzieć, w którym sklepie będzie dostawa.

Całkiem niezłe jest w tramwajach po piętnastej — tam już rzadko kto pilnuje własnej kieszeni. Ważniejsze są chryje o to, kto komu wiazi na odcisk.

Czasem, kiedy pan Franio ma nerwy stargane, wybiera spokojniejsze „zajęcie”. Potrzebne mu tylko kule i wypławiła marynara po zładunku.

Idzie sobie na spacer, (koniecznie w jakąś cichszą okolicę) ogląda domki, ogródki i jak ognia unika psów. Potem wystarczy tylko zadzwonić, zrobić zbolatą minę i wytłumaczyć, że jest się bardzo chorym człowiekiem, któremu jeszcze nie przysiali renty. Pani (z mężczyznami lepiej nie zaczynać) już ma leżki w oczach i szuka po kieszeniach. Jeśli się jeszcze powie, że wystarczy sucha bułka, to słowa mruwana.

Można też stanąć na rogu i obok położyć czapkę. Przydają się ciemne okulary, bo ludzie niewidomych bardziej żałują.

Pan Franio jednak tego nie lubi — stać tak żeby wszyscy oglądali, a co jeśli trafi się ktoś znajomy? Takiego wstydzi nikt by nie przeżył. Już lepiej oplaca się jeździć po wsiach z jakimś bagażem — jeśli kolorowe to wszystko kupić i jeszcze wypić dadzą. Przy okazji zobaczy się to i owo. Najlepiej latem, nad morzem — wszędzie taki tłok, że nie trzeba się specjalnie wysilać, a forsa sama wiazi do rąk.

Podróżuje pan Franio dużo, żeby jak najwięcej światła ujrzyć i ludzi za głupotę karać.

Gorzej zimą — wtedy trzeba pracować na własnym terenie, bo zapalenie płuca to żadna przyjemność.

Czasem uda się „pohandlować” — wcisnąć bubel za ciężkie pieniądze, innym razem kumple pomogą i dobrze jest. Chciał raz pan Franio odpocząć i w domu popracować. Całą aparaturę skompletował — tylko czekała w kuchni na zmon-

owanie, aż tu wpadła baba i wszystko zdewastowała. I jak kobicie dogodzić?

Wychodzi człowiek — źle, siedzi w domu — niedobrze, a bimberk byłby pierwszą klasą.

Nie mogą się ludzie ze sobą dogadać. Dlatego zamyka się pan Franio często w komórcie i buduje swój statek — piękny już jest. Każda zapalka-tak równiutko do innej przylega, że szpilki by nie wetknął. Wolno idzie ta praca, bo ręce już nie te — trzęsą się jak w febrze, ale w tym roku skończy na pewno. Postawi statek na telewizorze, żeby wszyscy mogli oglądać, ale odkurzać to już on sam go będzie.

Popatrzy człowiek i zobaczy morze, wyspy nieznanne — wodą kochał pan Franio zawsze i jeszcze kiedyś popłynię, żeby nie wiem co. Wsiądzie na statek i zostawi to wszystko — niech się wali i pali. Jeszcze dzieciaki trzeba na ludzi wykierować, ale już niedługo pokaże co potrafi.

Tymczasem po robocie wypada odpocząć, a najlepiej odwiedzić Józka — u niego zawsze wesoło. Teraz też śpiewy słychać aż za rogiem.

Pan Franio nos zatyka i drapie się po schodach. Zawsze sobie przyrzeka, że przychodzi do tej meliny ostatni raz — jak można żyć w takim brudzie? Potem jakoś nos się przyzwyczajają, a barłóg pod ścianą jest miękką jak królewskie łożo.

Kolesie witają gościa wesolotko i już stawiają przed nim wyszczerzoną musztardówkę. Znalazły się i karty. Trochę zszarżale i lepkie, ale kto by tam zwracał na to uwagę.

Zabawa się rozkręca — są też trzy panienki.

Nie będzie się już dziś zamartwiał pan Franio, a do domu może wcale nie iść, jak nie zechce.

Pod wieczór jednak nachodzą go złe myśli — baba pewnie dzieciaki przeciw niemu podjudza i jątrzy. Lepiej wracać i przypomnieć jej, kto tu rządzi.

Denerwuje go ta cuchnąca buda i koleś, którym daleko do gentlemanów-włamywaczy. Partacze, a myślą, że wszystkie rozumy zjedli.

Jakby pan Franio do kina nie chodził, to też by pewnie był taki głupi. A tam inny świat zobaczył, zrozumiał, że człowiek nie tylko do żarcia i spania stworzony. Szkoda, że nie można cofnąć czasu — chodźliby się we fraku, postukiwano laseczką, a tu jak koleś garnitur zobaczy, to pękają ze śmiechu. Półgłówki — on nigdy teatru nie widzieli, a książki tylko na wystawach widzą.

Pan Franio był raz w teatrze — ładnie tam, wszędzie pełno luster, a jak tę dużą firankę podnieśli, to aż się w głowie kręciło. Trumna stała pośrodku — elegancka, czarna, a ludzie latali wokół i coś wykrzykiwali. Nie wiadomo o co im chodziło, ale i tak było co oglądać, a jakie miny robił!

Potem firankę zaciągnęli i kto chciał, to mógł się napić albo coś słodkiego przegryźć, żeby nabrać sił do dalszego wyopatrywania.

Dobrze tam było i żal, że tak szybko się skończyło — może jeszcze kiedyś się wybierze, tylko że to głupio samemu, a koleś powiedział nie można, bo ryłby do rana.

Smutne myśli nachodzą pana Franio i z tej zgrzyoty musi wstąpić jeszcze na „jednego”. Usiadzie sobie potem w parku i pomyśli o swojej podróży — mapę nosi zawsze przy sobie. Wróci nad ranem do domu, a jutro wstanie pewnie znów po dwunastej.

Niech pan jedzie pod numer 79 Beach Street, señor, droga prosto nad morze, tam jest fryzjer. Nad drzewami jest napis „Fashion”, tam zbierają się dziewczęta z Santo Domingo, które godzą się na to, żeby być prostytutkami w domach publicznych Philipsburga przez miesiąc albo dwa: to znaczy tyle, ile trzeba, żeby zaszczędzić 600 dolarów, tyle kosztuje przejazd na wyspę Saint-Thomas. To amerykańska wyspa, señor, a kto do niej dojedzie, przestaje cierpieć; od tej chwili, usted entiende (rozumie pan) przestaje cierpieć, bo tak czyni najpoziostanie w Stanach Zjednoczonych. Ale trzeba posmarować tyle ręk, opłacić tylu policjantów holenderskich i amerykańskich, poza tym można i tak nigdy tam nie dojechać jak Petronilla Ferreira, niech Bóg ją ma w swojej opiece. Niech pan się zatrzyma, jestem na miejscu, mieszkam w tym baraku, gracias...”. Maria Asuncion wysiada z samochodu i znika na biotycznych drózkach St. Martin.

Za laguną jest mostek i port Philipsburg: stoc kontenerów. Znalaziono je w Saint Thomas w jednym z tych pojemników, z otwartymi ustami, oczami pełnymi grozy i pokrwawionymi palcami: było ich dwadzieścia osiem, dziewczęta urodzone na Santo Domingo, które z wyspy francusko-holenderskiej Saint Martin miały dobrać nielegalnie na wyspę Saint Thomas, pierwszy skrawek ziemi Stanów Zjednoczonych na Karaibach.

KUPIJĄ ZAPAS PROSTYTUTEK DO ODSPRZEDANIA

Zapłaciły każda około 600 dolarów za przejazd: w tej stawce mieści się wszystko, kwota przeznaczona dla policjantów, dla mafii sycylijsko-amerykańskiej kierującej burdelami, na opłacenie paszportu odebranego im, kiedy przychodziły po raz pierwszy.

Myslały, że będą podróżować w kontenerze piętnaście godzin: „Wszystko w porządku, dziewczęta — powiedział im kapitan-pirat — musicie być cierpliwe i trochę pocierpieć z powodu upału. Ale kontener ma otwory w ścianach i będziecie mogły zaczerpnąć kolejno powietrza”. Co się stało potem, nikt nie chce powiedzieć. Tym, którzy o tej historii poinformowali, dwóm dziennikarzom z Gwadelupy, zagrożono śmiercią.

Władze holenderskie z Philipsburga milczą: władze amerykańskie na Saint Thomas zaprzeczają: ciąż zresztą nie znalezione (zatopione w wodzie? zamknięte w chłodni? (ogrzebane w ziemi?), wszyscy boją się, aby nie znaleźć się w morzu, ale na Karaibach o niczym innym się nie mówi, ponieważ „afera kontenerów” jest czymś więcej niż faktem z kroniki kryminalnej, znacznie więcej niż zwyczajnym faktem suterstwa i niewolnictwa: jest to sprawa, która wskutek grozy i przerażenia, jakie budzi, może podważyć układ polityczny ostatnich kolonii europejskich na pirackich wyspach korsarskich wojen; te wyspy jeszcze dziś są gniazdem piratów, handlarzy bronią i narkotykami, handlarzy żywym towarem, miejscami domów publicznych i domów gry.

Aby zrozumieć ogólne znaczenie wydarzenia, trzeba poczynić parę uwag: natury geograficznej i przeniesić się na inną wyspę, w czasach pirackich zwana Tortuga, dziś podzieloną na dwa terytoria Haiti i Santo Domingo. Tortuga jest najuboższą strefą kontynentu amerykańskiego, a może i świata.

Narodem haitańskim rządzi młody despot Jean-Claude Duvalier, syn straszliwego „papy Doc”. Właśnie w tych dniach dziedziczny tyran zadekretował nieśmiało podchodzenie do demokracji uwielając więźniów politycznych, legalizując partie opozycji i łagodząc cenzurę: takie warunki narzucił Stany Zjednoczone, aby móc uprzywilejować pomoc, której Haiti żywności potrzebuje i zagwarantować strategiczną stabilizację tego regionu.

Ale haitańczycy są tak biedni, że jako pierwszy krok ku przywróceniu życia wybierają emigrację do drugiej części wyspy, do Republiki Santo Domingo, też ubogiej i niedobrej, ale łatwiejszej dla stosunków handlowych. Ponadto na Santo Domingo nie przeważa autokracja dziedziczna, ale reżim stosunkowo swobodny.

To przejście z jednej strony wyspy na drugą odbywa się pod kontrolą organizacji niewolniczych, które kupują od rządu zestaw „braceros” (wyrobników) mężczyzn oraz „putas” (dziewki) kobiet, aby potem odsprzedać, wynajmując, a w każdym wypadku zniszczyć.

Wszyscy wiedzą, że ten handel istotami ludzkimi odbywa się za zgodą ofiar sprzedawców i kupców lub syna oznaczone zapowiedziem i przeżycie i uzyskać jedno miejsce więcej przy stole. Ponadto dziewczęta są bardzo ładne i bardzo młode, wychowane — jak pisze miejscowy dziennik — w strefie „bujujnego rozkwitu seksualnego, ponieważ potrzeby seksualne, jak wskazano, zmieniają się w zależności od szerokości geograficznej, spowodowało to, że prostytucja nie jest tu zjawiskiem dramatycznym życia codziennego, przynajmniej tak długo, dopóki nie staje się przedmiotem niewolnictwa i gwałtu”.

Trzeba dodać coś jeszcze o wyspie Saint Martin, o której pisaliśmy, a która jest zwróceniem całego systemu i właściwym miejscem tragedii. Wyspa jest mała, niezwykle piękna, podzielona z punktu widzenia fizycznego na laguny i góry. Politycznie podlega Francji i jest administracyjnie w Marigot oraz Holandii, która ma mikrostanowisko w Philipsburgu. Część francuska przeżywa bardzo powolną dekolonizację, ale jest ciągle jeszcze ściśle powiązana z Paryżem: prawa i porządek publiczny są tu zagwarantowane.

Natomiast część holenderska jest wielkim miejscem wakacji dla Amerykanów: wielkim portem, w którym można kupować tanio urządzenia elektroniczne nie najlepszej jakości: ubrania podpisane przez znanych projektantów włoskich i francuskich oraz wiele tandety: ale

przede wszystkim jest to jedno wielkie kasyno w ścisłym tego słowa znaczeniu: wzdłuż niemal równoległych ulic, biegnących obok mikroburdeli, mieści się gazecz domów gry, mikroburdeli, importu-eksportu broni, sprzedaży narkotyków pochodzących z Kolumbii i kierowanych do Stanów Zjednoczonych za pomocą sieci dystrybucyjnej kierowanej przez sycylijsko-amerykańską mafię, której miejscowym bossem jest barwna i niebezpieczna postać, pan Chapotin (jest to oczywiście pseudonim). Hoduje on długie paznokcie, aby pokazać, że nigdy nie zhańbił się pracą, nosi kwiatowe koszule szeroko otwarte na piersi, aby pokazać złote łańcuchy. Przeguby pana Chapotina nigdy nie były skutecznymi kajdankami, natomiast są ozdobione bransoletkami pełnymi drogich kamieni. Nieprzyjazny stosunek do niego nie przynosi szczęścia: właśnie kiedy przyjechałem na Saint Martin, przeciwnik pana Chapotina, niejaki Fred Bronwaffer, dostał cały ładunek rewolwerowy i na zawsze przestał prowadzić hotel „Little Boy”.

PODRÓŻ Z RUMEM I KOKAINĄ

Ta postać, chociaż jest wulgarna, nie jest jednak wulgarnym gangsterem; jest — jak sam lubi podkreślać, człowiekiem interesu, który kupuje, sprzedaje, najmuje. Kontener śmierci należał właśnie do niego. Chapotin ma statek o nazwie „Panamericana”, a w jego ładowniach przewozi się zarówno samochódziki do lunaparków, jak i materiały ludzki do lunaparków; posiada „Sporting club”, gdzie odbywają się mecze bokserskie przyciągające uwagę bookmachersów z nizin; „Japanese club”, burdel-lupa-

Karaibscy handlarze miłości — masakra niewolnic

nar typu „złatw sprawę szybko i tęgnaj” dla marynarzy z dalekomorskich statków rybackich z kraju „Wschodzącego Słońca”.

Aby młodzi Japończycy nie tracili czasu, burdel urządzono w lokalu magazynowania i mrożenia ryb: dwadzieścia minut z dziewczyną, dwadzieścia dolarów, wśród bloków lodu i wnętrza barakody. Kobiety w tych burdelach pracują dwa tygodnie, a potem są odsyłane gdzieś indziej: stara zasada lupanarów „dwutygodniówki” — jest ściśle przestrzegana.

Pewien Kreol, znający dobrze mechanizm, twierdzi, że ta wymiana jest konieczna, aby uniknąć komplikacji uczuciowych, powodujących kłopoty handlowe: dziewczęta z Santo Domingo, choć poddane ciężkiej pracy (od szóstej wieczór do drugiej rano), są „głupie i łatwowierne, zakochują się i kapryszą”. Lepiej zatem przetranszować je z jednej wyspy na drugą.

Na Saint Martin istnieje grupa aferzystów zwanych „sierżantami rekrutacji”. Ich zadaniem jest obiecywanie wszystkiego, natomiast przemilczanie jednego małego szczegółu: przeobrażenia życia w zwierzęce niewolnictwo. „Sierżanci” co miesiąc jedzą na Santo Domingo, aby rekrutować dziewczęta: „Przyjeżdżajcie na Saint Martin, będziecie pracować w barach i restauracjach jako kucharki i kelnerki — obiecują. — Przyjeżdżajcie: dostaniecie 300 dolarów po zaangażowaniu, a jeżeli potrafiacie pracować, jeżeli nie będziecie głupie, czeka was tam jeszcze nagroda: pewnego dnia zwyciężymy was do San Juan w Porto Rico, albo do Saint Thomas, tam staniecie się Amerykankami: będziecie mieć dolary aby je posłać rodzicom, będziecie mieć za przyswojenie Amerykanki, będziecie mieć amerykańskie dzieci i nikt nie będzie mógł odebrać wam paszportu. Kto chcejechać, niech wsiada w samolot do Philipsburga: będziecie się czuć, jak w rodzinie”. Aby lepiej przekonać, wożą ze sobą dziewczęta, które zrobiły karierę i entuzjastycznie potwierdzają te słowa.

Dalszy ciąg można sobie wyobrazić. Dziewczęta ładują na lotnisku „Juliana” w Philipsburgu. Szepcą hasło na ucho policjantów holenderskich „Idziemy do centrali”. Policjanci wiedzą, jakie jest ich zadanie: najpierw odbierają paszport, a w tej chwili te kobiety są praktycznie więźniami.

Szybko odkrywają, że zawód, który je czeka, nie jest zawodem kelnerki, jakkolwiek przygotowanie nie ich jest stopniowe: najpierw zabawiają gości w barach, potem są hostessami w salach gier i zabaw, a na końcu właściwy burdel.

Jednakże perspektywa dotarcia na ziemię amerykańską jest konkretna. Kontenery z kobietami z Santo Domingo (ale często ładunek zawiera także mężczyzn) (wypływają z Saint Martin o zmierzchu na statkach pełnych owoców, video, karabinów maszynowych na Haiti, skrzyń rumu, woreczków kokainy i podróbują, płyną podczas burz w kierunku Porto Rico, w kierunku Wysp Dziewiczych amerykańskich i angielskich, w kierunku Caicos Islands, słownym etap po etapie w kierunku Miami na Florydzie.

Saint Martin jest wolnym portem dla wszystkich towarów i we wszystkie kierunki. Między strefą holenderską i francuską są tylko napisy wjazdowe tu, wjazdowe tam: nie ma ani granicy, ani kontroli. Co najmniej trzy tysiące osób żyje w sposób nieregulowany na tej wyspie, raj dla wszystkich uciekinierów, ludzi, którzy jak najszybciej chcą się dorobić. Podstawowa wymagana cecha: dyskrecja. Róbcie co chcecie, byle tylko nie wynikał z tego skandal.

Tymczasem skandal wynikał i reszta świata zaczyna to rozumieć. Dlatego sroczymy jest, że

w tej części świata robi się wszystko, aby go wyeksponować, zaprzeczają, minimalizują. Brak dowodów na to, co się stało. Ale poszuki są bardzo logiczne. Pierwsze tam-tamy rozległy się w radio na Saint Thomas (wyspa przeznaczona kontenerowemu, które przekazało krótką wiadomość: „Personel portu otworzył przypadkiem kontener i znalazł ciała pięciu uduszonych dziewcząt wewnątrz. Władze wszczęły śledztwo”. Zaraz potem wiadomość podjęło radio angielskojęzyczne z Saint Thomas „Pgd-2” i wrócono do punktu wyjścia, czyli do Saint Martin.

Tu, odważny dziennikarz, francuski Kreol, Xavier Morry podjął sprawę dzięki osobistemu śledztwu, podał wiadomość w „Radio Caraibes International”, ale z pewną poprawką: trupów było więcej jakoby niż pięć. Ten kontener płynął z szesćdziesięcioma osobami, z czego co najmniej dwadzieścia osiem zmarło w drodze na Saint Thomas. Xavier ma kolega, który z Pointe-à-Pitre, stolicy Gwadelupy, pisuje korespondencje dla francuskiego dziennika LE MATIN. Nazywa się Jacques Canneval, i Jacques bada dalej sprawę, przesyła do dziennika francuskiego trzy korespondencje udokumentowane i pełne oburzenia. Ruchy walczące o niezależność zbierają się na tajnych posiedzeniach, aby postanowić o politycznym rozwiązaniu tej potwornej historii.

Jacques jest dziennikarzem poważnym i ostrożnym. Xavier jest wulgowy: spędziłem z nim dwa dni na Gwadelupie i rozmawiałem z wszystkimi, którzy w taki czy inny sposób znają sprawę. Xavierowi groziło śmiercią i poinformowano go, że jeżeli wróci do Philipsburga, zostanie zabity. Dlatego razem przyjechaliśmy na Saint Martin, i podczas gdy on szuka kontaktów i świadków po stronie francuskiej, ja szukam po stronie holenderskiej.

Karaibscy handlarze miłości — masakra niewolnic

Kto może znać choćby część prawdy? Z pewnością Dominikańczycy gnieżdżący się na małej peryferii Philipsburga, „casbah” kontenerów i baraków. Podwożąc Dominikańczyków samochodem zgrupowali dziesiątki potwierżeń słownych: często powtarza się nazwisko Petronilla Ferreira, która miała znajdować się na statku: urodziła się ona we wsi Malmo Bonao na Santo Domingo: wcale nie była prostytutką, lecz kucharką w „Sporting club”. Myślałem, że dziś nikt się nie przyzna, że znał Petronillę, ale myliłem się: doskonale ją pamiętała; odnalazłem nawet jej przyjaciółkę, która pokazuje mi jak wyglądała, jak chodziła; wszyscy są zgodni co do tego, że ta kobieta (trzydziestu cztery lata, mająca czternastoletniego syna) miała kontrakt na Saint Thomas, a także na Curaçao, w holenderskiej stolicy administracyjnej Antyli.

MIESZCZAŃSKIE MARZENIA I BEZIMIENNE GROBY

Co się stało z Petronillą? To właśnie pytanie krewni jej zadali władzom Santo Domingo. Władze Santo Domingo z wielką pompą zaczęły śledztwo na polecenie samego prezydenta Salvadora Jorge Blanco Radie i Porto Rico poinformowało, że już odbyło się około dwudziestu uroczystych mszy za kobiety zmarłe w kontenerze.

Dominikańska komisja śledcza, złożona z dwóch generalów i jednej osoby cywilnej, poleciała na Saint Thomas i na próżno rozmawiała z miejscowymi władzami. Policjanci tej wyspy wzduszają ramionami i powtarzają, że to nieprawda, że nikt nie umarł, że nie przyplłynął żaden kontener, że na pokładzie statków nie ma ani ukrytych, ani nielegalnych prostytutek.

Ale to jest zaledwie początek historii, której zasięg może być dramatyczny dla całej strefy tego morza piratów i niewolników, morza wysp dla mieszczańskich marzeń i bezimiennych grobów. (...)

Philisburg to mniej niż miasto, to nawet mniej niż osada. Jest to uroczyste przekleństwo miejsce. Uroczyste, bo wszyscy robią wrażenie jakby bez wysiłku zgarniali pieniądze i wykorzystywali je dla przyjemności. Przekleństwo miejsce, bo sposób zarabiania pieniędzy nie jest zawsze jasny. Nie inaczej to oczywiście, że jest to wyłącznie ziemia bandytyzmu: ale jeżeli bandyta, człowiek poszukiwany, bankrut, terrorysta tu przyjeżdża, to jest tak, jakby przyjechał do Legii Cudzoziemskiej. Nikt o nic nie pyta, nie musi niczego dowiedzieć o przeszłości, wyłącznie na temat swej przyszłości. Są dziesiątki Francuzów, którzy tu ładują, aby schronić się pod skrzydłami superliberalnej i niejako przyzwyczajonej administracji holenderskiej. Tu obojętne stare motto: żyj i pozwól żyć.

Częsami jednak ktoś traci życie. Zdrada w interesach, zdrada małżeńska, wolna konkurencja między burdelami. Może się też zdarzyć, że jakieś dwadzieścia dziewcząt, które sądzili, że najmuje ciało kupują sobie paszport do Stanów Zjednoczonych, znajduje ostatecznie paszport do piekła. Uduszone w kontenerze zapomnianym na molo w Saint Thomas wśród bagażu dla lunaparku, skrynek — chłodziń i rybami. Było dwadzieścia kobiet, stały się „zepsutym ładunkiem”, zmarnowanym. Cóż za kłopot dla tego, kto zapłacił żywą gotówką w dolarach za te eksportowe ciała. A jakie ryzyko po takiej wpadce, jaki rezonans, zainteresowanie, gniew moralistów. Potrzebna jest zatem dyskrecja, aby uniknąć reklamy i przede wszystkim zaprzeczanie, zaprzeczanie, przede wszystkim negowanie oczywistości.

Świadków już nie można znaleźć, radio milczy, sprawa stała się tabu. Hasło: te kobiety nigdy nie istniały. I cynicznie taka jest prawda: one nigdy nie istniały. Udowodnijcie jeżeli potraficie. Pewien marynarz powiedział mi, że na pełnych wodach koło Saint Thomas wyłowiono torebkę z dokumentami Dominikanki. Ale torebkę zabrano. Próbuje dowiedzieć się, dzwoni na policję: „Nie, proszę pana. Nothing”. Nic. Wracajmy do interesów.

Czego pan chce? Przyjechał pan do sal gry, na ruletkę? Dla dziewcząt? A może interesuje pana import-eksport? Pociąga pana handel walutą?

Właśnie. Handel walutą: jesteśmy tu w królestwie brudnych pieniędzy. Ponowny obieg? Przecież to dziecinna zabawa. Z dumą pokazują mi instytucje kredytowe: „Mamy masę banków, wiele okienek, kas, sejfów, kont. Szwajcaria? Ależ to dawna historia. Ile może dać Szwajcaria w chwili obecnej? Ależ nie, drogi przyjacielu, przyszłość jest na Karaibach, Antyle są bankiem świata”.

Dostają adres. Małutka ulica, kolonialne drewniane domy, białe i błękitne. Zaduch pod niebem pokrytym barokowymi chmurami. Kto powiedział, że w tropikach słońce pali na błękitnie? W loggii bardzo elegancka Murzynka kokietuje młodego człowieka, który swoim mercedensem bezczelnie blokuje ruch na tej uliczce. Pukam do drzwi. Ktoś zwałnia zamek. Wchodzę, przyjmuję mnie dorodna dziewczyna amerykańska, czarna, skuteczna w działaniu, czystej wody mieszkanka Nowego Jorku, przystojna, tak jak może być przystojna szefowa biura wykonująca swoją funkcję, to znaczy nie pociągająca.

Valérie, francuska urzędniczka, każe mi przyjść o tej porze, jeżeli chcę zobaczyć Amerykanów, którzy właśnie wylądowali z samolotu „American Airlines” z Miami i deponujących walizy pełne dolarów. Proszę o pozwolenie wejścia do świątyni, chce, aby mnie przyjął notariusz: chciałbym ulokować kapitał.

CIALA TEŻ POGRZEBANE

„Okay, sir”, odpowiada niezbyt sympatycznie skuteczna szefowa. Jestem wprowadzony do biura na trzecim piętrze. Wilgotny upał, skrzynki piwa na lodzie, wielkie skrzydła wiatraka poruszające się z majestatyczną powolnością: czystość dekoracyjna, bo człowiek poci się, jak w powieściach Grahama Greena. Nie, dziękuję za aperitif. Chciałbym zdeponować dolary. Ile? Sto tysięcy, mówię. Nie, nie zamierzam ich inwestować w spółkę nieruchomości czy w program mieszany. Mój rozmówca jest lekko rozdrażniony, bo przyszedłem mówić o dolarach, nie przyniosłem dolarów, co on by wolał.

Kim jest ten pan, który co wieczór zamyka w kasie pancерnej miliony zielonych banknotów? Jest to Kreol, włosy siwe, skóra ciemna, sposób bycia brytyjski, indiańskie rysy twarzy. Pokazuje mi wiele planów inwestycji. Tymczasem od drzwi Valérie daje mi znak. W chwili potem udaję, że przez omyłkę wszedłem do jej biura, aby zobaczyć typowego, made in USA, eksportera kapitałów.

Jest to mój człowiek. Spocony, w słomkowym kapeluszu, w krótkich spodniach, ścisła w ręce wielką, skórzaną otwartą torbę. Widzę wielką liczbę pakietów studniardówek. Jakich nie widziałem nawet w filmach o napadach złodziei.

Zaczynam rozumieć, dlaczego pogrzebano historię dziewcząt, które zginęły w kontenerze między tą wyspą a wyspą Saint Thomas. Tak zresztą, jak pogrzebano ich ciała. Faktem jest, że pieniądze rosną, rozmnażają się cudowniej niż chleb i ryby. Place, dla każdego, kto ma jakiś zawód i chce pracować, są bardzo wysokie: dwudziestoletni chłopak, bez jakiegokolwiek zawodu, który zbiera reklamy do gazetki przeznaczonych dla klientów hotelowej, zarabia (praca terminatora) dwa tysiące dolarów — bez podatków — na miesiąc. Inni proporcjonalnie więcej. Kupcy, krupierzy, adwokaci, wynajmujący aparaty do gry (żeby pozostać przy zajęciach legalnych) zarabiają setki tysięcy dolarów rocznie. Podatki nie istnieją.

No, a dziewczęta z kontenera? Umarły czy nie? Czy widzieliście kiedykolwiek niewolnicze w tych stronach? Patrzę na mnie niepewnie: „Ach, po to pan przyjechał? W sprawie kontenera? Rozumiem. Widzi pan, to bardzo smutne, ale nikt nie ponosi winy. Tu nikogo nie interesuje odgrzebywanie tej smutnej historii. Nie, lepiej niech pan da temu pokój. Nie, to nie jest groźba, ależ skąd. Niech pan sobie bada, bardzo proszę, sprawę kontenera. Ale pytam pana, czy pan w to naprawdę wierzy?”.

Michel pływa od dawna: „Słyszałem jak w radio mówiono o dziewczęciach przewożonych nielegalnie z jednej wyspy na drugą, słyszałem kreolski głos 23 kwietnia wieczorem, zapamiętam na moim radiu na mojej długości fal: „tu jest jedna Dominikanka, która zostawiła w kontenerze torbę z rzeczami: mamy ją posłać po nią?”.

„Odkryto się nielegalne zebranie ludzi z frontu wyzwolenia — mówi Albert, Francuz, właściciel dobrego hotelu — nielegalne, ale wszyscy wiedzą. Sądzę, że nawet w telewizji o tym mówiono. Twarde skrzydło uważa, że trzeba badać dalej sprawę kontenera, bo z tej sprawy może się zrodzić wielki protest ludowy o powstającym potencjale. Dlatego właśnie nie można znaleźć trupów. Te ciała nie mogą mieć porzuceni: są jak dynamit. A w Europie? Czyż ktoś zauważył znaczenie tej sprawy?”.

PAOLO GUZZANTI („La Repubblica”)

3.

— Jesteś, staruszk, szalony, odważny i bardzo dla mnie miły. Lubię takich — Fatalita wyciągnęła się w miękkim fotelu.

— Przesadzasz — Demorion usiłował być skromny, ale w gruncie rzeczy rozpierała go duma. Męska duma.

— Umiesz i przegrwać, a to trudna sztuka.

— Owszem, ale tylko pojedyncze bitwy, wojen to ja nigdy nie przegręgam.

— Rzeczywiście byłeś doskonale przygotowany na każdą ewentualność.

— Tak trzeba, moja droga, spodziewaj się najlepszego, ale bądź przygotowany i na najgorsze, taka jest moja dewiza.

Rozmawiali pod przezroczystą kopułą z masy wytrzymałszej od stali. Był to znakomity punkt obserwacyjny, zbudowany przez posłuszne roboty na najwyższym szczycie planety. Demorion miał jak na dion rozległe terytory, na których odbudowywał swoją potęgę. Kopalnie, hutę, wielkie fabryki rakiet, broni i amunicji szły pełną parą. Planeta jak planeta — dość podła: strome góry, głębokie wąwozy wypełnione zabójczymi gazami i ani kawałka żyznej ziemi. Powietrze nie do oddychania, temperatura nie do zniesienia, roboty trzymały się jednak dzielnie, z tym jednak, że zużywały mnóstwo szlachetnej oliwy, rozrzęzwały się szybko. Ale ten mankament równoważyły przebogate złoża surowców.

— Przetrzępały ci trochę skórę te... jakże im tam.

— Galaretki.

— Dlaczego tak ich nazywasz?

— Bo to są wściekłe, trzęsące się, obrzydliwa galaretki. Wyjątkowo podła rasa.

— Nigdy ich nie widziałam. Jak wyglądają? Są do nas podobni?

— Do nas? Chyba żartujesz!

Mówił jednak chętnie o znienawidzonych galaretkach. To nie są ludzie, przedziwnie wyjątkowo, trzeba przyznać, uzdolnione zwierzęta. Rozwinęli technikę we wszystkich absolutnie dziedzinach, przede wszystkim technikę falową i pewnie dlatego nazywali się radiotelekami. Mogą porozumiewać się językiem dźwiękowym, ale on rozsyfrował ten język, więc zaczęli gadać do siebie niesłyszalnym językiem falowym, a to już zagadką trudną do rozwiązania. Budują osłony falowe bardzo ciężkie do przebicia. W takie pole trzeba grzmotić laserami dzień i noc. Może pęknie, a może nie. Posługują się falami wiskiwie w każdej ważniejszej dziedzinie, mają doskonały napęd falowy, szybszy od światła, antygrawitacyjny i bezkonkurencyjny broni falową. Dzięki falowym regulatorom mózgu mogą osiągać to, co ludzie nazywają telepatią, nie bardzo zresztą w nią wierząc, inaczej mówiąc te zwierzęta czytają bezbłędnie ludzkie myśli nigdy nie wypowiedziane, dzięki umiejętności podążania fal odpowiadających każdej istocie rozumnej. Chodzi podobno tylko o to, żeby nie przekroczyć dwudziestu tysięcy drgań na sekundę. Mogą porozumiewać się telepatycznie na duże odległości i spowodować, że człowiek rzygnie ze śmiechu kiedy go coś dotkliwie boli. Fantastyczne, trzeba przyznać. Albo będzie rozpaczal w chwili największego szczęścia. Potrafia podobno zaktywizować największego lenia, najgorszego drania przemienić w aniołka, są mistrzami w dowolnym zestawianiu kodów genetycznych.

— Coś podobnego! — krzyknęła Fatalita — a nie przesadzasz? Przecież coś takiego w ogóle nie jest możliwe!

— Jest możliwe.

— Widziałeś skutki działania tych regulatorów mózgu?

— Na szczęście, nie! Dla nich to tylko rodzaj zabawy. Nie wolno im niczego zmieniać we Wzrzeschwicie, mają to, zdaje się, zapisane w konstytucji. A to znaczy, że ich zdobyte niczemu właściwie nie służą. Rozumiesz?

— Nie za bardzo.

— To są zwierzęta inteligentne, pomysłowe zwierzęta, które bawią się tym co znająstrawiały. Potrafią wiele zrobić, a niczego spożytkować dla siebie, dla zwycięstwa swojej rasy. To degeneracja, ja ich zdobyćce wykorzystam!

— Musisz je najpierw zdobyć.

— Zdobędę, nie ma obawy. Spójrz tylko w dół.

Przysłnęła fotel do przezroczystej ściany kopuły. Imponujący widok. Karne szeregi zwykłych robotów, które Demorion nazywał pogardliwie — robotami, kruszyły stalowymi łapami skały, zawierające bogate złoża uranu, wysoko procentowych rud żelaza i miedzi, wydobywały także potężnych rozmiarów samorodki złota, kamienie szlachetne i rzadkie minerały. Robote były prymitywne, ale silne, nie znaly zmęczenia, nie przerywały pracy ani na chwilę, przenosiły bez trudu całe tony beczkowego surowca do fabryk, zastępując skomplikowane koparki, ładowarki, pojazdy czy przenośniki. Najtańsza siła robocza.

— Są silne i zdyscyplinowane. Jakże je oceniłeś z pogromu?

— Same się ocaliły, moja droga. Pracowały w kopalniach, ale na periferiach mojego imperium, wojna ich nie dosięgnęła. Pozbierałem roboty i przywoziłem tutaj, żeby dalej pracowały. Niczego innego nie potrafia.

— Jakże właściwie poniosłeś straty?

— Do odrobienia, tyle ci mogę powiedzieć.

Demorion zamyslił się. Nie ulegało wątpliwości — popełnił niewybaczalny błąd w sztuce wojennej — nie docenił przeciwnika. Teraz, kiedy się już otrząsnął po klęsce spokojnie oceniał sytuację. Był pewien zwycięstwa przed wielką bitwą. Potężne uderzenia termojądrowe, którym kierował osobiście, wspierane nawałnicami promieni laserowych, musiały rozerwać falową osłonę Telemetrii nastawionej — jak sądził — wyłącznie na obronę. I sądził fałszywie, na tym właśnie polegał błąd. Galaretki zdobyły się na desperacki, ale i skuteczny atak. Był to najlepiej wykonany atak, jaki kiedykolwiek przeżył. Nie mógł go odeprzeć,

nie tylko zresztą dlatego, że dał się zaskoczyć. Galaretki odkryły szczyt, którym posługiwały się roboty — dowódcy, zaczęły więc nagłe wydawać sprzeczne, bezsensowne rozkazy, wytworzył się chaos w karnych dotąd szykach jego rakiet bojowych i w dywizjach latających robotów. Zawracali, manewrowali, wpadały na siebie, raziły się wzajemnie. Niewiele zdołał uratować z pogromu. Zostały mu jednak formacje zapasowe.

— Masz jakiś konkretny plan, Demorionie?

— Oczywiście.

Spacerował pod przezroczystą kopułą w złotym skafandrze, sztywnej, wiodczy i znowu pewny siebie. Plan? Cóż, jest bardzo prosty — należy jak najszybciej odbudować potęgę Hegemonii — państwa najwyższej rasy we Wzrzeschwicie. Straty są duże, nie zaprzecza, przypadły dywizje latających robotów i niemal wszystkie statki użyte podczas walki. Na szczęście zostało ich trochę, nie tak znowu mało, na odleglejszych planetach. Przepadły wyrzutnie pocisków termojądrowych i miotacze laserów, pozostało jednak wiele fabryk.

WIESŁAW JAŁDZYŃSKI

Dzieci kosmosu

Niewiele ucalało robotów — dowódców, ucziowieczonych częściowo, dysponuje jednak sporą armią robotów zdolnych do wykonywania skomplikowanych prac inżynierskich czy konstrukcyjnych we wszystkich bez mała dziedzinach techniki. Już ruszyły wytwornie broni, rozkręca się produkcja rakiet bojowych dalekiego zasięgu. Przeciwnik — i to jest właśnie wielka szał — musiał opuścić swoje legowisko na Telemetrii, odjechał w stronę Siodmej Galaktyki, ale nczego już tam nie znajduje.

Fatalita słuchała uważnie, z pewnym nawet uznaniem. Wiedziała oczywiście, że Demorion nie zna najmniejszych nawet skrępowań, popełni każdą zbrodnię, jeśli tylko przyniesie mu korzyść. Nie wahał się przed zniszczeniem znacznych przestrzeni galaktyki, zabił swoich namiestników, braci Harionów. Z pewnym sentymentem i żalem do Demoriona wspominała czasy, kiedy te dwa już prawie w pełni ucziowieczone roboty, zabiegały o jej względy. Demorion pozbył się rozumnych świadków swojego niepowodzenia, chciał być sam. I jeśli został już przy życiu, to tylko po to, żeby mu urzędził potomstwo.

— Słuchaj staruszk...

— Nie nazywaj mnie staruszką, dobrze?

— W porządku, będę ci tytułowała — Imperatorem.

— To już lepiej, choć nie jest konieczne w twoim przypadku. W końcu jesteś moją żoną — dodał ciepłej.

— Owszem, ale nie ślubną i podobno mam gdzieś w kosmosie poważną konkurentkę... niejaką Agnę.

— Bzdury pocięsz! — Demorion starał się o stanowczy, zdecydowany ton, poczuł jednak wyraźny skurcz serca. Agnę... ileż z nią wiązał nadziei! Była piękniejsza o niebo od żadnej przecież Fatality. Jasnowłosa, mądra i ładna Agnę. Stworzył ją sam z najlepszych, starannie dobranych komórek idiooplazmy. Podstawowe składniki życia istoty, która miała odróżnić zwycięską, nienaganną rasowo, rodzaj ludzki, okazały się jednak inne niż miał prawo przypuszczać. Gabinet transformacji opuściła kobieta urodziwa od wszystkich, jakie w swoim życiu poznał na starej, macierzystej planecie. Nawet córka prezydenta Hegemonii, z którą był zaręczony, równał się z Agną nie mogła. Agnę przewyższała wiedzą swojego twórcę przynajmniej o dwie fazy rozwoju. Nie było to zbyt bezczyste, ale Demorion wierzył, że będzie mu we wszystkim posłuszna. I tak się początkowo działo, póki nie poznała jego planów podboju Wzrzeschwici. Nie podzielała jego poglądów, kpiła z jego naukowej teorii wyższej rasy, protestowała, niekiedy nawet gwałtownie, kiedy mówił, że motorami dziejów są wojny, oczyszczają świat ze słabych, nikomu niepotrzebnych gatunków ludzi, roślin i zwierząt. Nie panowanie i nie ujarzmienie siły, ale współdziałanie wszystkich istot rozumnych jest głównym celem życia — odpowiadała. I uciekała. Z nieudany, rozemnianym poetą, zdaje się, którego powołał do życia razem z Agną. Miał być twardy jak stal, władczy i bezwzględny, a gadał do rytmu przez sen. Dokąd uciekała? Chyba do galaretek.

— Jeśli nie konkurentka, to kim jest właściwie?

— Skąd wiesz, że w ogóle istnieje?

— Harionowie mi powiedzieli. Szalęś za nią, a ona nas wszystkich zdradziła.

— To prawda, ale my ją znajdziemy. Wybrałem już dla niej specjalny rodzaj śmierci.

— Jak? Umieram z ciekawości!

— Zostanie ścięta toporem.

— Znakomity pomysł. Czy to prawda, że była bardzo mądra?

— Podejść bliżej, wszystko ci wyjaśnię, bo widzę, że jesteście z jednej gliny ulepieni. Ty i ja.

Dwa tylko były państwa na macierzystej planecie Demoriona. Hegemonia, którą zamieszkiwała rasa wyższa i zupełnie pomylone państwo zwane Rzeczypospolitą Demokratyczną. Żył w nim głównie rasy niższe — żółte, czarne, czerwone i wiele milionów rozmaitych mieszańców. Prezydent Hegemonii, owszem, człowiek mądry i dostatecznie stanowczy, postanowił zaprowadzić wreszcie nowy ład na planecie. Popętał jednak błąd — nie docenił przeciwnika. Uderzył pierwszy rakietami jądrowymi

mi w wyznaczone cele i myślał, że będzie koniec przeciwnika, bo mu zniszczy wszystkie wyrzutnie, fabryki, elektrownie i tak dalej. Tymczasem tamci odpowiedzieli równie potężnym kontruderzeniem i nastąpiła tragedia w skali całej planety. Nie kontrolowana reakcja łańcuchowa, każdy wybuch powodował automatycznie następne, wyładowania jądrowe rozdzierały planetę i sięgnęły jej ogniste wnętrze. Całkowity rozpad był już tylko kwestią czasu. W tej właśnie sytuacji on, Demorion, nie stracił głowy i postanowił ratować wszystko co się dało. Zostało jeszcze sporo nietkniętych, sprawnych rakiet międzygalaktycznych, sporo zapasów energii, paliw, broni, żywności, a nawet zapasowe oddziały wyspecjalizowanych robotów. Sprawy położyły — jak zawsze — uczeni. Ci durnie kochają zabierać wszystko, zabrali więc i całą hodowlę zarazków. A to świnstwo rozprzestrzeniło się i cała ludzka obsada rakiet zginęła łącznie z panem prezydentem Hegemonii. Został przy życiu tylko on, ale tylko dlatego, że leciał samotnie w przódzie, pilotował całą armadę. Mało tego, uczeni otrzy-

mal wyrażny rozkaz zabrania zapasów idiooplazmy wyprodukowanej w Hegemonii, bo tylko one gwarantowały możliwość sztucznego od-

tworzenia egzemplarzy ludzkich wyższej rasy, ale ta banda zabrała także zasoby genetyczne i tamtych, no i wszystko się w ogólnym bałaganie pomieszało.

— Ożywiłem dwa zestawy genetyczne i narodziła się Agnę razem z półgłówkiem piszącym wiersze. A ja zawsze mówię, że ucziowieczonych trzeba trzymać krótko — odizolować od siebie, trzymać w pracowniach, postawić dobrą straż, dać dobre zjeść i niech pracują dla wojska. Wtedy mogą być coś wari, inaczej zaczęła się konsultować, wymieniał doświadczenia, aż w końcu gotowi zrobić taki wynalazek, że ludzie są równi.

— Uspokój się, Imperatorze! Przecież nie wszystko, co stworzyłeś, jest złe!

— Masz pewnie na myśli siebie, co?

— Nie tylko.

— A kogo jeszcze? — Demorion zaniepokoił się trochę.

— Hariona Pierwszego. Podobno jest wyjątkowo udany i krąży gdzieś we Wzrzeschwicie i pracuje dla ciebie.

— Skąd wiesz?

— Nie domyślaś się? Od jego braci.

— Powiniennem tych drani unieszkodliwić wcześniej.

— Jesteś niesprawiedliwy, obaj Harionowie walczyli dzielnie przeciw galaretkom.

Prawda — przyznał w duchu Demorion, spisywali się rzeczywiście nieźle. Tych dwóch trzymał zawsze przy sobie. Ale te doskonale, zdolne do samodzielnego myślenia roboty, powoli, lecz systematycznie ucziowieczane, wypowiedziały mu posłuszeństwo. Tego nie można inaczej nazwać. Początkowo był dumny ze swojego dzieła, a przy okazji zdobywał doświadczenie w genetyce. Harion Drugi i Trzeci zyskiwali więc coraz więcej cech ludzkich, pochodzili od samodzielnego myślenia roboty, chociażby umacniania siły armii i jej zaplecza przemysłowo-surowicowego, wcale nie tracąc na posłuszeństwo wobec Imperatora. Zmienił się jednak z chwilą pojawienia się Fatality. Zaczęli z miejsca zabiegać o jej względy, kićli się, nienawidzili, inaczej mówiąc — stawali się ludźmi. Bywało i tak, że nie słuchali polecenia lub wykonywali je opieszale. Demorion nie miał innego wyjścia, musiał ich uspić na wieki. Leżał teraz w kryształowych trumnach, na martwej i zimnej planecie, gdzie stoi jego dawna rezydencja. Uspił ich dlatego, że nie chciał mieć młodych i silnych konkurentów.

— Masz rację, wykonal z honorem swoje bojowe zadania, ale pewnie nie wiesz o jednym — oni zostali skażeni promieniami radioaktywnymi, musieli umrzeć.

— Ach, tak!

— Niestety. Nie zamierzam więcej ucziowieczuć w pełni robotów. Ty mi dasz pełnowartościowych następców. Przyspieszmy tylko ich rozwój, w rok osiągną dojrzałość.

— Są dość poważne przeszkody.

— Nie ma żadnych.

— Są, po pierwsze to ja nie jestem czystą rasowo. Sam mi o tym mówiłeś.

— Zartowałem.

— Po drugie — ty nie możesz mieć dzieci.

Po prostu nie możesz, masz już swoje lata.

Demorion przygryzł wargi, to mogła być prawda. Liczył już osiemdziesiąt lat. Niby nie tak znowu dużo, ale to już wiek. W dawnych, dobrych czasach, kiedy sprawował na macierzystej Hegemonii wysoki urząd głównego inżyniera broni, znał wielu mężczyzn w tym samym wieku, którzy żenili się i mieli rasowe, mądre dzieci. Przeciwny wiek sięgał stu czterdziestu lat życia. Ale to były spokojne lata. Jakież on prowadził życie po ucieczce z rozpadającej się planety? Pamiętał dobrze pierwszy okres wyczerpującej, głębokiej samotności. Ocalałe z atomowej pożogi roboty ładowano w pośpiechu, były jak, razem z obsadą ludzką. Nie było ich tylko w jego rakiecie, prowadzącej całość. W zamieszaniu nikt nie pomyślał, żeby je wyłączyć, a one były przeciwieństwem zaprogramowane do walki z żywymi istotami. Wymordowały więc wszystkie żałogi. Demorion został sam na niezmiernych obszarach kosmosu. Zaprogramował roboty po swojemu i były mu odtąd posłuszne ale nie mo-

gły zastąpić człowieka, który mówi, gładzi nawet, kićci się, cieszy, smuci, pije, chrapie, walczy... musiał się zesterzać w przerażającej pustce. Odmłodniał dopiero wtedy, gdy trafił niespodziewanie na radioteleki, znalazł bowiem cel życia. Była to zdumiewająca cywilizacja pod względem technicznym, innych nie brał nawet pod uwagę, warto ją było opanować.

— Nie martw się, Imperatorze, na razie zmagaj się z dziećmi, masz już wprawę, powini ci się udać.

— Na razie? Dlaczego?

— Może powróci twój ulubieniec Harion Pierwszy, ożenisz mnie z nim i damy początek nowej generacji Hegemonii.

Rozsądnie mówi — pomyślał Demorion z odrobiną zazdrości — czy jednak darion wroci? Żadnych od niego wiadomości. Przypiętały się znowu wspomnienia z dobrych i złych dni. Budował wytrwale swoje imperium i osiągnął wielkie sukcesy. Państwo funkcjonowało jak zegarek wysokiej klasy. Wierzył, że Hegemonia sięgnie swoimi granicami krawędzi Wzrzeschwici. Rozwijał produkcję śmiercionośnych broni, zwłaszcza laserów dalekiego zasięgu i to go z pewnością poważnie wyczerpało. Osłabiała i klęski poniesione w walce z Telemetrią, ale i utrzymywały przy życiu. Zemia, chęć pokonania znienawidzonego wroga, zdobycia jego tajemnicy fał dodawały mu z drugiej strony siły.

— A może to ty nie możesz mieć dzieci?

— Nie ludź się, jestem zdrowa i moga.

Wzrzeschwici nie mógł opanować w pojedynkę. Dlatego ucziowieczal roboty w różnym — rzecz prosta — stopniu, zależnie od potrzeb, aż wreszcie stworzył Agnę i niedorozwiniętego potęg Ariela, o którym zresztą mało wiedział. Znikł wraz z Agną. Stworzył też durnego osiłka, który łamał najtwardszą stal, wreszcie i Fatalitę. Liczył teraz na nią, po ostatniej klęsce ona mu tylko pozostała. Może i nie była zupełnie czystą rasowo, jej ciemna cera przypominała mieszkaniec Rzeczypospolitej Demokratycznej, równocześnie jednak była stanowcza, zdecydowana, odważna i przebiegła, zdolna i bezwzględna, a takie cechy liczyły się wysoko.

— Jeszcze spróbuję — powiedział ciepłej.

— Ależ oczywiście, Imperatorze, może złapiesz dobrą formę, ja nie mam nic przeciwko rodzeniu ci geniuszy. Myślę, że musisz przede wszystkim porządnie odpocząć.

— Teraz to niemożliwe. Odpoczywać, kiedy stoję przed największą szansą?

— Jaką znowu szansą?

— Zaatakowania galaretek w locie. Wtedy są najszanse, w locie nie mogą osłaniać się zbyt silnie.

— Nie masz zbyt wielu rakiet.

— Właśnie je buduję.

— Nie są dość szybkie.

— Oni lecą rakietami o różnej szybkości, a to znaczy, że te najszybsze muszą się dostosować do najwolniejszych. A te najwolniejsze to ja się podejmuje dogonić.

— Rzeczywiście jesteś genialny. Powiedz mi jeszcze coś o galaretkach.

Demorion wiedział dużo o radiotelekach, ale z pewnością nie wszystko. Jego, jeśli tak można powiedzieć, główna wiedza pochodziła z czasów, kiedy utrzymywał pewien specyficzny rodzaj stosunków dyplomatycznych z Telemetrią. Oba państwa nie miały u siebie żadnych przedstawicielstw, ambasadorów, czy posłów. Wymiana informacji odbywała się wyłącznie przy pomocy potężnych stacji nadawczo-odbiorczych i satelitów.

— Podobno byli kiedyś czekokształtni, ale ja w to nie wierzę.

— Niby dlaczego? Ewolucje nie należą do rzadkości w dziejach Wzrzeschwici.

— Owszem, ale ewolucje z sensem. Nasz kształt, zwłaszcza u przedstawicieli rasy wyższej, jest doskonały. Nikt, kto rozsądny, nie mógłby sobie życzyć podobnej ewolucji. Przecież oni wyglądają jak kolorowe jaja popędzane wiatrem! Zdegenerowana cywilizacja, moja droga, dziecinna, sama w sobie i sama dla siebie.

Założył ręce do tyłu i rozpoczął na nowo swój charakterystyczny spacer. Właściwie nie był to swobodny, nie wymuszony spacer, raczej — marsz, równy, sprężysty, zdecydowany. Ludzi trzeba nauczyć maszerować — mawiał często — to w gruncie rzeczy największą ze sztuk. Przywykają do karnego i punktualnego osiagania celu w sposób mechaniczny. Człowiek szuka rytmu kroków i nie myśli. Na cóż mu zresztą ten luksus, skoro jest pewien, że maszerując zrealizuje każdy rozkaz, każde zadanie i każdy nadrzędny cel. Takie, na przykład, galaretki nie znają żadnego nadrzędnego celu. Dokonują cudów w technice, ale to jest u nich cel sam w sobie, niczemu nie służą. Nie umieją też maszerować, pływają po ziemi, kołyszą się, balansują na wszystkich stronach, bawią się ruchem jak dzieci, zmieniają także barwy, podobno w zależności od nastroju. Najczęściej bywają żółte, a to typowy kolor dla rasy niższej. Galaretki same nie wiedzą co posiadają, nie wiedzą nawet co mogłyby znaczyć w kosmosie. Mogłyby przecież zniszczyć, zmiażdżyć wszystko co żywe z wyjątkiem jego jednego, mogłyby także każdy rozumny organizm przekształcić w bezkrytycznego i sumiennego odbiorcę swoich rozkazów, a nie rozkazują, obnoszą się po galaktykach, z galaktyką oliwną, brak im celu, wielkiej idei...

— Może, ale jednak dali ci tupnia, Demorionie.

— Mówisz tak, bo nie rozumiesz mojej taktyki. Owszem, ponieśliśmy wielkie straty — Demorion wciąż maszerował — ale ja ich wyśadzilem z siódła, wyrzuciłem z Telemetrii, a to była dobra twierdza. Zniszczyłem im Siodmą Galaktykę, będą więc musieli lecieć dalej. A cywilizacja koczownicza, zamknięta w ciasnych rakietach, nie może tak łatwo odnawiać swoich zasobów. Dopadną ich, kiedy osłabną dostatecznie!

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Cierpliwy emeryt i głuchy telefon

Od lat jestem zaprzęgiem wielbicielek dwóch instytucji: Polskich Kolei Państwowych i firmy pod tytułem Poczta, Telegraf, Telefon. Jestem człowiekiem starej daty — pamiętam czasy kiedy pociąg pospieszny to był taki pociąg, który jeździł szybko i w innych, kiedy kartka pocztowa z Łodzi do Warszawy szła tylko dwa dni, telegram kilka godzin. Pamiętam czasy (wprost trudno uwierzyć, że tak naprawdę było!) kiedy można było mieć ten sam numer telefonu przez dziesięć lat, a rozkład jazdy był rozkładem jazdy a nie projekcją marzeń nie s nie nie mającym wspólnego z rzeczywistością. Pamiętam wreszcie takie czasy, kiedy śmiechną pieczęcią z laku zabezpieczoną paczkę lepiej niż pluton uzbrojonych konwojentów w tych odległych czasach, kiedy wagony kolejowy był wagonem a nie chlewem na kółkach działy się oczywiście awarie. Np psuły się telefony. Wtedy trzeba było z jakiegokolwiek innego aparatu zatelefonować pod odpowiedni numer. To niewygodne, ale takie numery były zwykle bardzo drogie do zapamiętania, jakies pięć piątek czy coś takiego. Po zawiadomieniu odpowiednich służb za kilka godzin, na górę za jeden dzień telefon znów dzwiał radośnie.

To już historia. Teraz mamy komputery, światłowody, elektroniczne centrale, regulacje na spis telefonów i imiennicy wieżowców przy alei Kosciuszki. Tylko z łącznością jakby gorzej.

Ostatnio zainstalowano nową centralę na Widzewie. Pięknie. Takie właśnie nowe centrali to jest rzecz skomplikowana, nie żadne takie żarty. Prast i już. Totalnie telefonia moja najsłodsza zawiadomienia abonentów, że numerem im się zmienia i zapoda, że określonego dnia zostanie wykonana ta skomplikowana operacja.

Teraz zaczęła się tytułowa opowieść o cierpliwym emerycie. Emerytowi wyłaczyli telefon tydzień wcześniej. Myślał, że to zablokowanie linii, zdarza się, zadzwonił pod numer, gdzie podobne reklamacje przyjmują. Uspokili go, że za dwa dni najdalej telefon będzie działał. Za dwa dni w słuchawce cisza. Cierpliwy emeryt zatelefonował powtórnie i dowiedział się, że wyłączenie jego „stacji telefonicznej” związane jest ze zmianą centrali. Cóż, dopust Boży czyli cena postępu. Emeryt jest nie tylko cierpliwy, ale i wyrozumiały i przychylnie ustosunkowany do rewolucji naukowo-technicznej. Tymczasem nastal „dzień X” czyli pamiętna sobota, od której to połowa mieszkańców Widzewa szczyła się zupełnie nowymi numerami telefonów.

Cieszyli się wzywający, bo to naród pogodny i cieszy ich każda zmiana i cały tzw „postęp do przodu”. Choć jakby tak chwilę podumać i powodów do radości jakby mało. Numer jak numer, taki dobry stary jak nowy.

Cierpliwy emeryt też się cieszył. Tyle że odrobinkę mniej, bo telefon miał z zupełnie nowym numerem, co też utwierdził na kartonowej wzytówce na korpusie aparatu, ale głuchy.

Może mi się na uszy rzuciło? — omawiał emeryt i poszedł do laryngologa. Doktor zbadał go i powiedział: „Pan się nie nudzi, panie emerycie i zwracam pan państwową służbę zdrowia różne części ciała, których jako człowiek dobrze wychowany nie wymyślić? Słuch pan masz taki, że jeszcze karierę zrobisz jako pułkownika w orkiestrze. Idź pan spokojnie do domu, a jeśli konieczne pan musisz, to

zawracaj pan gitarę stomatologowi, piętro niżej!

Jak Czytelnik w lot się domyślił, laryngolog złośliwie posłał emeryta do dentysty, bowiem „o nie lubił szczerze.

Emeryt nie posłuchał złośliwego laryngologa i do dentysty nie poszedł, zresztą po co, skoro zęby miał nowiutkie, obydwie szczęki jak malowanie.

Poszedł do domu. Tyle że po drodze zatelefonował pod numer, gdzie przyjmują reklamacje i zameldował o niesprawności aparatu. Za dzień lub dwa — ustyszał. I tak kilka razy, co dwa dni...

Wreszcie nasz emeryt poszedł do najgłośniejszej telefonicznej dyrekcji, na ul. Głęboką. Do tego samego działu reklamacji. I tłumaczy, że to już dwa tygodnie, że dzwoni kilka razy, w tym raz — strach powiedzieć — do samego kierownika. Wysłuchali, pocieszyli jak umieli, a telefon głuchy.

Wyjaśnił, że jest emerytem cierpliwym, bardzo cierpliwym, jak mu telefonu z głuchoty nie wyleczą, to pójdzie do jeszcze ważniejszej dyrekcji, na Łosiciuski, a jak tam nie da rady, to i do ministra trafi, a po drodze jeszcze po różnych gazetach opisać i wstydzi narobi. Piśmienny bowiem jest, nie tylko cierpliwy...

Urzędnicy posłuchali, pomyśleli i jak ta złota rybka powiedzieli: — Idź cierpliwy emerycie do domu, tam już technicy dyplomowani o twój aparat zaobal.

I, popatrzenie Państwo, ledwie emeryt doszedł do domu a tu już uprzejmy technik z cała walizką narzędzi puka do drzwi i telefon się rozdzwonił jak ten, z piosenki, skowronczek stępowy!

I jak tu nie lubić Poczty, Telegrafu i Telefonu na dodatek. Głupie dwa tygodnie minęły a telefon — cud techniki — jak nowy. Emeryt dzwonił sobie tu i tam i wesolutki jest jak szczygiełek.

A ja mam (razem z cierpliwym emerytem) taką radę dla abonentów telefonicznych z Widzewa:

Droży Państwo, nie dzwońcie pod numer 74-03-33 ani pod numer 74-74-74. Ani nawet do kierownika (74-00-16). Na nic to! Pod pierwszym z tych numerów Was wyłuchają, ale omoga jak umiemy, kazdiedo Pod drugim nawet słuchawki nie podniosą. Pod trzecim — jak pod pierwszym. Trzeba iść na ulicę Głęboką, postarażyć, pokrzyć, na kuzyna wpiyowego się powołać, na szawagra dziennikarza i... zrobia w te pedy!

Panie Dyrektorze Szanowny od Poczty, Telegrafu a nawet Telefonu! Przypdziel Pan te trzy numery komuś, tyle jest potrzebujących... A panie urzędniczki i czelgódnego pana kierownika może by tak do innej „pracy”? Błota takie na tej Głębokiej, może by chodźciek położyli!

Z wyrazami żywej, od lat niezmiennej sympatii.

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Nikt sobie nie życzy...

Opinia publiczna w kraju coraz to niepokojona jest wyrażeniami o politycznym charakterze w Republice Federalnej, Niemiec a zwłaszcza odciosami toczacej się tam dysputy wokół zjednoczenia obu państw niemieckich.

W związku z tą sprawą z zainteresowaniem przeczytałem majowy numer miesięcznika „Internationale Briefe”, wyda-

wanego przez „International Sonnenberg Association” w RFN. Numer ten poświęcono właśnie tematowi „Państwo niemieckie w Europie i oczach nie-Niemców” udzielając głosu Anglikowi, Duńczykowi i obywatelowi Związku Radzieckiego.

Duńczyk nie owija swej opinii w bawełnę. Pisze tak:

„Przykro mi, jeśli przekroczyć granice gościnności (jakiej mi udzielono na łamach pisma — przyp. mój), ale rozstrząsania na temat „kwestii niemieckiej” uważałbym za bezsensowne, gdybym nie poruszył problemu zasadniczego. Mówię tak, jak widzę ten problem: nikt przecież nie życzy sobie zjednoczenia Niemiec.

Każdy mógłby życzyć sobie świata, na którym polargenie takie bez wywołania katastrofalnych następstw byłoby możliwe. Taki świat jednak nie istnieje. Żaden kraj nie żyje sobie potępi militarnej obok siebie, nawet gdyby to miało być potęgą sprzymierzona. Niektórzy politycy będą to może grzecznie przemilczać lub omawiać bardzo ogólnie, ale działają w kierunku zjednoczenia Niemiec nie będą. Nikt nie marzy także o potężnym konkurencie ekonomicznym. Także w obu krajach niemieckich w aruncie rzeczy nikt chyba nie może myśleć poważnie o połączeniu ani w warunkach istniejących ani w żadnych dających się realnie pomyśleć w przyszłości — jeśli tylko zdają sobie sprawę z konkretnych konsekwencji takiego aktu.”

Duński autor tych słów, Björn Ekman, profesor germanistyki na kopenhaskim uniwersytecie i prezes Towarzystwa Duńsko-Niemieckiego, pisze dalej tak:

„Szamuję poglądem niemieckiego ministra wygłoszony niedawno w Kopenhadze, że trzeba wysłuchać nadziei. Ale przede wszystkim szamuję mądrością tych słów ministra: tylko w ramach globalnej europejskiej i ogólnoświatowej współpracy możliwym byłoby prawdziwe, pokojowe i trwałe rozwiązanie kwestii niemieckiej. Ale nawet wtedy celem w moim pojęciu nie byłoby połączenie obu państw niemieckich, tylko normalne, ustabilizowane, wolne życie w uporządkowanym systemie prawa państwowym, w prawie zabezpieczonym bezpieczeństwie w obu częściach byłego państwa niemieckiego. Mam krewnych i przyjaciół w wielu krajach, a ich pożyteczność leży mi bardzo na sercu. Nigdy jednak nie twierdziłem, że powinniśmy być w granicach tego samego organizmu państwowego. Ważna jest to, żeby im się dobrze wiodło.”

Profesor Ekmana czyni tu niewątpliwie aluzję do twierdzenia niektórych polityków zachodniemieckich, powtarzającego ciągle jako argumenty za koniecznością zjednoczenia Niemiec, że rozbić przedwojennej Rzeszy rozdzielił granicami rodzimy, przyjaciół i środowiska. No to co, że rozdzielił? Chicago było do niedawna drugą co do wielkości skupiskiem Polaków na świecie (po Warszawie, a przed Łodzią). Czy mamy żądać przyłączenia Chicago do Polski, bo tam tyłu z nas ma swoich krewnych i przyjaciół?

O nierealności planów są ino-cenizowanych pisze także prof. dr Władysław Dąbrowski z Moskwy. Powtarza spokojnie, z pełnym przekonaniem i bez emocji, argumenty, znane nam z całej wojennej historiografii Związku Radzieckiego i naszej. Natomiast zdanie Duńczyka przedstawiciela Zachodu, wydał mi się warte przytoczenia.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Co kto lubi?

Gdy byłem pachołkiem marzyło mi się zostać kominiarzem. Dziś zupełnie nie rozumiem tych marzeń, bo latami po dachach nie lubię, mam raczej lęk wysokości, w kolorze czarnym też się nie lubuję, a wszelkie kurze i sadze wywołują u mnie napady kichania. Później, gdym nieco podrosł, marzyłem o tym, aby zostać strażakiem. I to rozumiem. Strażacy noszą piękne, błyszczące hełmy, mają ładne mundurki. A gdy mi się marzyło być strażakiem, to nosiłem u pasa toporki i pedziłem do pożaru „co koń wyskoczy”, pięknie na dodatek grając na trabce. To może się podobać każdemu. Gorzej z samym gaszeniem pożaru, ale marzyłem na ogół odrzucając wszystko, co im niemiłe, a rozpywają się nad tym, co miłe i piękne.

Mijały lata i zmieniały się marzenia. Chciałem zostać architektem, elektrykiem, filozofem... A zostałem... Ech, lepiej nie mówić... Tak to smutna rzeczywistość rozwała piękne marzenia. Mimo to, nie zamieniłbym swego dziennikarskiego zawodu na żaden inny. Jest on w końcu moim wolnym wyborem i lubię go.

Spotkałem już wiele osób, które też w dzieciństwie i młodości o czym innym marzyły, a kims innym zostały i też nie z przypadku. Lubia, to co robią i robią dobrze. A o to właśnie chodzi. Już w XVII wieku wiadano, że „połowę roboty odbył kto ją zaczął z ochoty”. Spotyka się jednak i takich, o których Andrzej Maksymilian Fredro powiedział był, że „u złego robotnika siła trasku, roboty mało”. Obserwując takich ludzi można spokojnie powiedzieć, że nie lubią tego, co robią, a to, co robią, robią z łaski. Taka robota na nic.

Dowiedziałem się niedawno, że część, może grupa, albo wręcz grupka, mieszkańców Retkini zwróciła się do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Polesiu z prośbą... o pomoc w egzekwowaniu obowiązków u dozorczych, których teraz łaskawie nazywamy „gospodarzami domu”. Ta zmiana nazwy zawodu nie jest przypadkowa.

Dozorca jest to bowiem ten, kto ma nad czynną pieczę, dozoruje coś, pilnuje i za to dozorowanie, pilnowanie ponosi odpowiedzialność. Natomiast gospodarz, to zupełnie ktoś inny. Gospodarz — to właściciel, pan domu, człowiek zarządzający, posiadający pełną władzę. Zupełnie inne pojęcia, inny zakres odpowiedzialności, ba! — inny zakres czynności. Ktoś w zapale podnoszenia rangi zawodu dozorcy pomylili pojęcie i z dozorcy — jednoczesnego wykonawcy — zrobił gospodarza — a więc poleceńodawcę. Teraz się wszyscy dziwią, że „gospodarze domów” nie chcą wykonywać swoich obowiązków, czyli dozorować, a raczej zajmują się „zarządzaniem”. W końcu ktoś na Retkini to zdenerwował i poprosił milicję o skontrolowanie pracy dozorców.

Interwencja milicji na Retkini dała ponoć pozytywne skutki, bo dozorcy — jak mnie zapewniano — zaczynają zamiatać kół bloków. Wielki to już sukces. Milicja oczywiście ma obowiązek strzec porządku, a więc powinna była wcześniej zainteresować się pracą dozorców, a nie dopiero na prośbę mieszkańców. Ale też dozorcy mają swoją wadę szwercznią: administrację w gospodarce komunalnej czy w spółdzielniach. Są też komitety domowe, blokowe. Opowiadano mi, że istnieje ponoć obowiązek wystawiania opinii dozorcom przez komitety domowe. Mają one stwierdzić, czy dozorcy dobrze wykonują swoje obowiązki, czy nie. Jest tam wszystko wyszczególnione, czy sprzątają wokół bloku i w bloku, czy podlewają kwiatki i trawę na zieleńcach, czy myją okna w klatkach schodowych? Pozytywna odpowiedź na te pytania pozwala wypłacić premię dozorcy. Jeśli dozorcy otrzymują premie, to znaczy, że

mają potwierdzenie swojej dobrej pracy. To wobec tego skąd się biorą skargi na ich pracę i dlaczego milicja zmusza ich nawet do zamiatania, czego — jak się można domyślić — przedtem nie czynili. A może — nie śmiem tego podejrzewać — komitety domowe te opinie wypisują z dobrego serca? Nie kontrolują pracy dozorców? Zawikłana to sprawa...

Mógłbym jeszcze podejrzewać, że dozorcy nie lubią swojej pracy. Wielu z nich — sam znam takich — wzięło się za tę zniechęcającą działalność jedynie dlatego, że szybciej dostali mieszkanie, służbowe zresztą. Teraz są już bytymi dozorcami, a ich funkcje pełnią na ogół ludzie, którzy mieszkają zupełnie gdzie indziej i dojeżdżają do pracy. Kłatek schodowych dziś już nikt nie zamyka, więc nie ma kłopotu z chodzeniem po klucze do dozorcy. A kłopot byłby, gdyby człowiek spóźnił się do domu, zastał kłatkę zamkniętą, a po klucze trzeba byłoby jechać z Retkini na Widzew Wschód. Lepiej o tym nie myśleć.

A prace swoją trzeba lubić, bo inaczej nie z tego. Prywatny detektyw w San Francisco przeprowadził ankietę wśród tamtejszych prostytutek i okazało się, że wiele z nich też lubi swoją pracę. Mnie kiedyś uczono, że one tak z nędzy, poniżenia i braku perspektyw. Tymczasem się okazało, że z... zamilowania. I jestem gotowy utwierdzić temu detektywowi, bo u nas też panienki puszczają się na przykład z cudzoziemcami nie z braku pracy i perspektyw, tylko za dolary i dla dolarów. Widać to lubią, Dolary oczywiście.

ZENON POROWATY

Co więcej robił? Nie płakać przede wszystkim! Kierować się prawem i zdrowym rozsądkiem. Takie kalkulowanie, że nie ukarzę winnego, bo bez niego programy, demoralizuje tylko i do niczego nie prowadzi. Demonstruje poza tym słabość tych, którzy mają decydować, omaha ich strach. Ież to razy ukrywano winnych, udawano, że nie się nie stało, aby tylko gwiazdy — często domniemane! — mogły wybiec na boisko i zagrać. I gwiazdy śmiały się w kulak ze swoich pozornych opiekunów, rosy i wychowywały się — tak, właśnie, wychowywały się! — w atmosferze i przekonaniu o całkowitej bezkarności. Bo są potrzebni, bo bez nich kłapa, kłaska i dno. A więc wszystkim im wolno. Łamać prawo też, bo dla nich jest inne prawo, to powszechne nie obowiązujące. To dobre dla „flu-mu”, dla całej reszty, pogardzanej i nie szanowanej. Oni są wybrani, oni są ponad wszystkim, ponad narodem też. No, i mamy skutki.

Władysław Kozakiewicz porzucił kraj, który dał mu wszystko, stworzył warunki dla kariery i światowych sukcesów. Ze w tym kraju jest ciężko, trudno i czasami smutno? Ano jest, ale Władysław Kozakiewicz tego nie odczuwał. Nie chce powtarzać tego, co o jego warunkach życia napisał Witold Duński.

Dariusz Dziekanowski za nie ma własnoręcznie podpisany kontrakt. On jest ponad innymi. On jest — we własnym mniemaniu, niestety — gwiazdą. Jemu wolno wszystko. Wolno mu, bo czuje się nienależny protektorów. Sam, na własną odpowiedzialność tego by nie zrobił.

A kto ma się wstydić? Ci, którzy mają w ręku prawo i nie potrafią, nie potrafią i jeszcze długo nie będą chcieli potrafić z niego korzystać. Za skutki tego nie winimy gwiazd rzeczywistych czy domniemanych. Co nie znaczy, że rozgrzeszamy z postępów tak Władysława Kozakiewicza, jak Dariusza Dziekanowskiego. Ale chcę, aby współwinni też swoją część winy sobie uświadomili.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

4 Sport

Nie płakać!

Niedawno w wywiadzie dla „Ogłosów” Zbigniew Boniek powiedział: „...klub jest moim domem. Jeśli chcę mieszkać w tym domu, to muszę współżyć z innymi jego mieszkańcami. Ale jeżeli oni mi przeszkadzają, to raczej ja powinienem ich opuścić, a nie narzekać na nich”. W tych słowach wyrażona została myśl o konieczności podporządkowania się większości, ale też i o prawie odejścia od większości i poszukiwania sobie „innego domu”, innej większości, innego zespołu ludzi, z którymi jednostka będzie lepiej. Teoretycznie wszystko się zgadza. Ale to, co jest często piękne w teorii, w praktyce zgrzyta, zaczyna się przyparzać kłopotów. Oto właśnie zdarzył się dwa odesia jednostek od większości. I choć skala tych wydarzeń jest różna, to przecież jest w nich coś wspólnego.

Odesia pierwsze. Władysław Kozakiewicz na początku lipca 1985 roku poprosił w RFN o azyl i obywatelstwo Republiki Federalnej Niemiec. Fakt ten wywołał powszechne zdziwienie. Witold Duński w „Przeglądzie Tygodniowym” napisał wprost: „nie rozumiem!”. Reinhard Hubner w „Frankfurter Allgemeine Zeitung” nie napisał tego wprost, ale to, co napisał ma podobny wydźwięk. A napisał, że Władysław Kozakiewicz milczy teraz, a mówi za niego niejaki Helmut Ptak, o którym Reinhard Hubner nie wyraża się najlepiej. Gdyby w polskiej prasie ukazał się podobny artykuł o kimkolwiek, to zaraz rozległby się potworny krzyk, że krzywdzi się ludzi, znieważa, posądza itp. itp. A Reinhard Hubner tylko posadza Helmuta Ptaka, że postanowił dorobić się na Władysławie Kozakiewiczu i jest mitomanem, bo obiecuje, że w 1988 roku Władysław Kozakiewicz zdobędzie w Seulu dla RFN złoty medal w skoku o tyczce.

Taki facet czy facetka zaraz pytają groźnie i to jest najgłupsze pytanie na świecie: „Z kim mam przyjemność”? Wtedy chce się im powiedzieć: „Gównu. To nie będzie przyjemność”, ale trzeba powiedzieć: „To nie ma znaczenia z kim pan rozmawia. Ważne jest to, o czym będzie rozmawiali”. Najzabawniejsze zaś, że niektórzy takie zdęcia i takie rozmowy uważają za niktzemne. Tak, ludzie są zabawni. Jak ten facet w autobusie, którym Maryn jechał do Mordegów. Przez całą drogę żalił się Marynowi: „Niech pan zwróci uwagę jak w tym autobusie śmierdzi. To ludzie tak śmierdzą, prawda?” I Maryn mu odpowiedział: „Tak, proszę pana, ludzie śmierdzą, bo są brudni”.

„Zobaczył go w wizjerze aparatu fotograficznego. Mały, czarny na twarzy, kędzierzawy, trochę podobny do Cygana. Tak się zajął tą sarną, że Maryn zrobił mu cztery zdjęcia i tak był pochłonięty patroszeniem zwierzęcia, że Maryn niepostrzeżenie podszedł go na dziesięć metrów. Oczywiście z aparatem fotograficznym w ręku i z szerokim uśmiechem na twarzy.

Maryn ujrzał strach w oczach tamtego i uspokoił się, to znaczy pozbył się własnego strachu.

— Ja cię skąd znam. Widziałem cię chyba na plantacji u leśniczego Kuleszy — powiedział do niego. — Długo na ciebie czekałem Sarna złapała się o ósmej rano, a ty przyszedłeś dopiero o szesnastej piętnaście. Skończ ją patroszyć, bo wkrótce zacznie cuchnąć.

Maryn podszedł bliżej i zaraz domyślił się, że ma do czynienia ze zwykłym głupkiem, więc nawet nie tknął kabury z pistoletem. Po prostu kopnął gnojka w jądra, kiedy tamten podniósł się znad sarny z bagnetem w ręku. Kopnął go niezbyt mocno, żeby nie skrzywdzić. Począł aż tamten przestanie jęczeć i skrecać się z bólu, trzymając się za podbrzusze, potem łagodnie mówił do niego i mówił, aż go to gadanie zmuciło. Gnojek nie mógł przez długi czas pojąć, że został sfotografowany przy sarnie, musi napisać własnoręcznie krótkie oświadczenie (kiedy, o której godzinie, w jakim miejscu zastawił wyniki i przyszedł po uduszoną sarnę). Pisał wolno i z tylnymi błędami, co chwila porzucając na ziemię długopis i duży notes, który mu Maryn położył na swojej raportowce. Chwytał się za podbrzusze aż Maryn mu zagroził, że go znów kopnie w jądra.

— Ile masz dzieci?

— Sześcioro...

— Starczy, no nie? — rzekł Maryn mając na myśli jego jądra.

Tamten więc napisał wszystko, co mu Maryn kazał. Później rozplakał się i wyznał, że już raz został skazany za kłusownictwo i teraz dostanie większy wyrok. Maryn kiwnął głową, ale powiedział po prostu:

— Ty już więcej tego nie będziesz robił. Nie mam do ciebie złosci. Sarnę wypatrosz i zabierzesz do domu. Tej sarny przecież nie wskreszymy. Mnie nic z tego nie przyjdzie, że cię posadzą. Weźmie sobie na pamiątkę twoje zdjęcia i twoje oświadczenie. Bo musisz wiedzieć, że jestem tu obcy, zupełnie obcy, dopiero od niespełna trzech tygodni. Nic nie wiem o nikim, a lubię wiedzieć na jakim świecie żyją. Rozumiesz coś z tego?

— Nie, proszę pana

— Może więc wolisz jednak sprawę w sądzie i więzieniu?

— Nie, proszę pana.

— Chcę mieć przyjaciela — oświadczył Maryn. — Przyjaciół się nie wybiera. Los padł na ciebie. Ja się nazywam Józef Maryn i mieszkam na razie w Mordegach, a ty nazywasz się Zeron Karas i mieszkasz w Dolinie Mam w tobie przyjaciela, bo zdobyłem twoje zdjęcia i twoje oświadczenie. Od czasu do czasu przyjadę do ciebie, a ty mi powiesz to, co wiesz.

— Ja nic nie wiem.

— To postaraj się wiedzieć. Kto jeszcze kłusuje i gdzie kłusuje. Kto ma nielegalnie broń. Powiesz mi to po przyjacielsku, bo zostaliśmy przyjaciółmi. Karadzie drewna mnie nie interesują, jestem strażnikiem łowieckim. Weź więc tę sarnę do domu i pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela. Nie powiem nikomu o naszej przyjaźni. Ty też tego nikomu nie mów, bo to może być nieprzyjemne.

W lesie wciąż było duszno, ten człowiek był oszołomiony z bólu i z tego, co mu się przydarzyło. Należało mu zostawić czas na rozmyślenia, na oprawienie sarny, na powrót do wioski. I na strach, który w nim będzie już trwał tak długo, jak długo w pobliżu pozostanie Józef Maryn. Najważniejsze: że Maryn miał przyjaciela, Mały krepki, czarny na twarzy, kędzierzawy, podobny do Cygana robotnik leśny z Doliny. Nie to, co taki, na przykład, Ivo Bunder. Ale przyjaciół się nie wybiera, życie ich samo podsuwa. Przyjaźń będzie Marynowi potrzebna, bo jest tutaj obcy.

Gdy wracał do leśniczówki, odezwał się w nim uczucie dawno zapomniane, jakaś wątpliwość, którą można było nazwać wyrzutem sumienia. Nie był pewien, czy postąpił słusznie znie walając i uzależniając Karasia od siebie, zamiast po prostu oddać go w ręce władz. Do tej pory wszystko co czynił Maryn (a przecież były to postępek po stokroć gorsze od historii z Karasiem) pozostawało wpisane w interes firmy. Świat miał swoją moralność i swoją ocenę ludzkich spraw i postępów, ale zarazem uznawał istnienie firmy oraz dziesiątków podobnych firm, tym samym więc sankcjonował również wewnętrzną moralność i ocenę spraw, jakimi kierowali się pracownicy dla firm ludzi. Świat miał swoje dobro i zło, ale firmy też miały swoje dobro i swoje zło. Cokolwiek tedy czynił, choćby potocznie uznawane za zło, pozostawał natchmiast oczyszczony przez dobro firmy. Czy lubić kogoś trochę było dobre czy złe? Ogólnie uważano, że lubić kogoś jest czymś ludzkim i dobrym. Maryn lubił trochę Ivo Bundera, lecz dla firmy okazało się to złe i nawet niemoralne. Za to, że lubił Bundera, że nie postąpił z nim tak jak nakazywały instrukcje — skazano go na ten las i na samotne łowy zwierzyny takiej jak ów Karas. Można lubić psa, ale jeśli pies okaże się wściekły, trzeba go zabić nie mrugnawszy okiem, gdyż może pokasać innych. Bunder wszedł do gmachu policji — to było gorsze, niżby zagroziło ludziom pogryzienie przez wściekłego psa. Dlatego z perspektywy czasu Maryn już wiedział, że nie wolno nikogo lubić, gdyż można zachować się niegodnie a nawet niemoralnie, ponieważ naraża się na szwank interesu firmy. Ale teraz, tutaj? Cokolwiek teraz uczynił, robił to nie dla firmy, lecz dla siebie i na własny rachunek. Nie mógł się już zastaniać wartościami moralnymi firmy, ale musiał dopracować się własnych wartości, co przecież nie było łatwe dla człowieka, który przez tyle lat czynił rzeczy ogólnie uznane za złe i niemoralne, choć przecież z innego punktu widzenia (właśnie z tego, do jakiego przywykł) były i dobre, i moralne. Czy to jednak nie za dużo wymagać od kogoś, aby nagle, z dnia na dzień, odzyskał dawne wartości i oceny, skoro pozbywał się ich przez tyle lat, a nawet starał się o nich zapomnieć, gdyż w przeciwnym razie okazałby się osobnikiem nieprzydatnym, nieustannie szarpanym wątpliwościami. Dlatego, jeśli przez tyle lat wmałwiał sobie, że wszystko co ludzkie jest mu obce, teraz miał przyjąć, że wszystko co ludzkie jest mu bliskie? Wrócić przecież do świata, z jakiego tu przybył i znowu istnieć będzie jedynie interes firmy.

W domu odgrzął leśną zupkę regeneracyjną, znowu kapuśniak. W izbie, gdzie mieszkał nie było stołu, miszkę z jedzeniem postawił na parapacie okna, podsunął kulawy stółek i jedząc patrzył na Weronikę, która drugie popołudnie prała na podwórzu. Nie wiedziała, że wypina tyłek na obcego człowieka, ale na ławce przed domem siedział jej mąż i patrzył na nią głodnymi oczami, co ją chyba zawstydzalo albo irytowało. Skoro jednak nie chciała się wypinać na męża, to musiała to uczynić w stronę okna izby Maryna, choć jemu to było obojętne. Na jego gust zad miała za duży, nie to, co tamta w zajeździe.

Tę noc było go na górze nie zaskrzybiało ani razu. Ale i tak Józef Maryn nie mógł zasnąć, gdyż nie przewidział, że łóżko nie będzie skrzybiało i wciąż czekał, aż zacznie się to, co zwykle — jednostajne postękiwanie. Nic takiego jednak się nie działo i Maryn nie potrafił zasnąć, czekał i czekał, aż w końcu pogrzyzył się w jakimś półśnie, rozmawiał z Ivo Bunderem, ze schwytanym przy sarnie Karasiem, a potem z jakimś dziwnym człowiekiem nazwiskiem Horst Sobota. Nic nie wiedział o tym człowieku, tylko tyle, że miał piękny murowany dom z sadem i zaproponował mu mieszkanie. Cekał i cekał, nagle usły-

Wielki las

(6)

ZBIGNIEW NIENACKI

szła na górze podniesiony głos męski, kobiecy płacz, coś upadło na podłogę. Nastąpiła cisza, Maryn znalazł się w męczącym półśnie, półjawie. Okna miał uchylone, doszedł go zgrzyt otwieranych drzwi do stajni i parsknięcie klaczy. Pomyślał o Zenonie Karasiu, a że nie wiedział, co czują tacy ludzie, gdy rozumieją, że ich dusza należy do drugiego człowieka — poczuł niepokój. Ludzie pokroju Bundera lub Maryna nie mieli duszy, a ci, z którymi się dotąd stykał pozbywali się duszy tak łatwo jak brudnych kałeson i brudnych majtek. Józef Maryn potrafił domyślić się, co zrobila w każdej niemal sytuacji, choć nie do końca — nie przewidział, na przykład, że wczesnym rankiem Bunder minie dwa skrzyżowania i wejdzie do gmachu policji. Oczywiście, Ivo Bunder był osobowością skomplikowaną, a Karas prymitywną. Ale właśnie taki prymitywny człowiek może uczynić coś bardzo prymitywnego, na przykład, wyprowadzić ze stajni klacz, albo nasypać jej czegoś do łobu. Dlatego Maryn wstał z łóżka, do kieszeni podszewy włożył pistolet i w nocnych pantoflach poszedł na podwórze. Stajnia była otwarta, a przeciw ją zamknął. Z otwartych drzwi uchodziło ciepło, zapach nawozu i końskiego potu. I czegoś jeszcze — no tak, woń perfum. Oczy Maryna przyzwyczaiły się już do mroku w stajni, dostrzegł jakiś podłużny kształt tuż przy klaczy. Kobieta w nocnej koszuli trzymała klacz za szyję i płakała bardzo cicho, nie tak jednak cicho, żeby tego Maryn nie dosłyszał. To znaczy Maryn nie widział jej dokładnie, ani też wyraźnie nie słyszał owego płaczu, ale tego wszystkiego się domyślił. Zawrócił do domu, wlał pod koc i już naprawdę zasnął. Ci ludzie na górze nie go nie obchodzili, chciał być jak najdalej od ich kłopotów ponieważ miał dosyć własnych.

Rankiem zjawił się przed domem Horsta Soboty i powiedział do niego:

— Zaproponowałem mi, dziadku, mieszkanie w twoim domu. Przyjąłem je. Chcę mieszkać u ciebie, a nie u leśniczego Kuleszy. Powiedz mi więc, co żądasz w zamian?

Albowiem Józef Maryn wiedział na pewno, że nic na tym świecie nie bywa za darmo. Najwyższą zaś ceną bywa poczucie wdzięczności za coś, co ktoś zrobił za darmo.

Stary patrzył na niego w milczeniu, a Maryn pomyślał, że ten starzec ma takie same jak on niebieskie oczy i gładko przylegające do głowy posiwiałe włosy, które też kiedyś musiały być bardzo jasne. Maryn będzie chyba wyglądał podobnie jak ten stary — i oby tak wyglądał. Najprawdopodobniej jednak nie dożyje takiego wieku; zgnie na ulicy jakiegoś wielkiego miasta, z kałuży krwi zabiorą go ludzie w białych fartuchach.

— Nie powiem ci od razu wszystkiego, bo pomyślisz, że jestem szalony — rzekł bardzo ostrożnie Horst Sobota. — Ale to możesz wiedzieć, że nie lubię lasu, a ty mi powiedziałeś, że też lasu nie lubisz. Z czasem dogadamy się.

Józef Maryn obawiał się jedynie ludzi zbyt sprytnych albo zupełnie głupich. Przed sprytem innych umiał się bronić własnym sprytem, wobec głupców bywał się bezradnym i dlatego na czyjąś głupotę uznawał tylko jedno lekarstwo: brutalność. Nie, nie musiał się obawiać starego Soboty. Kto wie, może właśnie tutaj będzie mógł poczuć się bezpiecznie?

Maryn popatrzył na ciemną ścianę wielkiego lasu, tu i ówdzie zaszytą promieniami porannego słońca. Od lasu napływał mocny zapach mchu i gnijących liści. Odwrócił twarz i skierował spojrzenie na jezioro, o tej porze dnia i roku błękitne jak oczy Maryna i Horsta Soboty. I drgnęły mu wargi w lekki uśmiechu, który ktoś nazwałby pogodnym, ale dla Horsta Soboty był złowrogim.

— Nie wiedziałem, że nie lubię lasu. Dopiero ty, dziadku, pozwoliłeś mi to pojąć. Tak, nie lubię lasu. Urodziłem się na wsi, dwadzieścia kilometrów od najbliższego małego lasu. I tylko dwa razy w moim życiu byłem w lesie, bo potem zawsze wypadało mi żyć w wielkich miastach. Zie się czuję w gęstwinie drzew. Mam uczucie, że zamykają mnie ze wszystkich stron jak kraty więzienia. I robi mi się duszno od zapachu, jaki wydzielają las. To dziwne, ale wśród kamiennych ulic czuję się wolny a tutaj czuję na mnie niewola. Nie wiem w jaki sposób każesz mi zapłacić za mieszkanie u ciebie. Wiedz jednak, że i tak zrobię jak zechcesz.

Horst Sobota otworzył połówkę bramy i zapraszającym gestem wskazał Marynowi podwórze za domem. Potem wprowadził klacz do pustej stajni, gdzie kiedyś trzymał dwa konie. Obok była o-

bora, miał w niej teraz skład skrzynek na jabłka. Następnie weszli do domu drzwiami od podwórza i zatrzymali się w długiej ciemnej sieni, dzielącej dom na dwie połowy. W głębi znajdowały się schody do pokoi na górze. Maryn wolał parter i wybrał sobie nieduży pokój pierwszy z prawej, z widokiem na sad i jezioro. Stary powiedział mu, że naprzeciw drzwi do jego pokoju jest kuchnia, tam może sobie przygotowywać śniadania i obiady, korzystając z łodówki.

— Mój pokój jest od strony lasu, na lewo od sieni. A na końcu sieni mam ganek z kolorowymi szybami. Jeśli nie znajdziesz mnie w sieni albo w mojej izbie, to znaczy, że jestem na ganuku — powiedział Sobota.

W pokoju Maryna były dwa okna — z jednego widział się drogę i kawałek lasu, z drugiego — podwórze, sad, jezioro. Wypełniały pokój bogate stare sprzęty: szafa na ubranie z rzeźbionymi drzwiami, kredens z oszkloną górą, prostokątny stół z czterema twardymi krzesłami, długa ława pod jednym oknem i drewniane łóżko z czystą pościelą pokryte pluszową narzutą. W oknach wisiały tułowe firanki i kwieciste zasłoki. Wszystko było czyste, cały pokój tchnął niezwykłą schludnością. „W tym domu rządziła nie tak dawno jakaś kobieta” — pomyślał Maryn, ale nie zapytał o to starego. Postanowił powiedzieć później Horstowi Sobocie, że nie będą się wzajemnie nigdy o nic pytać.

Spodobał się Marynowi ten pokój, ten dom, ten dziwny starzec i ogromna cisza, która zdawała się w tej chwili jak przezroczysta dłoń nakrywać sad i jezioro, a nawet las po drugiej stronie drogi. Pomyślał z radością, że nie usłyszy więcej jednostajnego skrzyknięcia łózka nad głową, a w stajni nie poczuje zapachu kobiecych perfum.

Porozkładał swoje rzeczy w szafie i w kredensie, nie bacząc, że nie ma kluczy. Tajemnicę swoje nosił Maryn w sobie — nie obawiał się ciekawości starego człowieka. Wyszedł na podwórze i uśmiechnął się widząc przez otwarte drzwi wnętrze małej szopy, jak Horst Sobota nakrywał wiekiem pustą trumnę. Nie zdumiało go to. Jego ojciec, bogaty gospodarz, też miał w szopie przygotowaną dla siebie trumnę.

Maryn wyjął pieniądze i wręczył je Horstowi.

— Będę potrzebował owsa dla konia i sporo siana. Nie znam w tej okolicy nikogo i nie mam jeszcze przyjaciół.

— Dobrze — skinął głową Horst Sobota. — Już od dawna nie byłem między ludźmi, a tylko w sklepie. Dla ciebie to zrobię. Pójdę do wsi i przywiozę ci owsa i siana. Co ci jeszcze kupić, obcy człowieku?

Maryn wzruszył ramionami i rzekł grzecznie:

— Nie wypada mi robić z was służącego. Ale jeśli chcecie zrobić mi przysługę, kupcie wszystko to, co potrzebne jest mężczyźnie.

Horst Sobota po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się bezzębny ustami.

— Pięknie mówisz do mnie, obcy człowieku. Kupię ci wszystko, co potrzeba mężczyźnie. Jeśli tego zażądasz, kupię ci nawet kobietę.

Józef Maryn też się roześmiał. A żeby staremu okazać szacunek powiedział mu „przez pan”.

— Nie stać mnie na to, panie Sobota. Kobiety jakie lubię, są niezwykle drogie.

Stary pogardliwie wyjął wargi:

— Ty nawet nie wiesz jak bardzo jestem bogaty. Jeśli zwyciężysz las, będziesz mógł kupić sobie najdroższą kobietę. Taką jaką lubisz.

Rozdział trzeci

Maryn powrócił z lasu w samo południe. Pośpiesznie rozsia-
dł klacz, zdjął jej uzdę i puścił wolno na młodą trawę nad jezioro. Potem zawiązał Horsta Sobotę i kazał mu do swojego pokoju wnieść miszkę z przegotowaną i osłodzoną wodą. Następnie zdjął marynarkę mundurową i wówczas Sobota zobaczył, że lewy rękaw koszuli Maryna jest na przedramieniu przesiąknięty krwią. Rana była podłużna, głęboka i mocno krwawiła.

Maryn przemógł ją starannie linianą szmatą maczaną w wodzie i rana ukazała się w całej okazałości, wciąż krwawiąc obficie.

— To zrobił czyjś nóż — oświadczył Horst Sobota.

Maryn uśmiechnął się po swojemu i skinął głową.

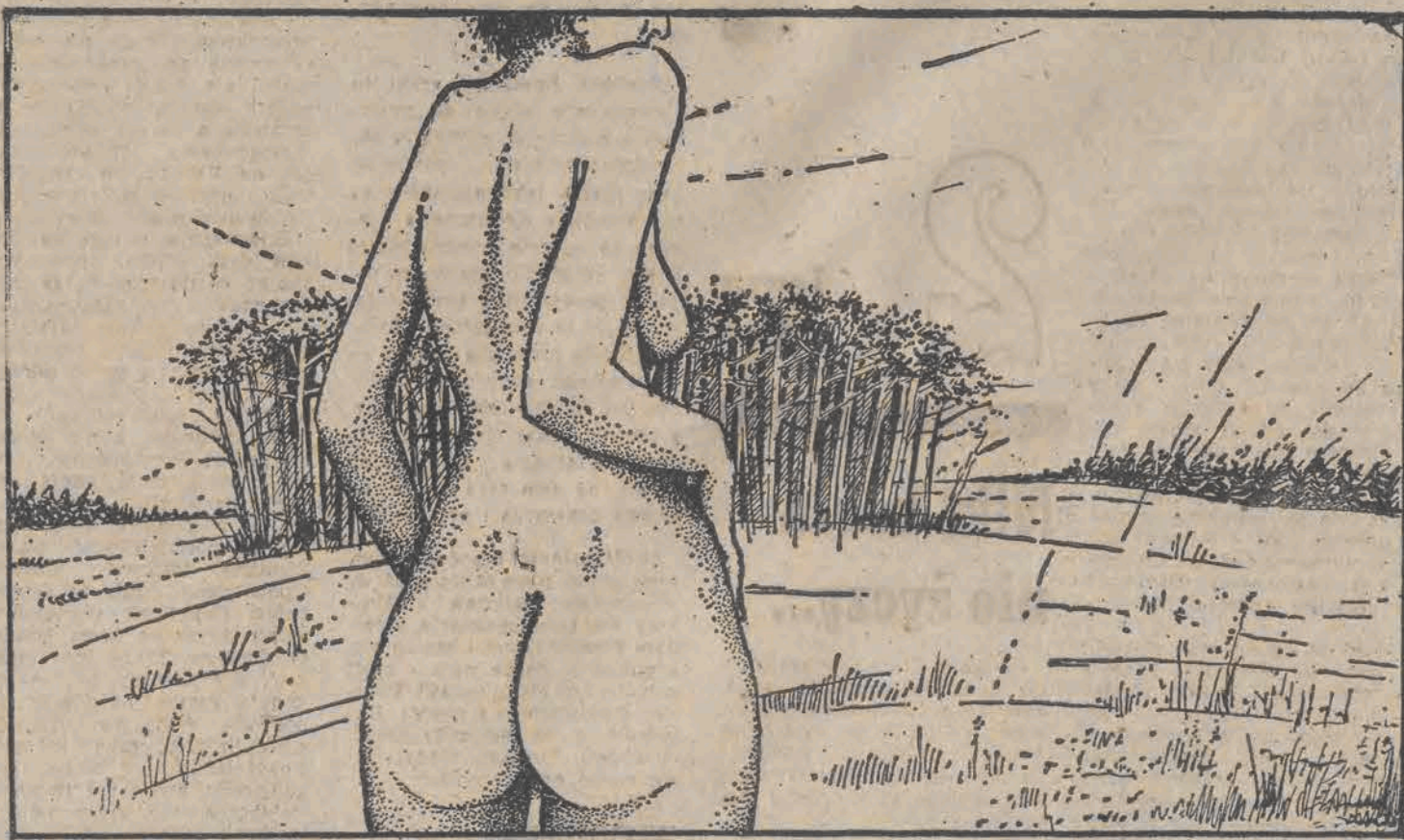
— Tak — powiedział. — To zrobił nóż. A pan, panie Sobota, niech sięgnie do kredensu, gdzie mam swoje rzeczy, wyjmie buteleczkę z jodyną i obleje mi nią ranę.

Jodyna musiała bardzo szczypać i palić, lecz Maryn wciąż nie przestawał się uśmiechać. Kazał Horstowi zranić miejsce bardzo mocno ścisnąć elastycznym bandażem, a potem wyjął z kredensu niklowane pudełeczko i zrobił sobie zastrzyk przeciwcł-
cowy. „On jest diabeł” — pomyślał Horst Sobota i poczuł w sobie ciepłą radość.

— Powinieneś zawiadomić milicję — doradzał Sobota.

— Milicję? — roześmiał się Maryn. — Zdołałem nowego przyjaciela. A za przyjacią, trzeba czasem zapłacić własną krwią. Byłem za mało uważny, panie Horst, i nie pomyślałem, że ten przyjaciel zanim mnie polubi, zechce mi zrobić krzywdę. Ciekawym kto mi zaceruje rękaw munduru.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Glane